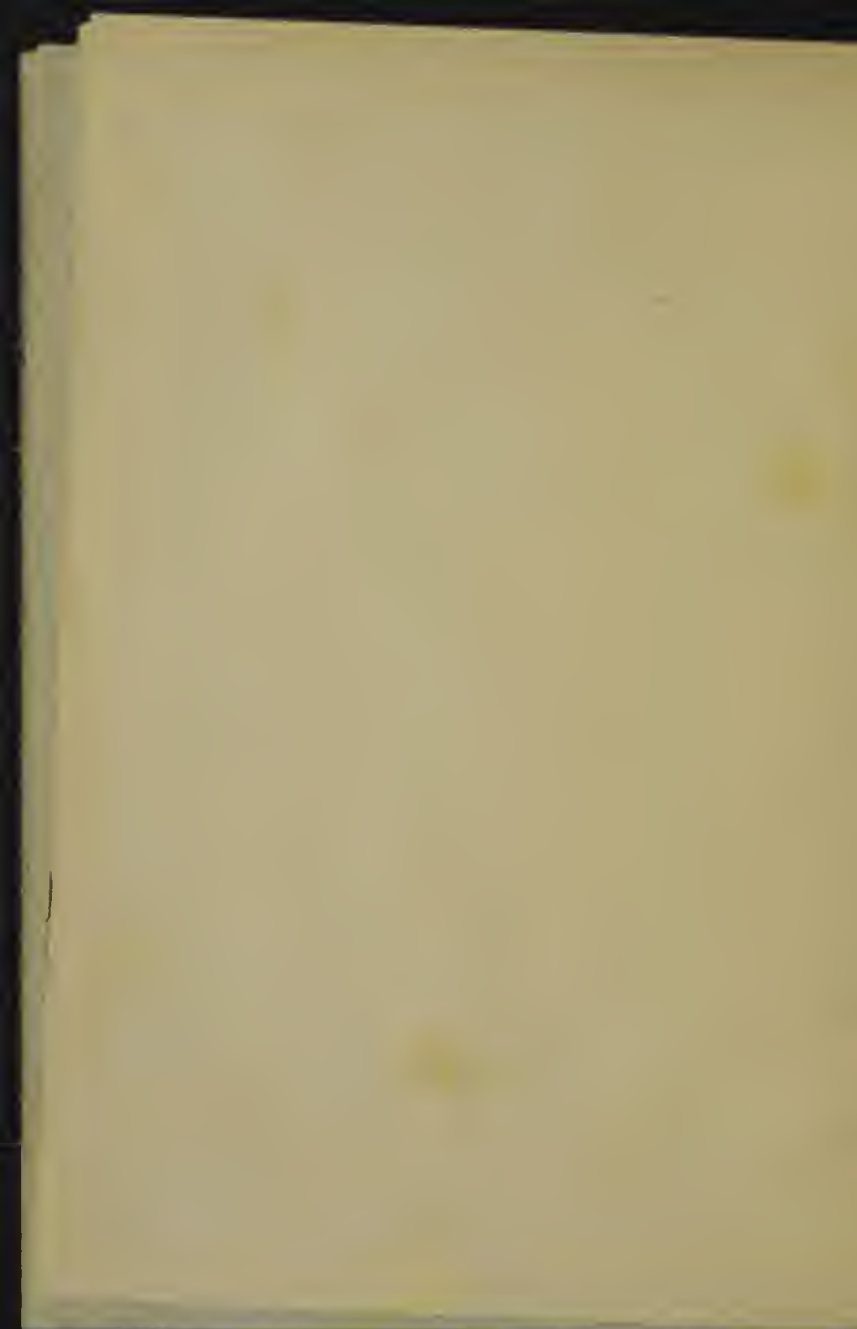


K T Ó S.



KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

~~~~~  
T O M II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—  
1884.

1884 2186 II

1884 2187

ДОВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, дня 13 Сентября 1884 года.

7.04/10.500

1985 109

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska 20.

Nadeszła zima znown i czwartkowe przyjęcia u Zawierskich rozpoczęły się obiadem i wieczorem. na który wszyscy dawni znajomi przyjaciele domu zbiegali się chętnie, bo wszyscy się tu czuli w atmosferze zdrowej. ożywiającej, życzliwej — pozbawionej tych miazmatów chorobliwych, które zatruwają obcowanie i rodzą niesnaski i kwasy.

Pani Zawierska i panna Michalina miały zawsze zapobiedz wszelkiemu podrażnieniu, w zarodzie zabić plotkę złośliwą, zbliżyć, jednać i łagodzić.

U nich też twarze można było spotykać wesołe. a ton rozmowy sprawiał wrażenie błogie, uspakajające.

Babunia była zdrowsza; drzwi jej cichego apartamenciku zamknęły się teraz, pozostała sama ze swą lektorką — a Misia tylko wbiegała do niej czasem zdać sprawę z tego, co się działo u nich, przyklękała przy kanapce. poszeptwała, uśmiechnęła się starszszce i wracała do gości.

Pierwszego czwartku natłok był wielki. Pani Zawierska wiedziała, że tego dnia miał być przez hrabiego Antoniego zaprezentowanym Wacław Nitosławski, ale nie oznajmiła o tem córce — nie chciała jej uprzedzać—obawiała się; projekt wydawał się jej bardzo nęcącym, pragnęła, aby mógł przyjść do skutku, lękała się ze swej strony zaszkodzić temu jakim krokiem fałszywym. wołała więc pozostać neutralną.

Oczy jej jednak często się ku drzwiom zwracały, serce biło żywo.

Nitosławskiego nie było jeszcze, gdy Horpiński wszedł do salonu, i Misia z poufalską dobrą przyjaciółką, z uśmiechem wdzięcznym na ustach wystąpiła kilka kroków na powitanie go.

Zdawa widziała matka, jak się jej twarzyczka rozjaśniła—jak ochoczo podała rękę i jak, zwykle ponury, zadąsany, surowy, p. Sylwan na widok jej rozweselił się i odmłodził.

Pomówili z sobą krótko, przybywający goście ich rozdzielili. Horopiński się usunął. Drzwi się prawie nie zamykały.

Trochę późno już ukazał się w progu hrabia Antoni, dobry, miły, ale nieznaczący człowiek, którym się wszyscy posługiwali, a on chętnie służył każdemu.

Prowadził on za sobą, starannie bardzo, zangielska ubranego, trochę sztywnego p. Wacława

Nitosławskiego, którego niezmierne podobieństwo do Sylwana Horpińskiego odrazu uderzyło wszystkich. Zazwyczaj takie rysów podobieństwa najmocniej się czuć dają, gdy dwaj Sozye—nie znajdując się obok siebie. Tu, w jednym salonie, o kilka kroków od siebie można ich było porównywać, a niesłychana jednostajność rysów, ruchów, nawet wyrazu twarzy, uderzała wszystkich. Znamie maleńkie u dołu samego policzka obu nawet było wspólne.

Patrząc na nich, goście milczeli zdumieni. Pani domu, gdy hrabia się zbliżył, wiodąc za sobą p. Wacława, zmieszała się, w oczach panny Michaliny odmalował się przestach jakiś. Mimowolne milczenie dosyć ożywiony salon na chwilę złowrogą ciszą przycisnęło.

Horpiński, zdaleka stojący, wpatrzył się w Nitosławskiego i — zbladł jak ściana. Panować umiał nad sobą, ale w tej chwili widać było, że całej siły musiał użyć, aby wrażenie niespodziane ukryć i namyślić się, co ma począć.

Czuł oczy wszystkich zwrócone na siebie. Chwilę zdało mu się, że najlepiej będzie wysunąć się i zniknąć, lecz zaledwie niedawno przybył—wyglądałoby to na ucieczkę, na strach jakiś. Musiał pozostać.

Nitosławski tymczasem, z całą wprawą człowieka bardzo obytego z towarzystwem, zagaił

rozmowę z gospodynią domu. spróbował ją związać z córką; lecz Misia. jakby osłupiała—odpowiedziała mu tylko uśmiechem i poruszeniem głowy.

Te rysy znajome, miłe jej, które nieznany człowiek sobie przywłaszczył, czyniły na niej wrażenie niewysłowione—przerażające.

Pan Wacław mówił. uśmiechał się; głos był tensam. uśmiech jakby jego — ale na tem się ograniczało podobieństwo.

Myśli. sposób wyrażania się — różniły Nitosławskiego od Sylwana ogromnie. Więcej się to dało czuć. niż się mogło okazać w początku—lecz kilka słów starczyło. aby charakterystykę oznaczyć.

Wacław Nitosławski był często salonowym. najlepszego tonu wychowalcem i dziecięciem; gdy Horpiński przy formach najwyszukańszych miał w sobie coś nad nie i nad ten świat salonów wyższego.

Przypatrując mu się bliżej, panna Michalina spostrzegła, że podobieństwo rysów było czysto formalne, dla pospolitych oczów uderzające—ale pod niem kryły się dwie różne natury; Nitosławski należał do innej sfery ludzi—do innego działu ludzkości, który poza interessa powszednie okiem ni myślą nie wychodzi.

Po krótkiej rozmowie z gospodynią, a jeszcze



mniej rozwiniętej z panną Michaliną,—Nitosławski, znalazłszy tu kilkunastu dawnych znajomych. Wmieszał się w tłum gości.

Dopiero teraz, czy on sam, czy ktoś zwrócił uwagę jego na Horpińskiego. Wacław obejrzał się niespokojnie, poszukał go oczyma, a że zwykł był codnia spędzać trochę czasu przed zwierciadłem i znał swą twarzyczkę — uznał natychmiast niezmiernie podobieństwo swe do p. Sylwana.

Nadzwyczaj przykre zdawało się to na nim czynić wrażenie. Cała zimna krew i pewność siebie, które go cechowały, wystawione zostały na straszną próbę. Z ruchów mimowolnych drgającej twarzy widać było, co się w nim działo. I on walkę wewnętrzną jakąś odbywał z sobą — kilka razy oczy jego przebiegały po salonie — nie odpowiedział na zadane mu pytania — i dopiero poniekąd czasem wrócił pozornie do spokoju, z jakim nakazał się z początku.

Pilniej jednak śledzący go byłby dostrzegł, że oczy jego ciągle biegły w tę stronę, w której stał Horpiński. Drażniło go to — niemiłe podobieństwo, a osobom, które o niego zagadnęły — odpowiadał ruszeniem ramion dwuznacznem.

Najosobliwszem jednak wydało się to wszystkim, że ani pytał, kto był ten Horpiński, ani się go ciekawym zdawał. Znajdujący się tu i sle-

dzący bacznie obu, p. Emil Paczuski znajdował to—nienaturalnem.

Wnioskował nawet, że chyba—Nitosławski coś wiedział, co mu tłómaczyło fakt ten w zdumienie wprawiający wszystkich innych gości.

Na pannie Michalinie widocznie ten wypadek—czynił przygniatające jakieś wrażenie. Chodziła błada, niespokojna, a oczy jej daleko częściej się zwracały ku Horpińskiemu, niż ku nowemu gościowi. Odgadywać się zdawała przykrość, jakiej doznawała. Pragnęła go pewnie pocieszyć — czy przekonać się do jakiego stopnia uczuł to spotkanie—bo, idąc do babuni, obrała taką drogę, aby się na niej spotkała z Horpińskim. Skinęła na niego, bo stał trochę zdaleka — zbliżył się...

Salon był nadto pełny, rozmowa prawie niemożliwa; panna Michalina poprowadziła go ze sobą do przyległego gabinetu, w którym osób było daleko mniej—i para stolików czekała na graczy.

W głosie Michaliny czuć było wzruszenie.

— Znasz pan Nitosławskiego?—spytała.

Zimno i sucho odparł Sylwan:

— Nie mam honoru.

— Ludzie znajdują panów tak nadzwyczajnie podobnymi do siebie, ja—nie...

Zwróciła się ku niemu. Stał przed nią blady,

smutny, gryząc wargi, nie kryjąc przykrości, jakiej doznawał. Zaczął mówić pocichu:

— Nie jest to rzeczą przyjemną, spotkać się z taką... maseczką własną w towarzystwie. P. Nitosławski położeniem swem przerasta mnie owiele — dostaje mi się więc rola cienia i ciekawego egzemplarza igraszek natury. Pani mi nie weźmie za złe, że się — cofnę i że chyba nieprędko znów ukazę się tam, gdzie mi zawsze mój *sosios* będzie grozić.

Nie móżd być nawet sobą, ale skazanym zostać na—kopią słabą jakiegoś oryginału — smutnym jest losem.

— Pan to bierzesz tak tragicznie — szepnęła Misia—co jest prostym przypadkiem.

— Nader nieprzyjemnym — rzekł Sylwan — przyznasz to pani—lecz są takie przeznaczenia—doleł...

Uśmiechnął się, popatrzył jej w oczy, podali sobie ręce, Michalina długiem spojrzeniem starała się go pocieszyć, zatrzymała się trochę—i poszła do babci.

Horpiński pozostał w gabinecie, przeszedł się po nim razy parę, niespokojny—znalazł drzwi boczne wychodzące do sieni i niepostrzeżony wyknął się niemi.

Gdy w salonie go zabrakło, a ciekawe oczy próżno szukały dla porównania tych dwóch twa-

rzy—zaczęto się zbliżać do Nitosławskiego i wiele osób zawiązało z nim znajomość.

Nikt jednak nie śmiał napomknąć o—Horpińskim; i—dopiero poufalszy nieco Pruszczy, który na ten dzień przybył umyślnie, wzięwszy na stronę p. Wacława, zagadnął go, szepcząc na ucho:

— Czy pan uważał tego kogoś, którego tu wszyscy tak nadzwyczaj podobnym uznają do niego! To prawda, że podobieństwo niesłychane.

Nitosławski się poruszył niecierpliwie.

— Nadzwyczaj nieprzyjemne to dla mnie—wybąknął kwaśno, pochylając się do ucha Pruszczy-cowi.—Jest to przypadek—ale zwracać na siebie oczy i paplanie ludzi z powodu takiego fenomenu—nie miło.

Pruszczyc obojętniej to brał.

— Rzecz małego znaczenia — rzekł — pan nie znasz tego Horpińskiego!... nie wiesz o nim nic?

Żywo bardzo, może aż nadto, Nitosławski przerwał:

— Nie wiem!... nie znam...

Stary wojskowy, który mu spojrzał w oczy nagle, spostrzegł, że mówiąc to, był nadzwyczaj zmieszany. tak, że protestacya wydawała się podejrzaną. Oprócz tego p. Wacław z widoczną niechęcią przyjął to pytanie.

Po wyjściu Horpińskiego pozostał Nitosławski

dosyć długo. Usiłował się zbliżyć nareszcie do Michaliny, która uznała, że dla samej grzeczności unikać go nie mogła. Dozwoliła mu więc sięść przy sobie — i zaczęła się jedna z tych rozmów wstępnych, przegrywek do lepszej znajomości, jaką się zwykle pierwszy raz spotykające osoby wzajem badają.

Panna Michalina władała już zupełnie sobą, była chłodną i starała się tylko wyrozumieć, oile podobieństwo twarzy, głosu i ruchów ciągnęło za sobą jedność ducha.

Lecz im rozmowa o podróżach, o Londynie, o życiu w Anglii i t. p., przeciągała się dłużej, tem Misia się bardziej przekonywała, że ci dwaj bratersko do siebie podobni ludzie stali na krańcowo przeciwnych stanowiskach pojęć i poglądów.

Przed kilku dniami właśnie miała ona sposobność o tym samym przedmiocie mówić z Sylwanem: mogła więc porównać ich ze sobą.

P. Wacław był prawdziwym angłomanem nieulegającym krytyce, a spostrzegaczem fenomenów życia zewnętrznego, w których głębsze znaczenie się nie zapuszczał. Opisywał wybornie, tłómaczył nawet śmieszności zręcznie — i za ten kres nie wychodził. Sylwan również wiele instytucji angielskich, wiele cech obyczajowych uznawał nasładowania godnemi, lecz strony ujemne były może jeszcze dobitniej oznaczone w jego sądzie. A co

się tycze naśladownictwa dodawał, że nie się nie powinno i nie może przesadzać, że obyczaj i instytucya musi rosnać z rodzinnego gruntu i żyć sokami własnymi. Słowem p. Wacław wydawał się dziecinnie płytkim, choć bardzo dowcipnie opisywał wyścigi w Epsom, życie na wsi, polowania, wybory do parlamentu i salonu West-Endu.

Nitosławski nie był niczem więcej nad bardzo dobrze wychowanego człowieka, nader miernych zdolności, gdy Sylwan pannie Michalinie wydawał się naturą wyższą—umysłem wybranym.

Jedno tylko wspólne im było: to chwilowo się objawiająca pewna złośliwość i pogarda ludzi. Źródło tych uczuć mogło w nich obu być odmiennie; sposób, w jaki się wyrażali—miał w sobie coś pokrewnego.

Uderzyło to pannę Michalinę. Chwilami coś w uśmiechu, intonacyi, ruchu rąk, wejrzeniu tak jej żywo przypominało Sylwana, iż drgała mimowolnie.

Wacław, choć trochę zmieszany w początku, nadto znał wyższość swą, zbyt pewnym był sukcesu, by się bardzo prędko nie wyswobodził z wrażenia i nie stał samym sobą — to jest świetnem zjawiskiem.

Milionowy pan, piękny mężczyzna, dobrze położony w świecie—nie mógł zwątpić o sobie. Panna Michalina podobała mu się nadzwyczajnie.

Nawet pewien chłód ostrożny, z jakim go przyjmowała, — nie zrażał go. Piękność czyniła mu ją nadzwyczaj sympatyczną — im dłużej się jej przypatrywał, okiem znawcy oceniając wszystkie doskonałości i wdzięki twarzy, postaci, głosu. wejrzenia—tembardziej był zachwycony.

Dla niego był to ideał żony, jaką marzył dla siebie. Nie mógł jej szukać w Anglii. gdzieby może najłatwiej znalazł piękność dystygowaną i poważną—w kraju żadna jeszcze panna tak mu się stworzoną na panią Waławową nie wydała.

Przytem majątek. imię, jedynactwo. charakter matki. nadzieje na babunię—wszystko czyniło ją partją najpożądaną.

Kochać się. w znaczeniu tego wyrazu zwykłym, nie mógł p. Waław; był nadto prozaicznym i praktycznym. Mówiono wiele o różnych jego dwuznacznych stosunkach. gdy był młodszymi. wszystkie one ciężko się skończyły, bez żadnej katastrofy—a teraz znano go tylko jako młodzieńca chcącego się ożenić, któremu—w przekonaniu większości—żadna panna w świecie odmówić nie mogła.

Wielki los czekał tę, która miała wyjść za niego.

Gdy po dość przeciągniętej rozmowie. na którą zwracano oczy ciekawe. pan Waław w ostatku odszedł, a Misia została sama—pozostało jej

po nim wrażenie osobliwe — jakby temu człowiekowi zbywało umysłowo na jakiejś władzy nierozbudzonej czy zmarłej. Wychowanie, uczyniło z niego co tylko mogło — natura skaleczyła go w kolebce.

Przecucie mówiło też — iż to, co się pospolicie sercem nazywa — nie istniało u Nitosławskiego. Pojmował on, że czynić dobrze nakazywał rozum, ale popędu do dobrego nie przynosiło mu uczucie. Dawał jałmużnę, jak podatek; litość, nie rozumiał. Misia pomyślała:

— Jeżeli mi go przeznaczają — sto razy wolę, nie iść za męż. Ten człowiek wzrokiem-by mnie na śmierć zamroził.

Ci, co widzieli zdala pannę Michalinę rozmawiającą z p. Wacławem, począwszy od matki — zupełnie się w domysłach omylili. Rozmowa szła tak gładko, towarzyszyły jej takie uśmiechy, znaki porozumienia, że p. Zawierska rokowała jaknajpomyślniej.

Jedna z dam zawyrokowała zdala dość zabawnie o Nitosławskim, że był: *correct*, i to go może najlepiej malowało.

Nie popełnił najmniejszej niezręczności, a gdy wyszedł z salonu, mógł z sobą wynieść to pocieszające przekonanie, iż nikt w świecie na jego miejscu lepiej-by się znaleźć nie umiał.

Horpiński wrócił do mieszkania swego, rozdra-



żniony do najwyższego stopnia—nie mogąc długo zebrać myśli. Burza jakaś wrzała mu w piersi. Miał zwyczaj, gdy się czuł tak poruszonym, szukać ukojenia w przymusowej pracy.

Rozebrał się natychmiast, porwał książkę i chciał czytać, ale oczy tylko chwytaly litery—umysł był gdzieindziej. Zmnszał się, powracał do przebieżonych wierszy—i nie podobna mu było się zwyciężyć.

Rzucił w końcu książkę. Potrzebował rozważyć, jak miał postąpić: uciekać, zniknąć, czy śmiało stawiać czoło nieprzyjemnym następstwom?

Widocznem było, że Nitosławski nie bez myśli kazał się przedstawić Zawierskim.

Horpiński o pannę nigdy się starać nie myślał, ale mimo to był zazdrosnym. Bolało go serce. Oprócz tego położenie jego miało stronę drażliwą, śmieszłą.

Wnioski z tego podobieństwa rysów, niemogące szkodzić arystokratycznego pochodzenia panny Wacławowi, na mało znanego nazwiska Horpińskiego jakiś fałszywy cień rzucały. Nieprzyjaciele, próżniacy, plotkarze — mogli wyzyskiwać wypadek.

Najłatwiej było nazajutrz zaraz sięść na konia lub bryczkę, odjechać do Rusinowego Dworu i tam przesiedzieć kilka miesięcy, dopóki-by się

nie rozwiązały konkury o p. Michalinę — i nie ustalo paplanie.

Lecz zniknięcie takie. nie mogło się inaczej tłumaczyć, jeno ucieczką.

Sylwan zaś w życiu nie zwykł był nigdy i przed niczem uciekać. Samo przypuszczenie tchórzowstwa, upokorzenia — doprowadzało go do szaleństwa. Pod tym uciskiem losu całą energią duszy swej — opierał się i hartował do obrony.

Przez całą noc służący słyszał go przechadzającego się po pokoju — palił cygaro po cygarze. chodził niemy. blady i nie znajdował w sobie żadnej zbawczej myśli. Musiał pozostać na miejscu — pokazywać się na salonach. milczeć, cierpieć, męczyć się, uśmiechać — uciekać nie mógł.

Prawdopodobnem było, że się gdziekolwiek znowu z Nitosławskim spotkać mieli — zrobienie nawet znajomości mogło się stać nieuchronnem.

Potrzeba było stanąć do tej śmiesznej walki. której przyczyny określić się nie dawały z niewzruszoną krwią zimną i powagą.

Horpiński nie mógł unikać zbytnio ani salonu Zawierskich, ani innych domów, w których bywał zwykle, bo byłoby to uderzajacem. — chociaż spotkanie się z Nitosławskim było nieznośne.

Zaraz nazajutrz pokazał się na ulicy, poszedł do teatru, starał się. aby go widziano — rozmawiał dosyć wesoło z osobami, które spotykał, tak

żeby się nie mogły domyslać, iż ciężkie brzemię nosił na duszy.

Co się tycze p. Wacława, zdarzenie zarówno nieprzyjemne—było daleko w jego położeniu lżejszem do zniesienia. Cóż to go mogło obchodzić, że ktoś był do niego podobnym?

Nie miał tak delikatnych uczuć, aby go cudze cierpienie obchodzić mogło wielce. Kilku znajomych bliżej rozpytywał od niechcienia o Horpińskiego. Wszyscy zgodnie poświadczyli, że był człowiekiem najlepszego wychowania, towarzystwa i pod względem majątkowym zupełnie niepodległym. Znano go tu od lat wielu, żyjącego na stopie bardzo przyzwoitej, a długów nie miał żadnych. Ludzie poważni odzywali się o nim bardzo pochlebnie.

Nitosławski, słuchając, milczał i zagryzał wargi.

W ciągu dni kilku, pomimo, że oba krążyli po mieście i w jednych domach bywali, szczęściem nie spotkali się już nigdzie okowoko.

P. Wacław potrzebował bawić się, nawykłym był do ludzi, samotności nie znosił. Prowadzeniu się jego nic zarzucić nie było można, ale miał słabostkę do ucztowania i wesołego gwarzenia przy szampanie. Mówiono, że bardzo krótka służba wojskowa nazwyczaja go do tego.

Porobiwszy liczne męzkie znajomości, zapraszany na obiady, wieczory, niechcąc być w dłu-

gu—w końcu Nitosławski chciał dowieść, że umie być wdzięcznym i że potrafi gości też przyjąć z „szykiem“.

Po zapewnieniu się, że Bouquerel odpowie wszelkim wymaganiom europejskiego smaku. — postanowił dać obiad dla swych znajomych i nowych przyjaciół.

Zamawiając go u francuza, po przedyskutowaniu *menu* i win jakie podawane być miały, zakończył tym frazesem:

— Niech pan raczy pamiętać, że mi wcale nie idzie o to, co obiad kosztować będzie, ale wielce o to. aby mnie i pana nie skompromitował. Powinien być takim, ażeby o nim poroku jeszcze wspomniano.

Francuz skłonił się pewien siebie, że mając *Carte blanche*, odpowie położonemu w nim zaufaniu.

Kilkanaście osób zaproszonych. wybranych z najlepszego towarzystwa. do których umieli się przyłączyć dwaj pasożyci, co sławę biesiady roznieść mogli po świecie: Kapitan Lurski i chudy a gadatliwy Salvator—składali owo kółko, które p. Wacław w osobnej salce hotelu miał przyjemnośćogaszczać.

Samo pojrzeenie na zastawę stołu przekonało Nitosławskiego, że mógł być spokojnym—i że obiad wstydu mu nie robi.

Kapitan Lurski, wielki gastronom, który umiał

stanąć z Wacławem w krótkim czasie na stopie poufaleści — a razem służył mu gorliwie, przywłaszczył sobie urząd vice-gospodarza, pod pozorem, że on tu był, jak w domu.

Goście, po większej części ludzie młodzi, lub chcący być jeszcze młodymi, w najlepszych humorach zasiedli do stołu, wiedząc, że ich czeka jedna z tych uczt monumentalnych, które po sobie rzadko niestrawność, zawsze miłe zostawiają wspomnienia.

Nitosławski z talentem umiał mówić o niczem, bawić dowcipem pożyczanym, ożywiać towarzystwo i tonowi męskiej rozmowy nadać tę swobodę przyzwoitą, która pozwala mówić o najdrażliwszych rzeczach, nie przechodząc w trywialne grubiaństwo. Lurski był w tem także mistrzem.

Aż do drugiego podania wszystko szło nadzwyczaj składnie i ożywienie rosło. Oczy zaczynały błyskać coraz jaśniej, usta otwierały się coraz szerzej, i nieznacznie od ogólników przechodzono do faktów miejscowych, aby gościa, p. Wacława, wtajemniczyć w życie stolicy.

Z pewnem umiarkowaniem, ale nie bez złośliwości mówiono o domach, w których Nitosławski bywał, o kobietach, o pannach na wydaniu, o młodości. Przyzwoitość tylko Zawierskich wcale tknąć nie dozwalała. Wiedzano, że p. Wacław miał pewne zamiary.

Wstrzymywała i przytomność Pruszczyca. przyjaciela domu, który na obiad był zaproszony i siedział jakiś milczący, niekoniecznie rad tej Lukulusowej uczcie. Kapitan Lurski zabawiał go, jako kolegę.

Przy deserze z wystąpieniem szampana najpierwszych mark, wesołość i swoboda silnie się spotęgowały. Pruszczyca tylko pił bardzo umiarkowanie i dolewać sobie nie dozwalał. Języki się rozwiązały, żarty i dowcipy stały się coraz śmielsze.

Wstając od stołu do czarnej kawy i likworów, wszyscy byli kochający, przyjacielscy, gadatliwi. śmiejący się, szczęśliwi. Kupkami obozowano po salonie.

Nitosławski na kanapce przysiadł chwilę, z dobrodusznym owym hrabią Antonim, który go wprowadził do Zawierskich.

Uderzył go po kolanach poufale, nalewając mu Chartreuze.

— Jak sądzisz, kochany hrabio — czem się skończą starania moje?

Panna mi się nadzwyczaj podobała — jestem rozmarzony, rozkochany. Niezrównaną byłaby królową salonu. Dystynkcyja, takt, rozum, nauka, a przytem ta jej piękność.

Zimną jest dotąd jednak dla mnie.

Hrabia Antoni zapalał cygaro.

— Chcesz-bo koniecznie jak Cezar, zaledwie się ukazawszy — módz już wykrzyknąć — *veni, vidi*—i

Wacław skrzywił się.

— Chciałbym nie tak nagłego zwycięstwa—odparł — ale choć nadziei, że je odniosę; a — *entre nous* — jestem przekonanym, że gdyby nie pewne indywiduum, dalekoby mi szło lepiej.

Spojrzeni sobie w oczy, pocziwy hrabia nie odga-  
dywał. Nie miał on wogóle talentu domysłania się.

— Kto taki?—spytał.

Nitosławski był szampanem i chartreuzą mocno rozgrzany—czyniło go to nadmiarę otwartym.

— Kochany hrabio, mnie nie zdradzi-sz—rzekł.—  
Boję się, aby ten nieznosmy *sozios*, to nieprzyjemne zjawisko sobowtóra nie szkodziło mi.

Hrabia Antoni musiał chwilę podumać, aby zrozumieć: Horpiński mu nie przyszedł zaraz na myśl.

— Al mówisz o tym Horpińskim!—rzekł w końcu. — Ba! między wami niema żadnego związku, oprócz tego niemilego podobieństwa twarzy. Horpiński się o pannę nie stara: to wiadomo, zna ją od lat wielu.

— Ba!—odparł Wacław—czuję w nim nieprzyjaciela! a że matka i córka wielkie w nim zaufanie mają—to nie ulega wątpliwości.

Po zwierzeniu się tem, trwało czas jakiś milczenie. Hrabia Antoni po obiedzie rad był silniejszych wzruszeń i nawet roznamiętnionej rozmowy unikać. Wacław, przeciwnie, obiadem był ze zwykłego sobie umiarkowania—wykolejony.

Niezupełnie panował nad sobą.

— Hrabio—rzekł po namysle—słowo honoru. że wszystko to pozostanie pomiędzy nami!

Wielkie oczy wytrzeszczywszy pocziwy powiernik, z pośpiechem rękę podał, zaręczając, że tajemnicy dotrwa.

Wacław schylił mu się do ucha.

— To cała historya—rzekł—która sięga żywota. ś. p. ojca naszego; nie miałem szczęścia znać go prawie, mało bardzo pamiętam, odumiał nas młodem.

Nierychło, gdyśmy doszli do pełnoletności. ja i mój brat — znasz go, tak do mnie podobny jak Horpiński — zacząłem się w papierach po ojcu



rozpatrywać i o nim rozśluchiwać w okolicy. informując u tych, co go osobiście znali.

Ojciec nasz, wszyscy mu tę sprawiedliwość oddają. był człowiekiem nadzwyczaj prawym i szlachetnym, ale miał ludzkie słabości. Mówią, że lubił kobiety piękne i łatwo się rozmiłowywał.

Tych jednak młodzieńczych miłostek jego, gdy się raz ożenił, nie pozostało najmniejszego śladu. Głuche wieści krążyły o nich—którym przyjaciele ojca zaprzeczali.

Dziwnym trafem, rozbierając papiery i rozrachowując fundusze jakie po ojcu pozostać były powinny, trafiłem na ślad wyraźny, że kilkakroć setki tysięcy brakło — których rozporządzenie najgłębsza okrywała tajemnica. Było to dla nas zagadką. Nierychło potem od starych ludzi zaszyszałem, jakoby ojciec, młodym będąc, zakochał się w prostej wiejskiej dziewczynie, nadzwyczajnej piękności, utrzymywano nawet, że się z nią potajemnie, mimo oporu rodziny ożenił, miał syna—i z największą trudnością potem przyszło to małżeństwo nieważne rozerwać, a ojca z matką naszą ożenić.

Co się stało z tą pierwszą kochanką czy żoną, z tym synem?—wpadli jak w wodę — ani słychu. Mówiono, że wyposażona hojnie kobieta, wyniosła się gdzieś daleko—że dziecko powierzone było na wychowanie jakiemuś nauczycielowi, który

miał jaknajstaranniej czuwać nad niem aż do lat dojrzałych.

Wszelkie podobieństwo mówiło za tem. że znikłe kapitały ojca, który nigdy ntracyuszem nie był—musiały przejść na tego... nieznanego nam... syna chłopki.

Ale w papierach—została tylko próżnia. Zniszczono jaknajstaranniej wszelkie dowody. mogące na jakieś domysły naprowadzać.

Jednakże, kochany hrabio — wy to wiecie, że najtroskliwsze zacieranie nieprzyjemnych wspomnień—zawsze się okazuje próżnem. Wszystko wychodzi w końcu na wierzch.

Hrabia potakująco głową poruszył.

— Nie mieliśmy wcale ani ja ani brat pretensyi do ojca—ciągnął dalej Wacław — za rozporządzenie tym półmilionem złotych, gdyż summa dochodziła tej wysokości, a mogła ją nawet przewyższać.

W rachunkach za życia ojca stało oprócz tego regularnie po kilka tysięcy rubli rocznie—zawsze w jednej porze, na niewiadomy obracanych n-żytek...

Mnie i brata więcej daleko niepokoiło to, żeśmy gdzieś na świecie mogli mieć kogoś. tak blisko z nami połączonego. do którego się ani można było przyznać—ani wiedzieć, jaki go los czekał.

Wystaw-że sobie wrażenie. jakie na mnie uczy-

nił ten Horpiński. ze swem nadzwyczajnem podobieństwem do nas! Natychmiast mi na myśl przyszło: Ten być musi!

— Ale, mój drogi panie Wacławie — odparł hrabia — mnie się zdaje. że to czysta imaginacya. Horpiński. oile wiem. nigdy nie bywał na Ukrainie. i prawdopodobnie pochodzi z Galicyi. albo....

Tu hrabia się zatrzymał trochę.

— Właściwie. kto go wie? — dodał — ukraińskiego w sobie nic nie ma.

— Zapominasz o tem. — wtrącił Wacław — że ojciec umyślnie zacierał pochodzenie. że matkę i syna wywieziono.

Nitosławski ruszył ramionami.

— Dodajmy do tego — rzekł — że, chociaż ja nie wiem nic o nim, bardzo być może. iż on. przez matkę jest uwiadomiony o ojcu — że wie w jakim stosunku jesteśmy.

Nie naturalniejszego nad to. że nas nienawidzieć musi.

A właśnie on. jak tu wszyscy utrzymują, jest w szczególnych względach u babuni. u pań Zawierskich i u p. Michaliny.

Musi mi szkodzić.

Długo, długo hrabia Antoni głową poruszał, palił cygaro — ręką jedną bębnił po stoliku. nim rozważywszy, co mu Nitosławski zwierzył — odezwał się z wymijającą odpowiedzią:

— Cóż tu na to radzić?—he?

— Nie mam najmniejszej skazówki. mogę się mylić—mówił Wacław po chwili—ale prawdopodobieństwo jest za mną. Jak ci się zdaje?

— Rzecz to bardzo niepewna—odparł hr. Antoni—są czasem dziwne natury igraszki. Potrzeba-by koniecznie dojść: z kąd pochodzi i kto jest ten Horpiński?

— Tak—lecz właśnie, co mi najwięcej daje do myślenia. to—że się o nim nic dowiedzieć nie można — zawołał Nitosławski. Niejaki Paczuski. patrz—oto ten, co tam z p. Salvatorem siedzi przy oknie, zadał był sobie pracę szpiegowania go, dochodzenia. Poznałem się z nim umyślnie; jest gadatliwy, nie lubi tego Horpińskiego, wyśpiewał mi chętnie. co wie, i przekonałem się. że nie wie nic.

Przyznasz, mój hrabio. że kto się tak ze swem pochodzeniem tai, ten coś ma do ukrywania.

Hrabia. widocznie skonwinkowany. małemi haustami dopijał *chartreuzę* i ramionami poruszał.

— Nie widzę jeszcze—dodał po namyśle, dla-czegoby ten pan wam miał być nieposłusznym i chciał szkodzić.

Mówilem i powtarzam, iż tego jestem pewnym. że się o p. Michalinę nie stara.

Chociaż zdaje się być człowiekiem zamożnym. ale zawsze to nie dla niej partya. I że nie jest

konkurentem. dlaczegoby miał być przeciwnikiem?

— A! a!—zawołał, rozgrzewając się coraz mocniej Nitosławski — nie rozumiecie więc tego, kochany p. Antoni, że są wrodzone takie nieprzyjaci. niechęci, wstręty, które się rodzą od pierwszego wejrzenia. Ja mam wstręt okrutny do niego i jestem pewny, że on też musi mi być nieprzyjacielem.

— Imaginacya!—uśmiechnął się hrabia. Panną się zająłeś mocno, rozbijała fantazyja—i roisz. Słowo daję.

Chcesz, abym ja zbliżył się do niego i starał się go wybadać, albo nawet was z sobą zapoznał? To by było może najlepszem.

Nitosławski się wzdrygnął.

— A! nie — rzekł — jeśli chcecie się do niego zbliżyć, nie mam nic przeciw temu—co do mnie—byłoby mi to tak przykrem, że chyba ostateczność mogłaby mnie zmusić.

Dobrodusznie, niebiorąc tego bardzo do serca, hrabia począł mruzczyć, iż postara się w tem rozpatrzyć.

— Miej tylko cierpliwość, p. Wacławie — proszę o nią.

Cała ta historyja waszego ojca, tego pół miliona i ukrytego syna, zdaje mi się być owocem fantazyi. Mógł się kochać w ukraińskiej dziewczynie;

lecz, żeby romans chłopski tak go dalece obowiązywał, żeby miał takim kosztem dziecko wyposażać, to zdaje mi się nieprawdopodobnem. Nie! nie!

— Mówiłem wam — przerwał Wacław—ojciec moj. był nadzwyczaj sumiennym. Lndzie powiadają, że choć ślub był nieważny i nieformalny—lecz zawsze narzucał mu pewne obowiązki.

A tu, tak nadzwyczajne podobieństwo do nas, do mnie, aż do tego znamienia z lewej strony.

Nitostawski poruszył ramionami ucieierpliwie.

Wtem inni goście otoczyli kanapkę. Niektórzy wkładali już rękawiczki i chcieli odchodzić, inni *chartreuzą* z panem Wacławem jeszcze kieliszki potracali — inni wychwalali przyjęcie i gospodarza.

Pan Wacław musiał wstać, wmieszać się w rozmowę—i zostawił hrabiego Antoniego na kanapce, bo ten nie rad był po jedzeniu się ruszać i potrzebował odpoczynku dla dygestyi.

Wesoło żartowano jeszcze, osnuwając nowe zabaw plany. Młodzież chciała dla pań wyprawić bal kostiumowy; usiłowano na jednego z gospodarzy zaprosić Nitostawskiego, który nie odmawiał.

Powoli jednak rozchodzili się goście, pozostali tylko krótko na pobjowisku: gospodarz, hr. Antoni i dwaj pasażyci. Chudy Salvator zbierał się do odwrotu, a Lurski poddawał myśl wypicia tu jeszcze herbaty z cytryną.

Zawołano więc o herbatę.

Hrabia Antoni dumał tymczasem: niekiedy powieki mu zapadały. jakby chciał usnąć — ale się otrząsał z tej napastliwej drzemki. bo myślał o Horpińskim i o sposobie uspokojenia Wacława.

Horpińskiego hrabia spotykał często. znał go nieco. lecz nigdy z nim bliżej nie był. Nie stworzeni dla siebie. nie czuli pociągu do poznajomienia się. Hrabia, dobry, nprzejmy. wszystkim starający się służyć, wiedział, że z Horpińskim nie miałby o czem mówić — obawiał się jego wyższości. Teraz jednak, gdy dla Wacława zdawało się to potrzebnem. gotów był uczynić krok jakiś. aby spróbować i przekonać się: czy Horpiński istotnie był tak źle usposobionym, jak się domyślał p. Wacław?

Podano herbatę. hrabia dumał. a Lurski dowcipował.

— *Ma foi*—odezwał się w końcu do gospodarza. sądząc. żeś pan już musiał zdobyć serce panny Michaliny.

Miedzy nami mówiąc—wielkie u niej miał laski Horpiński. pan szalenie go przypominasz, podobać się więc musiałeś i skorzystasz z tego. Na to potrzeba się było w czepku narodzić! Oszczędził pannę jakie pół roku kunkurów.

— Tak—odparł Wacław kwaśno—albo je uczy-

nił zupełnie niemożliwemi. Czy pan sądzisz, że podobieństwo twarzy może wpłynąć na.... serce.

— Czemu nie? — zawołał Lurski — nacoby się u licha zdały fiziognomie. gdyby żadnego nie miały znaczenia?

— Lecz jest i to prawo w naturze—dodał Wacław, że serce szuka coraz czegoś nowego. Po blondynce zawsze się kocha brunetkę, i — jeśli p. Horpiński był w łaskach, to może właśnie muie nieszczęśliwemu sobowtórowi jego być do nich przeszkodą.

Śmiać się zaczęto z tego dziwaczego przypuszczenia; Lurski, pozytywista, nie mógł przypuszczać nawet, ażeby taki Nitosławski, młody, dobrze wychowany milioner, mógł być—odepchnięty przez Zawierskie.

— *Ma foi*, — mówił żywo. — Wysoko cenię te paunie, ale koniec końców, rozzum-by nie miały, gdyby taką świetną partya odrzuciły. Wprost to jest niepodobieństwem!

Wstał i pożegnał się Lurski. Nitosławski rachunek zapłacił: pożegnali się z hr. Antonim, i—tak się skończył ten dzień pamiętuy.

Pan Wacław poszedł jeszcze do teatru, a że Zawierskie w loży zobaczył, zjawił się u nich na chwilę. Panna Michalina przyjęła go grzecznie, ale zimno, właśnie, gdy on był rozmarzony i ożywiony bardzo.



Na pierwszy rzut oka odgadła, że powracał z takiego kawalerskiego.... obiadu—który dla niej był czemś wstrętliwym. Rozmowa potwierdziła to. i Misia zachowała się już tak zimno, że Nito-sławski długo w łóży zabawić nie mógł.

Nazajutrz, po nocy dosyć niespokojnej. którą hr. Antoni spędził. pijąc wodę i niemogąc usnąć, przypominał sobie. iż był obowiązany śledzić Horpińskiego. a nawet się zbliżyć do niego.

Zadanie było nieprzyjemne. a przy całej swej usłużności. hr. Antoni nie lubił twardych orzechów do gryzienia—bo nie miał zębów potemu.

Gdzie dobrem sercem można było starczyć, stawał chętnie, ale przebiegłości. chytrości zupełnie był pozbawionym.

W duchu narzekał na — przywidzenia Nito-sławskiego.

Właściwie niewiedzieć gdzie było szukać Horpińskiego i niewiedzieć jak gonienie za nim tłómaczyć.

Po kilku dniach dosyć niezręcznego biegania po mieście. w jednym z tych salonów wielkich. gdzie się cały świat spotyka, kędy wszyscy się przesuwają, a nikt nie wrasta do nich — hr. Antoni spostrzegł Horpińskiego. Obcesowo prawie natychmiast się starał zbliżyć i zawiązać rozmowę. chociaż mało z sobą byli poznajomieni.

Zawiązała się rozmowa niezręcznie. Sylwan

nie okazywał ochoty do prowadzenia jej. ale hrabia był prawie napastliwym. Naprowadził z ławością rozmowę na to, że się ciężkiego podjął dzieła—opieki nad Nitosławskim.

— Kochany pan mógłby mi być w tem pomocą — dodał uprzejmie. Wiem, że u Zawierskich jesteś położonym jaknajlepiej; nie tajemnicą to dla nikogo, że się p. Wacław chce starać o p. Michalinę. Jak się panu zdaje? Jest on tam dobrze widzianym?

Horpiński. wielce zdziwiony. przyjął to pytanie niespodziane.

— Pan hrabia się myli — rzekł sucho — ja nie jestem tak poufałym w tym domu, aby mi się zwierzano w sprawach tak delikatnych.

— Ale mogłeś sam nważać!

— Nie zwracałem na to uwagi — rzekł Horpiński.

Po chwili hrabia dodał:

— Jak się panu wydał Nitosławski?

— Ale ja go nie znam wcale.

— Życzyłbyś sobie poznać? — wtrącił żywo hrabia.

Horpiński się zmieszał widocznie.

— Bardzo dziękuję hrabiemu — rzekł — niechętnie robię nowe znajomości, nie szukam ich.

Nastąpiło milczenie.

— Jakież choć zdala uczynił na pannę wrażenie Nitosławski?

To pytanie natrętne nieprędko wywołało odpowiedź. Skrzywiły się usta Horpińskiego.

— Z wrażenia trudno mi się wytłómaczyć—dodał powoli.— Już to samo, iż Nitosławski jest tak śmiesznie do mnie podobnym, nie mogło obudzić sympatyj. Hrabia w życiu musiałeś tego doświadczyć, że podobieństwa się odpychają, a przeciwieństwa pociągają.

Hrabia Antoni wziął to za żart dowcipny i mocno się śmiać począł.

— P. Wacław—rzekł—jest nader miłym, towarzyskim i najlepszego tonu człowiekiem.

— Nie wątpię—zbył krótko Horpiński.

Hrabia Antoni miał dosyć wprawy i doświadczenia, aby umieć naprowadzić gawędę, gdzie mu było potrzeba. Wrzucił pytanie, dosyć umotywowane: z których stron właściwie był Horpiński?

Sylwan przyjął je zimno - bo nie poraz pierwszy go tak zagadnięto.

— A!—rzekł z uśmiechem—bardzo mi trudno odpowiedzieć na to.—Sierota, wychowywałem się wędrując, nigdzie prawie nie bawiąc dłużej. Po-dróżkowałem wiele, od lat kilku już prawie stale bawię w Warszawie. Familii nie mam nigdzie.

więc właściwie nie mogę się przyznać do żadnej części kraju, jako do swojej.

— Nie ma pan rodziny wcale? — zagadnął hr. Antoni.

— Niestety! — szepnął smutnie Sylwan. Antoniemu nie wypadało badać go dłużej.

Zachodząc z różnych stron, hr. Antoni nie zdobył nic, i gdy Horpiński go pożegnał, patrzył zanim zupełnie zawiedziony w nadziejach. Wytrwawszy tak przez czas jakiś—aby o ucieczkę z placu posądzonym być nie mógł; obrachował Horpiński, iż teraz już śmiało może cofnąć się do Rusinowego Dworu.

Chciał jednak przed odjazdem pożegnać Zawierskie. Nie był do tego obowiązany, lecz tęskne jakieś uczucie, a może i niechęć ku Nitosławskiemu, instynktowa, nieprzewyciężona, prowadziły go tam.

Nie czekał jednak wieczora i wołał przyjść w takiej godzinie, gdy mógł znaleźć tylko matkę i córkę. Z twarzą, na której głęboki smutek mimowoli się piętnował, przestąpił próg tego domu. Upokarzało go to jak słabość, że się przywiązał, że przyrósł do tych pań—których nie miał prawa kochać—dla których był całkiem obcym.

W salonie, gdy wszedł, nie było nikogo, oprócz matki i córki. Zawierska była nieco cierpiącą.

Witano go—jak zawsze, uprzejmie.

— Przychodzę panie pożegnać—rzekł na wstępie. —Niespodziany interes zmusza mnie na czas jakiś opuścić Warszawę.

— Jedziesz pan! na długo?—podchwyciła żywo p. Michalina. —O! to nie dobrze! Pusto nam będzie.

— Pani jesteś nadto łaskawą — ależ to pora gdy salon bywa pełny. jak nigdy.

— Pełny i—pusty!—odparła p. Michalina —siedaj pan i tłumacz się co go wypędza?

— Niepodobna się usprawiedliwić—rzekł Horpiński. —Są takie w życiu fraszki. nie warte wspomnienia, a despotycznie ciężące na człowieku. Nie mówmy o tem.

P. Michalina, zrozumiałwszy, iż się więcej dopytywać nie wypadało—zamilkła.

— Jedziesz pan nadługo?—zapytała po przestanku.

— I na to pytanie odpowiedzieć mi trudno—rzekł Sylwan. Bardzo mi żal opuszczać Warszawę, a szczególnie dom państwa. który dla mnie był prawdziwą oazą. Lepiej jednak nie zbyt się przyzwyczajać do takich rajów na ziemi. kiedy ich na niej tak mało.—Mówił to Horpiński z wielkim smutkiem, panna Michalina milczała.

— Wątpię. żeby opuszczenie Warszawy tak pana bolało — odezwiała się znowu po krótkim

milczeniu. ale widzę. żeś pan smutny i podrażniony, a przyjaciółom się nie zwierzasz i nie pozwalasz. by się z nim podzielili jego — cierpieniem.... bo pan cierpisz!

Horpiński podniósł oczy na nią.

— Tak jest — odparł spokojnie — cierpię. lecz przywykłem do tego. Od kolebki jest to mój stan normalny. a to, co mnie dotyka, jest takiej natury, że współczucie nawet nie przyniosłoby mi ulgi.

Z obawy. aby się nie zwróciła Misia z nowem pytaniem do niego, Sylwan odezwał się z wesołością nadrobioną.

— A! chciałem oddawna panią zapytać. jak się nowa znajomość — Nitosławski podoba?

P. Michalina minkę zrobiła dziwną. spuściła oczy, zadumała się. pomyślała i — rzekła:

— Powiem panu prawdę — więcej się spodziewałam po nim. z tego, co nasz pocziwy Pruszczyk mówił. P. Nitosławskiemu nic zarzucić nie można. jako pięknemu meblowi w salonie — ale jako człowiek. nie wiem czy wychodzi nad przyzwoitość i pospolitą mierność: ani źle. ani dobrze o nim powiedzieć nie można. Jest jak wszyscy.

Złośliwie uśmiechał się, słuchając, Sylwan.

— Sąd pani bardzo względny jest i szczerzy — odparł — ale według mnie zanadto pobłażliwy. Nitosławski ma wszystkie wady arystokracji. nie posiadając prawa należenia do niej, i wszystkie

przywary średniego stann. Jest to człowiek niebezpieczny. bo gładki i zręczny—wewnątrz pusty.

Namiętnie dokończył tej charakterystyki Horpiński, i byłby może ją rozwinął obszerniej. gdyby w tejchwili pani Zawierska go nie zagadnęła. tak. że musiał wstać i pójść do niej. Równocześnie matka szepnęła córce. żeby się dowiedziała: co się u babci dzieje, i panna Michalina wyszła, a Sylwan został sam na sam z Zawierską.

Schyliła się ku niemu.

— Chciałam z panem mówić — odezwała się — mam w nim wielkie zaufanie... chcę się go poradzić, jak przyjaciela.

Pan to już musiałeś spostrzedz. że Nitosławski ma zamiar starać się o Michalinę.

— Wszyscy mówią o tem!

Westchnęła Zawierska.

— Partya byłaby doskonała—odezwała się — ale Misi nie podobał się. jak mi się zdaje. Co pan o nim sądzisz?

— Mało go znam—odparł ostrożnie Horpiński.

— A! nie wymawiaj mi się pan. proszę—nalegała matka.—Ludzie, jak pan. obdarzeni, mają instynkta—obracasz się w tych kołach. w których on bywa. Co o nim mówią? jak go sądzą?

W Sylwanie kipieć zaczynało: chciał się wstrzymać, trudno mu było. Czuł. że gdy mówić pocznie. może powiedzieć zawiele.

Niech mi pani wierzy—odezwał się żywo—nie mogąc dłużej poskromić, że—panny Michaliny instynkt. trafność sądu, powinny to decydować. Jeżeli córce pani się nie podobał. to starczy, aby się z nim pożegnać grzecznie.

— No. ale pan sam. ludzie, co sądzicie?—wtrąciła Zawierska.

— Dla mnie jest antypatycznym — rzekł bez ogródki już Sylwan.—Widzę w nim pospolitego człowieka. bez wielkich zdolności. w towarzystwie rutynowanego, zręcznego; ale nie w nim szlachetniejszego nie umiem dopatrzeć. Lubi się bawić. dobrze jeść i pić. spekulować na koniach. Nie wyprawia orgii. ale z pewnością, wciągnięty do nich. nie miałby siły się oprzeć pokusie. W moich oczach zuchwalstwem się to wydaje, że śmie nawet pomyśleć o p. Michalinie. Niech Bóg broni. aby ona miała paść jego ofiarą.

Mówił coraz goręcej. twarz mu się paliła, biegły oczy. Zawierska słuchała. wzruszona.

— Jeszcze raz powtarzam — dodał — niech się pani z zamkniętymi oczyma zda na sąd p. Michaliny i nie przeciwi jej. Nitosławski ma wszystko. co dla każdej innej panienki uczyniłoby go pożądanym—tylko nie dla córki pani.

Zawierska milcząco podziękowała mu, podając rękę. i westchnęła.

— A! mój Boże—odezwała się—jak to trudno



dla takiej istoty, jak moja Misia, dobrać parę stosowną! a tymczasem lata biegną, trwoga ogarnia.

— O co? P. Michalina jest przy pani szczęśliwą i te lata swobodne będą dla niej pewnie najmilszym życia wspomnieniem. Na cóż je skracać?

Zawierska zadumała się, nie chciała może wyspowiadać się z całą szczerością.

— Więc Nitosławski nie jest wcale tym ideałem—rzekła—o jakim marzyliśmy?

— Daje doskonale *diners fins*: to niewątpliwa; konie jego wyścigowe „Meteor“ i „Azalia“ zyskały sławę na nie jednym turfie; on sam w trybunie Jockey-Clubu, przy stole, w salonie składającym się z nicości, gra rolę wcale piękną: ale to jest klejnot wielce podejrzaney wartości, dla prawdziwych znawców—brylant może, lecz oszlifowany z dyamentu *du Cap*.

Mówiąc to, Horpiński, zwykle łagodny, przybrał wyraz jakiś namiętny, rozgorączkował się nieco. W tej chwili powróciła p. Michalina, a matka rękę mu ścisnęła, dając znak, aby zamilkł. Wstał Sylwan, chcąc się zegnać, gdy Misia zaprosiła go do blizkiej pracowni swojej, aby się poradzić—mówiła żartobliwie—o zieloność lasu, który malować zaczynała. Śmiejąc się, poszli razem do atelier.

— Dwa razy w życiu — odezwała się, na próg wstępując. Misia — widziałam pana tak nieli-

tościwym — napierw, kiedyś odsądzał biednego Emila Paczuskiego od — wszelkich towarzyskich jego zalet. dziś drugi raz, gdyś Nitosławskiego zgniótł na proch...

Oprócz tego często gorycz czuć w jego sądach o ludziach—jesteś pan takim mizantropem?

Horpiński jeszcze się był nie uspokoił.

— Może w istocie ludzi nie lubię—rzekł—i nie wiele cenię—ale z panią muszę być szczerzym: pójdę dalej! powiem, że we mnie ta mizantropia być może mimowolną zazdrością. Mam żal do wszystkich głupców, że są szczęśliwi i że się im wiedzie; radbym zamącić ich powodzenie tym, co na nie wcale nie zasługują—przez prostą słabość. bom sam nieszczęśliwy. bo mnie się nie wiodło, bo los mnie skazał na pokutę za grzechy niewłasne.

Powiadam więc sobie: za co oni lepsi być mają odemnie? Bywam zły, bardzo zły... nie taję się z tem.

Słuchając, panna Michalina rumieniła się i bladeła. Rada była go ukołysać. uspokoić.

Panie Sylwanie—rzekła—to jakieś bolesne żarty! Pan nie jesteś tak niesłusznie mściwym—tak nielitościwie gniewnym... musisz mieć serce dobre: fantazyja tylko zrywa się czasem na takie wybryki! Przykro mi było słyszeć to z ust jego.

Horpiński głowę nieco pochylił przed nią.

— Wierz mi pani—rzekł z goryczą. że się nie darmo czernię—i nic nie kłamię. Od dzieciństwa byłem i jestem nieszczęśliwy. boleść twarzy, ten osad gorzki na dnie duszy. z którego miazmatów rodzą się nienawiści... mizantropia. pogarda ludzi! Tym być nie mogę.

Sam nie mając doli — co dziwnego. że drugim rad-bym ją zepsować... zakłócić?

— A. to okropne! — przerwała Misia—nie poznaję pana, i gdybym nie wierzyła, że to mówisz w chwili rozdrażnienia—żał-by mi go było.

Własne nieszczęście powinno człowieka uszlachetniać. czynić go dobrym. a nie obudzać tę wściekłość i chęć zemsty, która się tylko ślepą namiętnością tłómaczy.

A! fe!... fe!—daj mi pan rękę—uspokój się. ostygnij—bądź dobrym. jak byłeś. A teraz spójrz na obraz. czy nie za zielony... Zapomnijmy o innych—ludziach i sprawach... nie ma nic nad sztukę. Człowiek zepsuje płótno. zmarnuje farby. ale się nie dopuści roznamiętnienia. Jeśli się gniewa. to na nieudolność swoją.

Maluj pan—proszę — rysuj zresztą choćby karykatury—ale nie życz źle nikomu.

Mówiłeś, że głuptaszką bywają szczęśliwe; ale cóżby im w życiu pozostało. gdyby nawet tego nie mieli! Rozumnych nagradza za niedolę jasne

pojęcie życia... duchowe rozkosze... wewnętrzny spokój—nie mają tamtym czego zazdrościć.

C'o pan mówisz na mój las!... za zielony?

— Nie — roześmiał się Sylwan — ale ja może widzę wszystko za czarno. Nuż mam tę chorobę Daltona?... mnie się nawet o farby poradzić nie można.

Zabierał się znowu żegnać.

— Kiedy pan wrócisz?—spytała Misia.

— Nie wiem.

— U party!... Słowo, że nazajutrz po powrocie stawisz się u nas...

Skłonił się Horpiński Misia mu podała rękę poufale.

— Nie bądź pan tak tajemniczo nieszczęśliwym. Sądziłam i sądzę, że powinieneś mieć siłę do walki z losem.

Odprowadziła go tak do progu.

Horpiński pod wpływem jej głosu i rozumnych rad, powtarzanych ze współczuciem—ostygł znacznie. Pożegnał się nie mówiąc nic, a wyszedłszy na ulicę, począł sobie wyrzucać, że się tak wydał z własnego serca goryczą.

---

Nadeszła znowu wiosna. Horpiński, raz dostawszy się do Rusinowego Dworu, gdy wzburzenie jakie mu tu towarzyszyło—nowy rodzaj życia n—śmierzył trochę, zadając sobie gwałt, aby myślą nawet nie wychodzić za granicę malej osady, za chatę swą i koło szczupłe wrażeń i wspomnień, które tu mieszkaly—godził się z losem i przeznaczeniem.

Nie chciał tak rychło powracać do Warszawy. Pociągala go tam jedna panna Michalina, do której aż do zbytku się przywiązał—i spostrzegłszy to nsiłował zobojętnieć i zapomnieć — zresztą odstręczało wszystko. Chciał nie mieć już do czynienia ani z Nitosławskimi, ani z Paczuskim, ani z tym całym światem, do którego wstręt w sobie wyrobić się starał.

Trudno jest człowiekowi wykształcić się i stanąć na pewnej wyżynie ducha i myśli: jest to zawsze stan wyjątkowy: do którego i zdolności i praca jest potrzebną; lecz trudno też, zdobywszy

pewne stanowisko powrócić do — zdziczenia, do zdrętwienia takiego, któreby żalu po utraconem nie dopuszczało.

Sylwan usiłował zdziczeć; wmawiał w siebie, że mógłby być szczęśliwszym, przebrany w siermięgę, pracując z parobkami, wyrzekając się nauki, książek... tego życia ludzkości, w którem bierze udział każdy człowiek wykształcony.

Były chwile, w których zdawało mu się, iż się już pozbył cywilizacyi, pocucia jej potrzeb — sympatyi dla niej — lecz z następnym dniem wracała tęsknica. Brakło mu książki, rozmowy, ludzi, form pewnych — i gorycz się zwiększała.

Matka, która czytała w jego dnszy, ile razy stan ten przeczuła, wyprawiała go do miasta — tym razem Sylwan jechać nie chciał.

Udawał zajętego, wesołego. po całych dniach nużył się fizycznym trudem, pomagając Harasymowi w robotach, wieczorami słuchał śpiewającej Pynki, matki, która się nią bawiła, jak dzieckiem, spał potem snem zmęczenia, — ale marzenia go nawiedzały nieznosne.

Widział się w nich we fraku i białych rękawiczkach w salonach warszawskich, grającym rolę mizantropa, a obudziwszy się, wzdychał mimowolnie za snem rozpierzchłym.

Czasami nawiedzało go widmo Misi, zapytując: czemu nie powraca?

Lecz po co było wracać? Na zaręczyny tego nieznosnego Nitoslawnskiego. na niedorzeczną walkę z młokosem Emilem?

Wiosna na wsi trochę rozbiła myśli smutne: nawet ci, co ją przez pół wieku widywali powracającą, co znają wszystkie zwykłe fenomeny tego widowiska przyrody. nie mogą się oprzeć wrażeniu. jakie ono czyni. Sylwan się znacznie uspokoił i pogodził ze swym losem.

Wostatku i to dziecko — sierotka, dziewczę ukraińskie. pieszczone przez matkę — potrafiło go zająć sobą. Była-to druga wiosna. rozwijająca się także w oczach jego.

To. co przywiozła z sobą i czego się tu uczyła — nowe życie. lepszy byt, składały się na rozwinięcie istoty, o której nie było jeszcze można powiedzieć: czy rozkwitnie różą. piwonią czy makiem?

Horpyna matka dostrzegała w niej nadzwyczajne zdolności, Tatiana była zachwyconą. obie ją psuły; Sylwan lubił. ale czasem drażnił i trochę się ostro obchodził.

Matka mu to wyrzucała.

— Nie trzeba pieścić nikogo — odpowiadał — a najmniej tych. którym los niewiele obiecuje na przyszłość. Któż wie: co ją spotka?... będzie więcej cierpieć. gdy się jej teraz nadto życie zasłodzi.

— Niech-że ma choć poranek jasny!—odpowiadała stara.

Jednego dnia, gdy przy posiewach wczesnej jarzyny stał na koniu Horpiński,—wózek pani Bońcyny się ukazał na drodze. Poznała go i zaczęła chustką dawać znaki, aby się zbliżył.

Sylwan podjechał.

Był ubrany, jak zwykle na wsi: w prostej siermiedze, w całym stroju chłopskim, ale pięknemu mężczyźnie ubiór ten dodawał oryginalności, nie szpecąc go wcale.

— Słowo daję!—zawołała, widząc zbliżającego się, wdowa—że panu bardzo pięknie w sukmanie!

Myślałam, że mnie odwiedzisz—powracam właśnie z Warszawy. Pana tam oddawna nie było. Mogłabym coś powiedzieć o znajomych, ale na gościńcu — ani słowa. Chcesz się czego dowiedzieć? przybądź do mnie!

Horpiński podziękował.

— Nuż u pani gości zastanę? Nie lubię nowych znajomości.

Pan i stare nie bardzo cenisz —przerwała Bońcyna. U mnie tak jak nikt nie bywa.

Przerwała sobie głośnym śmiechem.

— Nie chcę klamać—rzekła.—Mógłbyś się pan spotkać wistocie u mnie z Emilem Paczuskim. Od czasu jak-eś mnie pan o nim—jakby to powiedzieć?... ostrzegł? — obchodziłam się z nim zimno.



i starałam pozbyć. Wystaw pan sobie, iż to miało tylko ten skutek. że jest natrętniejszym. niż kiedy.

— A dla mnie spotkanie z nim byłoby nieznośnem—rzekł Sylwan—wolę się wyrzec nowin warszawskich, niż narazić na p. Emila. Nastąpić na żabę: zawsze jest rzeczą nieprzyjemną.

- Przecież dziś *à point nommé*, nie podobna, by przyjechał—odparła wdowa filuternie.—Przybyszaj pan na herbatę... proszę.

I kazała woźnicy popędzać, a Sylwan wrócił do siewaczy.

Ciekawość go ciągnęła do Brzózek.

— Choćbym nawet miał się spotkać z Emilem—rzekł sobie—znuosę go.

W Brzózkach nie było nikogo, oprócz matki i córki.

Strój piękny pani Bonczyńny dowodził, że na gościa tego rachowała. i że nie zupełnie był jej obojętnym... wyszła śmiejąca się, wesółą, ożywioną i poprowadziła go do matki.

Sędzina poczęła rozpytywać o gospodarstwo. Horpiński niechęć się ożywił; chmury mu zeszły z czoła. W tym dworku wdowim tak jakoś było cicho, swobodnie, dobrze, atmosfera otaczała go tak łagodna—iż i w niej czuł się odżywionym.

Gospośia przysiadła się do niego.

— Wiem to, że dla moich niepięknych oczu pewnie-bys pan nie przyjechał do Brzózek, że ciekawy jesteś coś się dowiedzieć o losie Michaliny, o innych znajomych?... nieprawdaż? Będę wspomniałomyślną i nic ani skłamię, ani zataję.

Wiesz pan—ciągnęła dalej — że Michalina tej zimy miała mnóstwo natarczywych adoratorów. Ma ona ich zawsze, ale w tym roku!...

— Pan Wacław Nitosławski—wtrącił Sylwan.

— Z ust mi go pan wyjąłeś — mówiła dalej Bończyna.—Naturalnie, stał na czele.

Zatrzymała się chwilę wdowa.

— Zgadnij pan co się stało?—rzekła.

— Został przyjęty—odparł Sylwan ponuro.

— Nie—odprawiono go — rozśmiała się Bończyna—i, cała Warszawa temu wydziwić się nie może. Nazywają tę kochaną Misię dziwaczką. Wistocie zarzucić nic nie można Nitosławskiemu.

— Oprócz tego — dokończył Horpiński, że to jest zero w złoto poprawne.

— Misi nie potrzeba męża, któryby był cyfrą—dodała wdówka—ona sama jest nią; a zresztą, cóż mu zarzucić?—powtórzyła wdowa.

No — i zaraz po otrzymanym wianku grochowym — mocno podobno dotknięty, zwrócił się ku hrabiance M.... a starał o nią tak gorąco, na złość Misi, że w cztery tygodnie się zaręczył.

— Jest to wistocie doskonała nowina — odezwał się Sylwan — powinienem pani za nią podziękować. Obawiałem się dla panny Michaliny tego człowieka, który mógł ją uczynić nieszczęśliwą.

— Popraw się pan—wtrąciła Bończyna—Nieszczęśliwą jej uczynić nie mógł, ale nie mógł uczynić szczęśliwą.

— Masz pani słuszość. Nitosławskiego nie ma więc w Warszawie?—spytał Horpiński.

— Zaraz po zaręczynach wyjechał do Anglii.

Po tej pierwszej nowinie posypały się najrozmaitsze, których jednym uchem słuchając, Sylwan, roztargniony, drugim je wypuszczał. Nie go one nie obchodziły.

— Ten bałamut Emil przynajmniej trzy różne romanse rozpoczynał tej zimy—jak mi mówiono—kończyła Bończyna.—Nakoniec wyobraził sobie, że się we mnie kocha!

Sędzina pochyliła się ku córce, całując ją w czoło.

— Któżby ciebie nie kochał! — szepnęła.

— Pan mi nie radzisz hołdów jego przyjmować? —dodała żartobliwie Bończyna.

— Zbyt wiele-byś pani miała z nim kłopotu, nim-by się ustatkował—rzekł Horpiński.

— No — ale każdego męża potrzeba sobie po-

woli urabiać — odezwała się Bończyna i westchnęła.

Horpiński się roześmiał.

— Wolno pani próbować—zakończył.

Rozmowa dosyć wesola toczyła się przy herbach. a Sylwan dnia tego był daleko bardziej towarzyskim. łatwiejszym. mniej gorzkim, niż zwykle. Wdówka zalecała mu się potrosze, bo się jej dosyć podobał — ale mało miała nadziei. aby go mogła pociągnąć ku sobie. Nadto był poważnym dla niej.

Powróciwszy do Rusinowego Dworu, Sylwan wszedł do izby matczynej z tak wypogodzoną twarzą. iż ona sobie tego wytłómaczyć nie umiała. Żartował z Pynką. wdał się w rozprawę z Tatianą. z parobkami —dziwnie był odżywiony.

Wszystko to mimo jego wiedzy płynęło z jednej tej wiadomości, że Nitosławski się usunął. a panna Michalina była wolną.

Sam sobie potem wyrzucił marzycielstwo próżne i dziecinne — lecz oprzeć się wrażenin nie mógł.

Matka znowu mu wspomniała, że może-by wrócił do Warszawy. aby nie zrywać stosunków, i tym razem Sylwan przyjął jej radę — przyzwalającem milczeniem.

— Tak—rzekł — wypadnie mi może pojechać.

Zasiedziałem się zbyt długo. Dzień jeden przebywszy z matką, siadł na konia.

W salonie Zawierskich, gdzie już o wyjeździe na wieś mówić zaczynano, ciszej było niż w ciągu zimy, gości wielu ubyło. Panna Michalina wyglądała napróżno tego przyjaciela — za którym tęskniła. Uspokobienie, z jakim wyjechał, trwożyło ją; nie miała o nim żadnej wiadomości—smutek ją ogarniał, którego przyczyny nikt odgadnąć nie umiał.

Matka bardzo była niespokojna.

Wtem jednego wieczora — gdy się go najmniej spodziewano — wszedł Horpiński.

Szczęściem, że oprócz domowych nie było nikogo, bo panna się zdradziła ze swą przyjaźnią dla Sylwana nadzwyczaj żywo. wesoło wybiegłszy naprzeciw niemu.

Patrzącej na to matce—rumieniec oblał twarz na chwilę.

Horpiński witał wszystkich z równą uprzejmością serdeczną.

— Wyjechałeś pan od nas tak podrażniony jakis—smutny, żem się o pana obawiała—odezwała się panna Michalina—i żebyś też dał znak życia! Wszak to wieki upłynęły?

— Mnie się szczególnież czas ten wydał długim—rzekł Sylwan.

— Gdzież pan byłeś?—spytała matka.

— Na wsi—krótko odparł Horpiński.

Wchodzący kapitan Lurski, a za nim parę osób, gości powszednich — przerwali poufalszą rozmowę.

Ożywienie i wesołość panny Michaliny, z którą się wcale nie tała — nie nszły oczów ciekawych. Lurski szczególnie, spostrzegłszy to—zaraz wyciągnął wniosek, że powrót Horpińskiego, mógł bardzo piękną pannę ożywić.

Złośliwy pasożyt — oddawna posadzał Misię o słabośćkę dla—niemiłego sobie p. Sylwana.

Lurski nie krył się ze wstrętem do tego człowieka, którego wyższości nie mógł zaprzeczyć. Nawykły poufalić się z arystokracją, wciskać się wszędzie, być przyjmowanym wszędzie, bo się jego języka i złośliwości obawiano — nie cierpiał Horpińskiego, niedającego się nadto zbliżać do siebie — niezapraszającego na obiady i podwieczorki — surowego, poważnego, a mającego na wszelki wypadek dosyć dowcipu, aby się obronić napaści.

Szkodzić mu było trudno — lecz ile razy mógł jaką przyjąć łaskę kapitan—czynił to z prawdziwą przyjemnością.

Nazajutrz. obiecywał to sobie—miał po mieście roznieść spostrzeżenie uczynione — iż pomiędzy tajemniczym Horpińskim a panną Zawierską mógł być związek romansu.

— Człowiek ostro kuty—niezmiernie zręczny. prowadzi powoli—ale się można obawiać. że nam śliczną i bogatą pannę pochwyci. Nitosławskiego odprawiła z kwitkiem!

Nie uszło i to jego baczności. że jak tylko więcej osób zapełniło salon, panna Michalina korzystała z tego. aby się zbliżyć do Horpińskiego i długą z nim począć rozmowę.

Wieczór dla nich obojga upływał w błogiem zapomnieniu się—i tak żywych rozprawach o tysiącu różnych nieznaczących przedmiotach—że ani się spostrzegli. gdy goście się porozchodzili. a Sylwan musiał wreszcie. razem z Lurskim. który dotrwał do końca—opuścić przedpokój.

Kapitan rozstał się z nim w progu. ceremonialnie i zimno. Horpiński go niecierpliwił—zdawało mu się. że go lekceważył—i odwdzięczał się—chęcią szkodzenia mu.

Szło tylko o to. jak miał przystąpić do dzieła. Lurskiemu nie brakło na wprawie; o tych. których nie znosił. mówił z przekąsem. złośliwie; podkopywał ich powoli. a że miał dowcipu wiele. ta robota krecia zawsze jakiś skutek wywierała.

Następującego dnia spotkali się na śniadaniu z hrabią Antouim.

— Cóż. kochany hrabio — rzekł Lurski. śmiejąc się—swaty się wam nie udały!

Ruszył ramionami.

— Nigdybym się nie spodziewał po Zawierskich takiego braku taktu... i gustu — mówił dalej. — Odepchnąć Nitosławskiego... a tak serdecznie przyjmować... pana Horpińskiego!...

I śmiać się zaczął po swojemu, trzęsąc brzuskiem. głową i rękami coś nakazując.

Usłyszawszy nazwisko to. hrabia Antoni nadstawił uszów.

— Przecież Horpińskiego stosunki w tym domu—przerwał hrabia—są bez... konsekwencji.

— No—jabym za to nie ręczył, ani przysiągł—mówił kapitan.—Zawierska matką słabą jest dla córki. a panna Michalina ma fantazję i muszki w nosie. To zaś rzecz pewna, iż tam u niej nikt lepiej położonym nie jest, nad p. Sylwana.

W czasie choroby babuni, gdy kasztelanowa nikogo nie przyjmowała z obcych. dla niego uczyniono wyjątek. Do pracowni panny nikt nie wchodzi—jemu wolno.

Hrabia Antoni słuchał z uwagą; przychodziło mu na myśl zwierzenie Nitosławskiego. W gruncie duszy człowiek dobry był. ale słaby. Miał żal, że jego protegowanego odepchnięto—a sądził, że Zawierskie należało przestrzedz o Horpińskim. Z drugiej strony—nie mając żadnej pewności. tylko domysły: czy się godziło wystąpić z niemi, mogąc zaszkodzić człowiekowi niewinnemu?

Hrabia Antoni postanowił to wziąć na rozwa-



gę—i skończywszy rozmowę z Lurskim, odszedł do domu, mocno zamyślony.

Tu, sam z sobą, rozważywszy wszystko—skończył na tem, że—obowiązkiem było przestrzedz *sub rosa* Zawierską—nie zaręczając jej, żeby domysł Nitosławskiego miał być ngruntowany—ale dając go za to, za co go wziął.

— Gdy idzie o los córki i rodziny—powiedział sobie—ostrożność, zbytnia nawet, nie jest od rzeczy. Wszyscy przewidują, że Horpiński się gotów ożenić: niech wiedzą za kogo wydadzą.

Hrabia Antoni nie miał w sercu najmniejszej niechęci ku Horpińskiemu: człowiek był mu raczej sympatycznym, niż wstrętliwym—lubił jego rozmowę—ale był zarazem arystokratą — i połączenie rodziny dobrze położonej w złotej księdze z człowiekiem wątpliwego pochodzenia—zdawało mu się wypadkiem, któremu każdy, według sił, powinien był się starać zapobiedz.

Wybrał się z myślą ostrzeżenia do Zawierskiej, nie na wieczór, ale rano. Trafiło się, że nie zastał tu nikogo; panna Michalina była w swojej pracowni. Wiele czasu upłynęło na preludyach.

— Nie mam najmniejszego żalu do pani dobrodziejki — odezwał się hrabia, że mojego protegowanego nie przyjęliście. — chociaż trudno dziś w kraju o lepszą partya.

— Kochany hrabio — ja Misi nigdy nie chcę

gwałtu zadawać — chodzi o całe jej życie. Ona stanowić musi—odpowiedziała Zawierska.—Odadajemy sprawiedliwość panu Wacławowi—ale... ale sercu nie podobna nakazać.

— Droga pani moja — przerwał hrabia Antoni—proszę mi wierzyć, że żalu nie mam... trwożę się tylko.

Tu przerwał sobie nagle.

— O co?—zapytała Zawierska.

Namyślał się nieco hrabia.

— Ludzie mówią, że w wielkich łaskach u państwa jest Horpiński...

— A!—rozśmiała się matka — ale to nie jest pretendent. to przyjaciel domu.

Hrabia zrobił minę dziwną i przysunął się do gospodyni.

— Na wszelki wypadek—rzekł głos zniżając—muszę panią wtajemniczyć w to, co mi wyznał Nitosławski—czuję, że to jest obowiązkiem mojej przyjaźni dla jej domu.

Wszyscy my uważaliśmy niesłychane podobieństwo rysów pomiędzy p. Wacławem a Horpińskim. Otóż Nitosławski powiada, że z papierów po ojcu doszedł, iż zamłodu była tam jakaś awanturka z prostą ukraińską dziewczyną; inni mówią, że nawet małżeństwo później zerwane. Prawdopodobnie Horpiński jest....

Zawierska aż się z krzesła rzuciła.

— Hrabio!... to nie może być!

— Ja nie twierdzę, żeby tak było — mówię czego się na mocy papierów domyśla Nitosławski. bo i on nie wie nic stanowczego—mówił hrabia—chciałem jednak, abys pani to wiedziała.

Rzecz nabiera więcej prawdopodobieństwa zważywszy, że Horpiński dla wszystkich jest zagadką. że jego pochodzenia nikt nie zna. że spytany, wykręca się odpowiedziami. które nic nie mówią.

Śluchała. zadumana smutnie. pani Zawierska.

— Dziękuję ci, kochany hrabio, za życzliwość z jaką mi tę wiadomość byłeś łaskaw udzielić—rzekła po chwili.—Co do Horpińskiego. oileśmy go poznać mogli, zawsze z najlepszej strony się nam pokazywał. Lubimy go wszyscy; nie chce mi się wierzyć, aby miał być tak nieszczęśliwym!

Wychowanie, wyposażenie — zdaje się zatem mówić. iż nie może być biednym takim sierotką.

Powiadasz, że to jest domysł Nitosławskiego—mnie się zdaje, że się myli. Podobieństwo rysów nic a nic nie dowodzi. Przypomnij sobie. hrabio, Angielkę miss Crowd, która była tak podobną do panny... Pławskiej, że się myłono na balach.

Hrabia zamilkł na moment.

— Ja się wcale nie upieram przy tem. ażeby Wacław miał słuszność: mógł się omylić — ale

dziwnie wiele okoliczności mówi za jego domysłem.

— Gdyby tak być miało — przerwała Zawierska smutnie—według mojego przekonania obowiązkiem było p. Wacława szukać z tym bratem znajomości, zbliżyć się do niego — i starać się mu być użytecznym.

Hrabia, zapewne niezupełnie dzieląc gospodyni przekonanie — nie odpowiedział na to — i zamiast dalszej rozmowy, począł prosić, aby jego zwierzenie się zachowała w jaknajwiększej tajemnicy. Pośpieszył dodać, że on sam wysoce cenił Horpińskiego, że urodzenie mu nie odejmowało wielkich zalet — lecz zawsze — należało, ściślejście zawierając stosunki, znać tych, których się na poufalszej stopie wpuszczało do domu.

Zawierska musiała podziękować i zapewniła, że tajemnicy dochowa.

Hrabia wyszedł zaraz i lżej odetchnął; zdawało mu się, że świętego dopełnił obowiązku. Z czystym sumieniem pociągnął dalej i zapomniiał wkrótce nawet o tem, co dokonał nierozważnie.

Pani Zawierska, dobra, czuła matka, w nieustannym żyjącą niepokojem o córkę i jej los — rozdrażniona nerwowo, z trudnością mogła w sobie utrzymać tajemnicę, która ją poruszyła i zaniepokoiła.

Córce nie myślała jej zwierzyć, ale tegoż dnia,

przysiadłszy w łóżku babuni, wyszeptala jej wszystko, co przyniósł hrabia Antoni.

Wspomnienia babci z dawnych czasów, jej znajomość ludzi i obyczajów—dla staruszki historią Horpińskiego czyniły całkiem prawdopodobną. Nie wierzyła jej Zawierska: ona, przeciwnie, domysł znajdowała bardzo trafny. O starym Nitosławskim słyszała dawniej wiele i wyobrażenie, jakie o nim miała — godziło się z postępowaniem, które mu przypisywano. Człowiek znany z charakteru szlachetnego, czując obowiązek, mógł bardzo starać się biednemu sierocie życie zapewnić znośne i zatrzeć nieszczęśliwe pochodzenie.

— To wszystko bardzo być może—mówiła staruszka—ale ze strony p. Wacława znajduję to wcale niewłaściwe, że takie domysły, nie mając pewności żadnej, rozgłasza—wiedząc, iż one komuś szkodzić mogą.

Bądź pewna, moja droga—dokończyła—że jeśli nieboszczyk chciał ukryć swój błąd i ślad pochodzenia tego dziecka swego, uczynił to tak, iż nikt nie potrafi odsłonić, co on tajemnicą okrył. Horpiński musi mieć papiery swe, szlachectwo i wszystko w porządku.

Dwie panie długo o tem rozmawiały. postanowiwszy Misi wcale nie mówić—o niczem.

— Nie powinnyśmy wiedzieć o tem — dodała

babka.—Co nas to obchodzi? Horpiński przecie nie myśli starać się o Misię.

Obie zamilkły.

— Misia go bardzo lubi—ale się w nim nie kocha—dokończyła staruszka.

Niebezpieczeństwa niema.

— Muszą się go ludzie jednak domyślać—rzekła Zawierska.—kiedy nas aż ostrzegają!

Zawierskie nazajutrz wyjechać miały; wszyscy znajomi złożyli im już pożegnalne wizyty. Jednego tylko Horpińskiego—rozstając się z nim, panna Michalina prosiła, aby przyszedł raz jeszcze.

— Któż wie?—rzekła—może będę miała jaką prośbę, a nawykłam pana uważać za mojego plenipotentę.

Mieszkanie tych pań znajdowało się w takim stanie, że gości w nim przyjmować nie było podobna.

Służba okrywała meble, zdejmowała firanki, nstawiała sprzęty do spoczynku; zamykano szafy, obliczano srebra; gromadzono rozpierzchłe porcelany. W pokojach pań i w przyległych ogromne tłumoki stały otworem, pochłaniając wszystkie przybory, bez których na wsi obejść się nie było podobna.

Misia, ubrana jak na ranek, biegła wyręczać matkę — rozsyłając pomocnice, znosząc swe

malarskie pudełka i paczki, bo na wsi malowała z największym zapalem.

Wśród tego zajęcia ujrzał ją nadchodzący Sylwan.

— A! — zawołała, rzucając się na kanapkę — jakże to dobrze, że pan przyszedłeś... będę miała sposobność wytchnąć na chwilę. bo biegając od rana, niezmiernie jestem zmęczona.

Mówią, że Amerykanie (ale to chyba nie Amerykanki?) — wcale z sobą tych węzełków i rupieci mnogich, jak my, w drogę nie zabierają. Było-by to do naśladowania... Co to za nudna rzecz: pakowanie i rozpakowywanie!

— Nie mógłbym pomódz? — zapytał Horpiński.

— Nikt w świecie nie pomaga — odparła Misia — wszyscy przeszkadzają...

Siadaj pan — mówmy o czeminnem, a ja odechnę... Pan także wyjeżdżasz... na wieś?

Horpiński rzekł cicho:

— Zapewne gdzieś polować będę i...

— Rysować? — dodała Misia.

— Nie wiem — mówił Sylwan — polowanie nie wymaga usposobienia... rysunek przeciwnie. — Są dni, w których ani oczy, ani ręka, ani umysł rysować nie umie.

— Ja się naówczas zmuszam — zaśmiała się panna Michalina.

— Uda się to pani?



— Niezawsze... ale potrzeba nawykać do takiego okiełznania siebie.

— Oile ono możliwe—rzekł Horpiński. Młócić można zawsze—ale ani poezyi pisać, ani malować zawsze nie podobna.

Po chwili spojrzała panna Michalina na gościa swojego.

— Jeździsz pan w lecie wszędzie—rzekła—dla czego-byś do nas nie przyjechał? Pruszczyć postara się o polowanie, a ja o album i ołówki...

Są u nas takie stare dęby—że się same proszą do studyów.

Horpiński milczał z głową spuszczoną.

— Na wymówkę moję mógłbym to powiedzieć tylko—odezwał się pomyślawszy,—że ludzie i tak mi zazdroszczą dobrego przyjęcia u państwa i moich częstych odwiedzin: cóżby to było, gdybym ośmielił się na wieś pojechać!

— A panu to szkodzi, że ludzie się bawią, rozpowiadając sobie różne rzeczy?

Wtrąciła Michalina.

— Kiedy-bo to są nie rzeczy, ale niedorzeczności!—rozsmiał się Sylwan — i poruszył ramionami.

Dochodzę do tego, iż mi gotowi przypisywać zuchwalstwo — które kazałoby zwątpić o moim zdrowym rozsądku.

P. Michalina musiała się domyślać znaczenia tych wyrazów i urwała rozmowę.

— Zrobiłbyś pan mamie i mnie wielką przyjemność—rzekła po przestanku—gdybyś przyjął zaproszenie moje.

Jest w niem wiele egoizmu—miałabym kogoś. coby mój koloryt nieszczęśliwy osądził bezstronnie—miłą wieczorem rozmowę i dla kochanej mamy, która się często ze mną nudzi, najmiłszego z gości.

— Co się tycze kolorytu—umyślnie skracając na to rozmowę—rzekł Horpiński—zdaje mi się, że pamięć na jedno правило wszystkie rady i spostrzeżenia zastąpi. Mówiliśmy o tem nieraz; koloryt jest zawsze stosunkiem. nie ma w nim nic absolutnego—barwy stają się jaskrawemi przez sąsiedztwo. które je podnosi. lub tłumione. gdy się przy nich położy inne.

— A! zieloność i lazury... pomimo znajomości prawideł tak są do ożenienia trudne—wesoło podchwyciła Misia.

Śmiał się Horpiński.

— Ja mam w tem mniej jeszcze wprawy i doświadczenia, niż pani—zakończył.

— Polowanie u nas—pośpieszyła dołożyć pan-na—ma być nadzwyczaj dla myśliwych ponętne. Przyszycie ochrania zwierzyne. jest jej moc wielka... Mamy psy... strzelców,—wszystko.

— Ale ja namiętnym myśliwcem nie jestem— rzekł Horpiński—połuję, bom próżniak.

— Słowem, że do nas pana w żaden sposób skusić i pociągnąć nie można — dodała z lekkim westchnieniem panna Michalina.—Wiem, że nie udałoby mi się nawet oporu jego zwyciężyć zapewnieniem, że miłszego towarzystwa. nad jego—nie znam.

Skłonił się Horpiński, ale twarz jego posmtniała.

W tej chwili powolnym krokiem przesuwała się przez pokój pani Zawierska, a córka wstała żywo. pochwyciła ją pod rękę i, sparszy główkę na jej ramieniu, przyprowadziła do Sylwana.

— Niechże mama poprze moją nadaremną prośbę—rzekła.—Zapraszam do nas na wieś p. Horpińskiego i — najniegrzeczniej w świecie, droży się i opiera.

Matka zdawała się zmieszaną.

— O! nie powinienesz nam tego odmawiać odezwała się głosem jakimś drżącym. — Bardzo-by nam było miło.

Nie nalegała jednak zbyt mocno; Sylwan uczuć to musiał.

Panna Michalina nie rozumiała chłodu matki, bo nie wiedziała, że wczoraj właśnie usłużne usteczka doniosły Zawierskiej. iż — po mieście żeniono już Michalinę z Horpińskim. On czuł, że

dłużej tu nie powinien był pozostać i szybko zegnąć się zaczął. Panna Michalina odprowadziła go do drzwi z naleganiem i powróciła do matki, która stała w temsamem miejscu nieporuszona.

— Mamo?... co tobie?—zawołała.

— Nic, dziecko moje — wahając się, poczęła matka, oglądając się po przechodzących sługach— Chodź ze mną do gabinetu.

I wyraz twarzy i ton mowy zapowiadały, że to—nic—było jednak czemś dosyć ważnem.

Zawierska padła na kanapkę i podparła głowę na rękę smutna.

— Misieczku moja droga—odezwała się — jesteś trzpiotkiem nieostrożnym. Po co było Horpińskiego na wieś zapraszać?

— Bo chciałabym go tam widzieć — poprostu odparła Misia.

— Ale, dziecko moje—wtrąciła matka niespokojnie—czy wiesz, że... że już plotą ludzie—nie-wiedzieć co —i żenią ciebie z nim?

Michalina się roześmiała.

— Nie rozumiem, co-by w tem dla mnie uwłaczającego być miało — rzekła. To pewna, że o mnie ani myśli, ale gdyby myśl tę powziął, nie widzę w niej nic tak—poczwarnego!

Matka zacisnęła usta.

— Dziecko moje!—szepnęła.

Rumieniec oblał twarz Michaliny.

— Z mamą powinnam być szczerzą — rzekła. — Nie kocham się w nim — ale, że bardzo go kocham, lubię. szacuję, że mi jest sympatycznym i że — wyszłabym za niego, gdyby mnie chciał — to nie ulega wątpliwości.

Zawierska zbladła i ręce się jej zalały.

— Misieczku! — zawołała — zabijasz mnie.

Michalina przypadła do matki, objęła ją za szyję i całować zaczęła.

— Matuniu kochana — szepnęła — nie trwóż — że się, proszę... Mówię ci, co myślę i czuję, ale wiem, że to jest niepodobieństwem.

Do tego człowieka wszystko mnie pociąga — jego wyższość umysłowa. powaga, takt — rozum — a więcej niż to — jego smutek, coś tajemniczego, co go okrywa... jakaś nieuleczona tęsknica, którą nosi w sobie.

Uczuciu temu nie mogłam się obronić — nie taję się z niem.

Widząc, że matka nerwowego jakiegoś drżenia dostała, Misia przestała mówić, a zaczęła ją pieścić.

— Jeżeli już tak daleko rzeczy zaszły — poczęła Zawierska — uściskawszy córkę — wszystko ci powiedzieć muszę. Nitosławski — zwierzył się tu niektórym osobom z domysłu — jak się zdaje — bardzo uzasadnionego — iż ten Horpiński jest... jest...

Tu otarła chustką twarz matka i szepnęła oglądając się.

— Ojciec Nitosławskiego miał jakiś romans z prostą ukraińską dziewczyną. Mówią, że się z nią ożenił, ale małżeństwo to zostało rozerwane i unieważnione. Horpiński ma być synem tej chłopki. Dla tego jest tak okrutnie do Wacława i brata jego podobnym.

Śluchając tego zwierzenia się matki, Michalina stała wyprostowana, błada, z oczyma zaiskrzonymi, cisnąc ręką piersi — poruszona tak, że Zawierska się ulękła.

Przerwała nagle:

— Niech mama mówi—proszę — odezwała się Misia—słucham. Naturalnie, obchodzi mnie los tego człowieka, ale mi rada, że wiem o tem.

— Pojmujesz więc—dodała Zawierska, że gdy o nim takie wieści chodzą...

— Które pan Wacław rozpuszcza — wtrąciła pogardliwie Misia.—Mama to znajduje z jego strony szlachetnem?

— Zmiłuj się! — przerwała Zawierska.—Prawda ta, czy bajka, jest nadzwyczaj niemiłą.

— Cóż w tem ten biedny p. Sylwan zawinił?—rzekła Michalina—ja nie widzę! Przypuszczam, że tak jest w istocie, jak p. Nitosławski mówi.—Obudza to większe jeszcze współczucie dla nie-

szczęśliwej ofiary — ale jej nie ujmuje bynajmniej.

Wolałabym nie wierzyć w tę plotkę—a jednak ze smutku Horpińskiego, z jego życia, ze wszystkiego można wnosić. iż coś jest w tem prawdy... Najsmutniejszym ze wszystkiego. iż to jest tajemnicą.

Jest synem chłopki?... czyż w oczach mamy mniej wart przez to?

— A! zlituj się—żywo przerwała Zawierska—niech się to sobie zowie przesądem, czy czem chcesz—ale takie pochodzenie—niepewność wreszcie czy małżeństwo było zawarte—czynią Horpińskiego w towarzystwie niemożliwym. Żadna rodzina go przyjąć nie może.

Misia westchnęła i uśmiechnęła się gorzko.

— Biedna więc ofiara za błąd ojca będzie musiała przez całe pokutować życie!...

— Nitosławski mógł go wprost przyznać — przerwała Zawierska.—Powiadają, że rodzina go nblałala i odwiodła od tego. Tosamo już małżeństwo czyni wątpliwem.

Łzy popłynęły z oczów Zawierskiej.

— Wiesz jak ja go lubię. jak go cenię, zresztą to jedno. że tobie się podobał i jest miłym. starczy, abym go kochała — ale zważ sama!... zważ sama...

A! nie myślmy i nie mówmy o tem!—dokończyła, oczy zakrywając, Zawierska.

Wyciągnęła potem ręce do córki—i w niemym uścisku ją przyciągnęła ku sobie.

Misia nie mówiła długo nic.

— Niech się mama uspokoi—poczęła w końcu. Nie ma w tem wszystkim nic groźnego. Horpiński nigdy ani pomyślał o mnie. Ja zaś—jeżeli się do niego przywiążę— to cóż! Nie pójdę wcale za męża i będziemy tylko parą dobrych przyjaciół. Bo, że pochodzenie jego nie odejmie mu u mnie ani odrobinki tego uczucia, jakie mam dla niego—to—mamciu!... niestety—rzecz pewna!

— Uczucia!... powtórzyła Zawierska rozpaczliwie.

— Mamciu! ani słowa więcej! Wierz mi, że uiedorzeczności nie popełnię, a on prędzej uciecze od nas, niż się zbliży. — Nie mamy się czem trwożyć—niech sobie życie dalej tak płynie, jak płynęło... i...

Położyła palec na ustach...

— Nikomu o tem ani słóweczka!

Wstały obie i smutne poszły do babci, która tego dnia ciągle je przy sobie mieć chciała.

Panna Michalina starała się być taką, jak dni powszednich, i nie zdradzać się z tem, co nosiła w duszy. Zawierska na wyjazd i rozstanie ze staruszką składała widoczny swój smutek.



Nazajutrz powozy i bryki wyruszyły ku Pradze, a oczy Michaliny napróżno gdzieś po drodze szukały Sylwana, którego zobaczyć pragnęły. Horpiński również się wybierał w drogę, chociaż tymr azem nie do Rusinowego Dworu. Chciał, pożegnawszy tylko matkę—odświeżyć się i rozrwać podróżą zagranicę.

Rozmowa z Michaliną ostatnia do zbytku go rozmarzyła: potrzebował roztargnienia, wrażeń, aby zbyt się nie upajać złudzeniami. nie dać się opanować nadziejom.

W Rusinowym Dworze, do którego naprzód podążył, zastał wszystko jakby odmłodzone wpływem pani, która tu teraz królowała. Tatiana i Horpyna, coby miały nad dzieckiem panować, dały mu się zupełnie ująć i — słuchały go. Dziewczę robiło, co chciało, i płaciło za powolność nściskami i pieszczotami, których stara, znękana kobieta żadną była. Pod wpływem wychowanki humor i sposób życia starej się odmienił. Pynia nie dawała jej płakać i zawodzić; kazała się z sobą śmiać, prowadziła ją do ogródka, nawet w pole i do lasów.

Stara w początku nie dawała się jej wyciągać; powoli jednak, naprzód na podwórze, potem za wrota i coraz dalej za sobą wywlekała ją sierotka. Na twarzy zmienila się, skutkiem tego uspokojenia wewnętrznego Horpyna: rysy się wypeł-

nily, trochę świeżości wróciło na lice, czasem nawet uśmiech ją na chwilę rozpromienił. Smutek pozostał na dnie,—lecz nie tak często wypływał przez usta i oczy.

Gdy Sylwan z radością postrzegł tę zmianę w matce, ona z trwogą znalazła syna postarzałym i przybitym, zbiedzonym jakimś i nadzwyczaj milczącym. Serce matki domyślało się, że to bez przyczyny być nie mogło;—starła się jej dopytać, lecz Sylwan zbył ją kilku obojętnymi słowami.

Nazajutrz, gdy siadł na ławie, naprzeciwko okna, przedwczesne włosy siwe, które już dawniej widziała, nderżyły Horpynę,—zdawało się jej, że ich przybyło.

— A!—zawołała ręce łamiąc strwożona, ty się zamęczasz dla mnie! Co twoje za życie? Połowa duszy tu, połowa tam, a szczęścia dla ciebie nigdzie. Nawet dla matki tyś na pół obcy, a dla tych ludzi, z którymi przestajesz, gorzej jeszcze.

Zaczęła lamentować podawnemu.

— Po co mi Pan Bóg dał życie? Chyba, abym za grzechy pokutowała na tym świecie. Wszędzie, gdzie stąpię, niedolę z sobą przynoszę.

Gdybym umarła—byłbyś wolnym!

Nie dał jej mówić Sylwan, ale się rozplakała rzewnie. Dusza się otworzyła, nie mogła już w sobie wstrzymać nawet tajemnicy tyczącej się

srowadzenia Horpyny: zdradziła się z nią i oskarżyła

Wistocie. ona teraz dla siebie potrzebowała dziewczęcia i przekonywała się, widząc syna przy niej, że owo osnute małżeństwo było niemożliwem.

— Darmo chcieć naturę przerobić. — odezwała się—i skórę ściągać z człowieka. Z jaką się kto urodził, w takiej umrze. Snuło mi się po głowie. zrobić z ciebie ukraińskiego chłopca,—ale ojciec chciał inaczej, a ty masz jego twarz. jego krew i naturę.

Tam ciebie do ojcowskiego rodu ciągnie wszystko, tam musisz iść! tam pójdziesz. byłem ja ci na przeszkodzie nie stała.

I znowu narzekać zaczęła na życie swoje, a śmierć wywoływać. aż Tatiana, podsłuchująca u drzwi, Pynia i syna nsta jej gwałtem zamknęli. ale się rozplakała, rozboleła i utulić jej nie było można.

Dopiero w godzinę potem, gdy Sylwan przyniósł podarki, które dla Pyni z Warszawy wiozł, gdy je rozłożył na stole, dziewczę się z radości poczęło śmiać, w ręce klaskać, starą całować. Sylwanowi do kolan się kłaniać, a gdy Tatiana przyszła podziwiać paciorki, chustki, wstążki do włosów, koczyki i grzebyki—trochę wesela wróciło pod strzechę.

Pynia się tem wszystkiem nacieszyć nie mogła,

jak dziecię. i wieśniaczka chwyciła, przymierzała, przyglądała się sobie w zwierciadelku—oczy jej pały. usta się nie zamykały.

Tatiana prorokowała, że tej nocy spać nie będzie; dziewczę żądało tylko. aby jej to wszystko włożyć pozwolono pod poduszkę.

Ta radość kupiona tak tanio—i Sylwana chwilowo odżywiła. a matka za wychowanicę, do której się tak przywiązała. niezmiernie mu była wdzięczną.

Nazajutrz wrócił smutek na twarz starej. widok syna dawne myśli wznowił. Myślała o jego przyszłości. Siwe włosy ją przerażały.

— Takie życie, jakie ty teraz prowadzisz—poczęła—nie zdało się na nic, a ja jestem temu winną. Lepiej niech się ja męczę, niżbyś ty tak marnie miał przepadać.

Po co tobie się odrywać do starej baby, do Rusinowego Dworu? na dwóch stołkach siedząc, nigdy nie będziesz szczęśliwym. Mieszkaj tam. ażeń się,żeń.

— Nie myślę o tem wcale—rzekł Sylwan—kobieta, którejbym ja zażądał—pewnieby mnie nie przyjęła, a taka, coby mnie chciała—trudno, aby mi się podobała! Jestem już za stary!

Sprzeczali się tak chwilę; matka obstawała przy swoim, nieustępując. Horpiński zmilczał.

Przez całe dnie, ile się razy spotkali. ona po-

wracała do tego, aby syna przekonać, iż w ojcowskim świecie szukać powinien szczęścia; on upierał się przy tem, iż najlepiej mu było tak, jak teraz, żyć.

— Chcesz, abym wesołym się okazywał—mówił matce—ale przypomnij sobie, że ja nigdy nie byłem wesołym. Taka moja natura. Płacząc wydałaś mnie na świat; we krwi mojej twe łzy płyną.

Sprzeczała się tak ciągle. Aby uniknąć sporów. Sylwan po całych dniach siedział na polu lub w lesie. Przychodziło mu czasem na myśl zrobić wycieczkę do Zawierskich na dni parę, potem tłómaczył sobie tę pokusę jako niebezpieczną—jako niemożliwą. Ostatecznie pożegnanie z Zawierską matką—nie było zachęcające.

Dnie przechodziły powoli na tych rozprawach z matką, albo na dumańiach pod sosnami i w polu, na słuchaniu obojętnych opowiadań parobków.

Do Brzózek jechać nie miał ochoty i unikał aby się z Bończyną nie spotkać.

Wdowa, przez babunię spokrewniona, choć zdaleka, z Zawierskiemi—mogła mieć o nich wiadomości....

Gdy mu raz ta myśl przyszła i zaczęła go nękać, wkońcu, niemogąc się jej oprzeć, wstąpił do Brzózek.

Bończyna, dla chorej matki, prawie się nigdy z domu nadługo nie oddalała; zastał ją, jak uad

wieczór: ubrana w fartuszek, z konewką zieloną polewała w ogrodzie kwiatki. Na głowie miała biały czepeczek, zręcznie ułożony, i przypominała teatralne subretki, których miała żywość, ruchy i figlarną twarzyczkę.

Strój ten domowy bynajmniej jej nie zmieszał; wiedziała, że było jej w nim do twarzy—powitała głośno i ochoczo rzadkiego gościa, rzuciła konewkę w gauku i, nieodpasując fartuszka, wprowadziła go do salonu.

Sędzina, której się Horpiński miał szczęście podobać, teraz, jak zawsze, przyjęła go bardzo serdecznie, wymawiając, że tak rzadko je odwiedzał. Mówiono, naturalnie, o wspólnych znajomych i Bończyna wspomniała Zawierskie.

— Pisała mi Misia, że pana do siebie na wieś zapraszała—odezwała się—ale mało ma nadziei, abyś jej prośbie zadość uczynił.

Pokręciła główką.

— Dziś-byś się pan biednej Zawierskiej więcej przydał, niż kiedykolwiek—dodała—bo ma wiele trosk i kłopotów.

— Z jakiego powodu?—podchwycił niespokojny Sylwan.

— Dzieją się rzeczy prawdziwie nie do wiary—mówiła Bończyna dalej.—Mieli tak nieograniczone zaufanie w Pruszczycu. Nie nlega wątpliwości, że był najpoczciwszym z ludzi, ale go,

jako gospodarza i człowieka do interessów. przechwalono. Umiał tylko tak sobie zawsze dawać rady, że pani Zawierska miała podostatkiem na wszystkie fantazyje.

Teraz Pruszczyć zmarł nagle i okazało się po rozpatrzeniu, że majątek i interesa są w stanie oplakany.

Wiadomość ta poruszyła wielce Horpińskiego, ale mu się w nią wierzyć nie chciało.

— Musi w tem być wiele przesady — odparł. — Zły stan interesów przez lat wiele ntaić się nie daje. Pruszczyca wszyscy chwalili, patrzono na jego czynności. nikt nie posądzał. aby Zawierskich interesa miały cierpieć. Miano je za bardzo bogate.

Wtem sędzina przerwała:

— Ja jeszcze za życia Zawierskiego słyszałam, że na majątku długi były znaczne; rachowano na to, że je ten Pruszczyć spłacić potrafi. Biedna Zawierska dla dogodzenia córce nie oszczędzała się wcale.

Westchnęła staruszka.

— Bądźcobądź — przerwał Sylwan — bardzo źle być nie może: z wielkiej fortuny pozostanie mierna, a nikt się lepiej do tej zmiany zastosować nie potrafi nad p. Michalinę — oile ją znam.

Nie mówiono już potem o niczem więcej, tylko

o Zawierskich; Sylwan żywo się zajmował tem i niepokoił.

Na wyjeźdnem wdówka. żegnając sąsiada, filn-  
ternie dodała:

— Spodziewam się listu od Misi—i wiadomości z Warszawy: chcesz pan się co o Zawierskich dowiedzieć—odwiedź mnie, bardzo proszę!

Niespokojny. smutny powrócił do domu Sylwan; przed matką się nie mógł zwierzyć z niczego. Rozważając to. co dawniej wiedział, i to, co mu Bończyna mówiła, Horpiński przyszedł do rezultatu, iż w żaden sposób ruina nie mogła grozić Zawierskim. W najgorszym razie zawikłanie.

Byłby się wybrał może, ale do pomocy — nie czuł się na siłach wcale. Ani gospodarzem. ani do interesów stworzonym nie był. To. co sam miał. utrzymywał skrzętnie, ale w sposób najprostszy — rachubą i oszczędnością.

Kilka tygodni upłynęło: walczył z sobą ciągle, nie chcąc zbyt prędkiem ukazaniem się w Brzóz-  
kach wydać się z tem. jak go los tych pań obcho-  
dził; wostatku pojechał.

Dzień był pochmurny; Bończyna u krzesła matki czytała jej powieść Dumasa. Obie, znużone samotnością, przywitały zbawcę radośnie.

Lecz i sędzina i wdówka miały wyraz twarzy przygnębiony i chmurny. Zaczęto od wpływu pogody na pola i urodzaje; lecz żywa Bończyna



natychmiast wygadała się z tem. co je tak zasmutowało.

Babunia umarła! Śmierć jej nie byłaby może zbyt wielkiego wywarła wrażenia w Brzózkach, ale następstwa jej: nadzieje dawno żywione zawiodły! Babcia, która miała między dalszą rodzinę znaczny swój majątek rozpisać—a z niego część obiecywała Zawierskim. tyle razy robiła i prze-rabiała testament i kodycyllę że się po jej zgonie żaden ważny nie znalazł. Spadek więc miał wywołać proces i prawdopodobnie dostać się zupełnie obcym, dalekim, nieznanym krewnym.

Dotykało to tak dobrze Bończynę, jak Zawierskich.

— Patrz pan — mówiła młoda pani—nigdy jedna bieda nie idzie sama: ciągną się szeregiem, za ręce się wzięwszy.

Zaledwie Pruszczyk zmarł, a tu i babcia nas osierociła—nic nie zostawując na otarcie łez.

Co do mnie — dodała naiwnie Bończyna — prawda, że trochę rachowałam na zapis babci i byłby mi pożądanym, bo mam dłużki—ale.... dam sobie radę. Gorzej Zawierskim, które zapis babki mógł uratować, a zamiast niego zostaje—tylko proces.

— Niekoniecznie go prowadzić mają! — rzekł Horpiński.—Z dobrej woli nie godzi się nic podobnego przedsiębrać, a musu w tem niema.

Bończyna się rzuciła na krzesło.

— Mylisz się pan!—zawołała.—Prawnicy mają w tem interes, aby do procesu namówili. Jeden z Warszawy tu do mnie przyjeżdżał, zachęcając, abym się o moje prawa upomniała. Tożsamo zrobią z Zawierskiemi; a że matka zakłopotana teraz, łatwo ją więc nadziejami uwiodą.

Po tym wstępie Sylwana odpadła ochota do rozmowy: pogrążył się w myślach. Teraz, gdy te panie miały tyle niespodzianych trosk i kłopotów do zniesienia, nie wypadałoż mu—choć na chwilę się tam stawić i ofiarować, acz niedołęzną, pomoc swoją?

Milczący wyjechał z Brzózek—jechał do dworku bardzo długo, rozmyślając, a gdy go matka niespokojna przywitała w progu, rzekł jej cicho, że—choćby nie chciał, na czas jakiś musi się udać do Warszawy.

---

Wieś, przy której znajdowała się główna rezydencya Zawierskich, zwała się Zaborowem—ją samą nieboszczyk chciał przechrzcić na Złotolin, ale się to imię nie przyjęło. Osada była bardzo stara, a i dwór przerobiony i upiększony musiał już stać wiek cały.

Rodzina można, choć ją często sprawy publiczne, od których się nikt nie uchylał. powoływały do stolicy — kochała to swe prastare gniazdo. i każde pokolenie do upiększenia jego się przy czyniało. Przepysznie więc i magnacko wyglądał Zaborów.

Pałacyk mnirowany. w wieku XVIII-ym przerobiony, miał wybitny charakter czasu—późniejsze przybudówki i restauracye coś fantastycznego uczyniły z niego. Malowniczo wznosił się na pagórku i tle ogrodu, który się zachował napół francuzkim, pół angielskim.

W ostatnich czasach kwiatami go nbarwiono.

Nieboszczyk Pruszczyk starał się o to, aby na-

wet pod niebytność tych pań nic tu zaniedbanem nie było. Podwórce, ogrody, cieplarnie, park utrzymywano wielkim kosztem nadzwyczaj troskliwie.

W pokojach każdego czasu przybywająca Zawierska znajdowała wszystko gotowem na jej przyjęcie. Naturalnie, służba też liczna utrzymwaną być musiała dla tego porządku, co niemało kosztowało.

Pruszczyć—jak się zdaje—do ostatniej godziny łudził się tem, iż interesa cudowną jakąś operacyą podźwignąć potrafi. Tań on jaknajstaranniej stan istotny interesów od śmierci Zawierskiego poczynając, całą baczność zwracał na to, aby nigdy na niczem nie zbywało paniom: oszczędzał im troski—i śmierć nagle schwyciła go, gdy może najbardziej się powikłały interesa, a on najokrutniej gryzł się niemi.

Wiadomość o tem, po śmierci Pruszczyca—jak piorun spadła na biedną Zawierską, która tylko kochać i płakać umiała. Likwidacya była tak niespodzianą, iż w początkach jej uwierzyć nie chciano.

Rażona tem Zawierska naprzód położyła się do łóżka i odchorowała cios ten okrutny. Ona sama nie czuła się nim dotkniętą — ale — Misia! jej ukochane, jej jedyne dziecko!

Napróżno Michalina, na której wrażenie słabe uczyniła katastrofa—starła się matce wytłóma-

czyć. że się zupełnie z losem swym pogodzić potrafi: Zawierska rozpaczala!

Zebrana rada familijna po rozpatrzeniu wszystkiego zawyrokowała, że część dóbr znaczną sprzedać było potrzeba. aby Zaborów ocalić. Do tego miejsca przywiązane były najdroższe rodziny pamiątki; rozstać się z niem — ani można było pomysleć.

Lecz szło za tem. że Zaborów. sam pozostając, nawet przyzwoicie na tej stopie do jakiej się nawykło. utrzymanym być nie mógł. Ogrody, budowy, służba—kosztowały bardzo wiele.

Nadzieja spadku po babci rzucała jakiś promyk jaśniejszy na przyszłość—śmierć staruszki ją zniszczyła

Namawiano w istocie Zawierską do procesu, ale ona się go obawiała, a Michalina była mu wręcz przeciwną. Nic jeszcze w tym względzie nie postanowiono. Wszystko było w smutnem zawieszeniu. wyczekiwaniu — nierozwiązane dotąd. Matka chorowała i płakała, Misia pocieszała ją i nie traciła ducha.

O posiadanie Zaborowa rozbijało się wszystko. Postradać go—było boleścią niewysłowioną, zachować prawie niepodobieństwem, bez zmian, które miały nieustannie upadek przypominać.

Więcej niż kiedy wyrzucała sobie matka, iż nie ubłagała córki. aby wyszła za Nitosławskie-

go: bogaty pan byłby z łatwością długi pospłacał i piękną starą posiadłość ocalił.

Na Michalinie to pierwsze w życiu dotknięcie ręki losu uczyniło tak mało widomego wrażenia, jakby do niego była przygotowaną. Kilka dni chodziła jakby ogłuszona i zdrętwiała nieco — potem dzwignęła się nagle, energicznie, i zapomniawszy o sobie, czuwała nad matką tylko.

Jej obojętność i spokój przyczyniły się też wielce do uspokojenia Zawierkiej. Z przyjaciół mnogich, z dalekiej rodziny, nikt nie zawiódł zupełnie, ale też nikt nie był przygotowanym, ani zdolnym do ofiary wielkiej.

Radzono, przyjeżdżano, obmyślano środki mogące odwlec katastrofę, ale niezapobiegające jej.

P. Michalina była za odważnem i stanowczem postępowaniem, Zawierska — za temporyzacją. Wierzyła postaremu w jakiś cud, zwrot, w coś niespodzianego. Śmierć babci, która testamentu nie miała czasu legalizować — przybiła zupełnie Zawierską.

Smutek więc panował w tym, niedawno jeszcze tak świetnie i pańsko wyglądającym, Zaborowie. Życie nie miało czasu się zmienić jeszcze; pozostało na dawnej stopie. Mówiono o oszczędnościach — lecz rozpocząć ich nikt nie miał siły.

Męskiej rady i dloni potrzeba było gwałtownie, ale Misia, która niedawno obłożoną była przez

wzdychających do jej ręki — znalazła się osamotnioną nagle; Zawierska także. Potrzeba było wzywać i prosić, aby kto przybył z radą.

Oskarżano Pruszczyca nieszczęśliwego, narzekano bez miary — i na tem się kończyło.

Zawierska, chociaż z łóżka wstała i przechadzała się, wybladła i zmizerowana — była jeszcze słabą; Misia unikała nawet mówienia z nią o interesach. Na rozmaity sposób potajemnie starała się coś zrobić, aby przynajmniej nie pogorszyć położenia. Szukała człowieka do pomocy matce i sobie — znaleźć go nie mogąc.

Taki tu był stan rzeczy, gdy jednego dnia zrana oddano Misi bilet, na którym wyczytła nazwisko Sylwana Horpińskiego.

Porwała się z okrzykiem, wołając, aby natychmiast proszono go do salonu, a sama copędzej zaczęła się na ranek zbierać. — Matka, która już wiedziała o gościu, przyszła do niej, niepewna jeszcze: czy się ma cieszyć czy trwożyć.

Na twarzy Misi malowała się radość.

— Mamciu — rzekła, całując ją — jestem pewna że ten mój — jak go ty nazywałaś — protegowany, będzie nam wielką pomocą. Przeczuwałam jego przybycie. Proszę cię, przyjmij go dobrze.

Sylwan, czekając, chodził po wielkim salonie pustym, którego okna na ogród i ukwiecony ganek wychodziły... Wszystko tu z dawnych czasów

tak było nietknięte, wspaniałe, poważne, iż mu się wierzyć nie chciało, że się to wstrząśnięte już chwiać mogło.

Zaszeleściła sukienka—i Michalina pierwsza wbiegła żywo z wyciągniętymi do gościa rączkami, z twarzą prawie wesołą, choć na niej widać było ślad cierpienia.

Zmierzyli się oczami.

— Prawdziwy dowód przyjaźni —zawołała— gdy się przybywa. jak pan — w czarną godzinę! Wszak pan już wiesz?

Horpiński głowę pochylił.

— I wistocie dlatego przybyłem—rzekł—ahy, choć wielce nieudolne. ofiarować usługi moje. Na coś zawsze się przydać mogę.

Michalina wskazała mu krzesło.

— Naprzód się nam pan przydasz bardzo, bo będziemy mieli z kim razem boleć.. i obmyślać, co na przyszłość postanowić mamy—zaczęła Michalina. — Nieszczęście to, które matkę moję szczególniej boleśnią dotknęło—spadło na nas, jak grom z jasnego nieba, i dowodzi, że przy najlepszem sercu i chęciach można zgubić — gdy się pragnie ocalić.

— Pruszczyć nas oszczędzał, milczał, pokrywał, taił—i systemu tego trzymał się tak długo, aż się wszystkie wyczerpały środki. Wcześniej ostrzeżone, powoli mogliśmy się ratować—dziś!



Michalina spuściła głowę i zamilkła.

— Niech mi pani pozwoli—przerwał Sylwan—zaprzeczyć, żeby dziś już niepowetowane były te omyłki. Potrzeba się w tem z krwią zimną rozpatrzyć.

— Z zimną i z gorącą—odparła Misia—rozpatrywaliśmy się w położeniu; zdaje się, że ocalić dawne nasze posiadłości jest niepodobieństwem. Zostanie się nam zawsze—jak dla mnie—bardzo dosyć, ale matce sama myśl zmiany życia, miejsc, stopy—na jakiej żyliśmy, jest nieznośną.

— Ubolewam nad tem—odezwał się Sylwan—że ja nie dosyć mam wprawy i doświadczenia, aby skuteczną przynieść pomoc. Natomiast gotowość przynoszę do wszelkiej z mej strony posługi. Niech pani mną rozporządza. Mogę być posłem, pośrednikiem, tłumaczem i pójść pod rozkazy—opiekuna jakiego sobie panie wybiorą.

Jeszcze raz Michalina rękę mu podała.

— Opiekuna nie mamy jeszcze — rzekła—ale o tem dość będziemy mieli czasu rozprawiać.

Na te słowa weszła Zawierska matka, straszliwie zmieniona, blada, kaszląca, z twarzą wyszczupłą, ubrana niestarannie—witając gościa dosyć zimno, choć siła się, aby być grzeczną.

Nie umiała teraz o niczem mówić, oprócz nie szczęścia swojego, i wkrótce wpadła na ten przed-

miot—narzekając na nieboszczyka Pruszczyca. gdy córka śmiało stanęła w jego obronie.

— Pruszczyce był prawdziwym przyjacielem naszym—rzekła—najlepszym dowodem tego jest, że wszystko, co miał własnego, obrócił na nasze interesa. wiedząc, że tego nigdy nie odzyska; omylił się, biedny, przerachował, ale nam dał lat kilka życia swobodnego i spokojnego, za które wdzięczność mu winniśmy.

— Wolałabym była mniej delikatności z jego strony—odezwała się Zawierska — a więcej baczości na przyszłość naszą — niestety!...

Panna Michalina, nie dając się matce zbyt rozgadywać o tem wszystkiem, usiłując i ją i gościa rozerwać, zaczęła pokazywać dom, obrazy, pamiętki; mówiła o ogrodzie, ale i ten przedmiot wywołał lzy—bo cały ten świat pamiątek potrzeba było porzucić, rozstać się z nim i zestąpić o kilka stopni niżej w ustroju towarzystwa.

Zawierska powtarzała, że tego nie przeżyje.

W domu też nie było jeszcze najmniejszego znaku zmiany położenia: stopa, ton, utrzymanie pozostały czem były.

Jedna tylko Misia cicho szeptała, że już przedsięwzięła nowicyat ubóstwa, i że bez wiedzy matki zaczęła się przyzwyczajać obchodzić bez sług, bez wielu zbytkownych wygódek.

— Sądzę—odezwała się do Horpińskiego, gdy

zostali sami—że, bez wielkiej przykrości i ofiary można uproszczenie życia doprowadzić bardzo daleko.

Ze wszystkiego najprzykrzejszem mi będzie może nie mieć pracowni osobnej, oszczędzać płótno, którego ja tyle psuję — myśleć o tem, aby drogich farb na moje mazaniny nie wychodziło tak wiele — ale i do tej doskonałości przyjdę z czasem, że—potrafię skąpić ultramarynn i chromów... Obrazy zyszczą na tem, bo będą mniej jaskrawe.

Śmiała się biedna.

Sylwan zaraz po obiedzie rozpoczął rozmowę poważnie, chcąc się dowiedzieć pewnych szczegółów o interesach. Ponieważ robiono właśnie inwentarz i likwidacye i sprowadzony na ten cel urzędnik i prawnik — całą kancelaryą mieli na folwarku — Zawierska, z nieśmiałością pewną, odezwała się, że możeby tam chciał zajrzeć.

Horpiński, nie zwlekając chwili, poszedł natychmiast.

Nic na świecie wstrętliwszego niema i smutniejszego nad widok przygotowań do pogrzebów i do ruiny. W obu przypadkach ludzie, co nśluzić mają, z pewną satysfakcją korzystają z tego, iż się im npiekła gratka. Zwykle nbodzy, lankący, nie bez jakiejś radości patrzą na to, co lepiej od nich wyposażonych dotyka. W tym

momencie oni są górą—są potrzebni i ci, którym się kłaniali, od nich zależą.

Przykry obrazek w oficynie stanął przed oczyma wchodzącego tu Horpińskiego. Prawnik i urzędnik, zrana nieco papierów przetrząsnawsz, po obiedzie potrzebowali wypoczynku i czekali na jakieś informacye, przy butelce wina, (którego sobie obficie dostarczać kazali), grając w karty.

Pan Radca Dworn Barański i Mecenaz Pawłomorski—ludzie obaj średniego wieku—jak znaczniejsza część dorobkowiczów, którym los odmówił wszystkiego zamlodn—lubili teraz zażywać pomyślniejszej doli.

Radzca był wzrostu więcej niż średniego, silny, rumiany, i żeby mógł być pięknym mężczyzną dla panien miejskich, brakło mu tylko kawałka jednej nogi. Nakuliwał trochę, porównyując siebie z tego powodu do Byrona, bo zresztą nie z nim wspólnego nie miał.

Właściwie do pięćdziesięciu lat, choć myśmy go dorobkowiczem nazwali, nie dorobił się nic—bo niepomniernie używał i miał do kart namiętność.

Człowiek był zresztą dobry, dosyć roztropny—wyszktałcenia miał niewiele, więcej nieco doświadczenia, a sztukę życia opierał na tem, aby, nie narażając się zbyt nikomu, wyzyskać każdą sposobność dla siebie. W przystępie jakiegś

namiętnej fantazyi ożenił się, na co teraz narzekał, ale żona stokroć nad niego więcej miała do tego prawa.

Z powodu nieporozumień z nią Barański szczęśliwym był, gdy mógł się wyrwać z domu i jak najdłużej niepowracać do niego.

W towarzystwie zresztą wesół był i innych starał się utrzymać przy dobrym humorze.

Pawłomorski, prawnik — mecenas postaremu, doradzca, pełnomocnik, był małą figurką, już siwiejącą, z długą twarzą, w której wielkie siwe oczy, jakby sowie, najwidoczniejszymi były. Włos krótko ncięty jeżył mu się na głowie śpiczastej. Nerwowy ruch jednej części twarzy patrzącemu nań czynił go nieznośnym.

Skryty, ostrożny, przebiegły, ale niepewny siebie, wahający się, Pawłomorski niezmiennie dbał o swą sławę — i drażliwy był na wszystko, co jego znaczeniu i powadze uwłaczać mogło.

Obaj ci panowie ani słyszeli o Horpińskim, ani znali stosunek, jaki go łączył z temi paniami; zrana powiedziano im, że przybył ktoś z przyjaciół: mieli się więc zawczasu na baczności.

Poważnie i chłodno zaprezentował się im Horpiński, jako wysłany przez p. Zawierską do rozpatrzenia się w stanie jej interessów.

Barański i Pawłomorski spojrzeli na siebie, porozumiewając się. Radzca nie czuł się wcale obo-

wiązanym do dawania informacyi. ale, na bok się nieco usunąwszy—pozostał. Mecenas kilka razy poprawił kołnierzyka, mrugnął półtwarzą—podjął ze stołu i rzucił niecierpliwie plik papierów. ramionami ścisnął. począł powoli lament.

— Nie łatwo to, panie dobrodzieju—rzekł—po długim bezładzie jaśniej się rozpatrzyć w stanie tak skomplikowanych interessów. My tu już z p. radzcą pracujemy w pocie czoła od kilku tygodni—a jeszcześmy nie dokopali się do gruntu.

— Interesa są w tak złym stanie? — zapytał Horpiński.

- Niema się co ludzi—rzekł z boku radzca. wyrokująco—zaplątane okropnie!

— Gdyby tylko zaplątane były — odezwał się Horpiński—możeby się dały rozwikłać.

Pawłomorski głową potrząsnął.

Zamilkli trochę.

— Przybliżenie, szanowny panie — rzekł Sylwan wyczekawszy nieco. czy się kto nie odezwie. —oprócz bankowego długu. ile jest pilnych wiarytelności?

Radzca i mecenas spojrzeli na siebie i obaj pokręcili głowami. Pawłomorski poszedł po plik papierów, począł go przerzucać prędko i zżymać się, powiódł palcem po kolumnach cyfr kilka razy. westchnął—i rzekł w końcu:

— Trudno to jeszcze powiedzieć!

— Jednakże—przybliżenie?—napierał Horpiński. który dobył cygar i dwa najlepsze zaofiarował radzcy i mecenasowi.

Barański wstał — kulejąc na nogę, poszedł parę kroków. szepnął coś w ucho mecenasowi; zaczęli mówić pocichu.

Horpiński rzekł niecierpliwie:

— Jakiej-by potrzeba summy — dodał po długim przestanku,—aby tymczasowo majątek od sprzedaży przymusowej uratować.

Mecenas nadzwyczaj groźnie głową poczał potrzasać i palcami w powietrzu przebierać.

— Gdy powiem sześćdziesiąt tysięcy rubli — nie przesadzę—odezwał się—ale i z temi nawet...

Przerwał sobie. nie kończąc, a Barański potwierdził.

— Tego mało! Pruszczyc. myśmy go znali dobrze— poczał mówić — był osobliwy człowiek: nikogo nie słuchał. nie radził się nikogo, wszystko robił swoją głową, a co dalej. to głębiej brnął. Swoje stracił i panią Zawierską zgubił. a przystąpić do niego było trudno, tak szorstko przyjmował i mało drugich cenil.

Myśmy to dawno widzieli i prorokowali.

Horpiński siedział zadumany i nie zdawał się już słuchać z wielką uwagą.

— Sześćdziesiąt tysięcy rubli—odezwał się—

nie jest summa tak bardzo wielką. Nie mógłbym rzucić okiem na tabelkę?—zapytał.

— Tabela jeszcze nie ułożona—żywo odezwał się mecenas—ja mówię z pamięci.

— Gospodarstwo i inwentarze są w dobrym stanie!—wtrącił Sylwan.

Radzca obrócił się do okna, nie czując się obowiązany do odpowiedzi na to pytanie, a Pawłomorski rzekł z przekąsem:

— Wedle systemu nieboszczyka—juścić nie źle są zaopatrzone folwarki, ale to wszystko z gruntu ktoś przerabiać będzie musiał.

Naprawdę Horpiński dopraszał się, aby mógł rzucić okiem na papiery: wymawiał się mecenas, że nie było dotąd nic, oprócz konceptów i brulionów.

— My tu, panie dobrodzieju — rzekł — mamy pracę Syzyfową z tem.—Strach! desperacya! Ledwieśmy jeden z grubego obrobili, a tu już się toczą głązy na nas, tak, że człowiek pod brzemieniem upada.

Z godzinę tak, z różnych stron zabiegając, niewiele się objaśniwszy, Horpiński musiał powrócić do pałacu, mało skorzystawszy na wycieczce do oficyny.

Zdobyl tylko jedno: — nazwisko sąsiada, który był członkiem rady familijnej, p. Wojciecha



Wierzbiety, niegdyś dobrze, ponafale znanego Sylwanowi—z lat młodości.

Gdy ojciec Horpińskiego plan jego wychowania kreślił, wyznaczył i fundusze na podróże, które dopełnić je miały i lata, jakie na nie przeznaczał. Profesor Bochenek, mający towarzyszyć Sylwanowi, gdy mu rodzice Wierzbiety zaproponowali, aby i ich syna zabrał z sobą—uczynił to zawisłem od zgodzenia się Horpińskiego. Skutkiem tego zapoznali się ci panowie, polubili bardzo. Sylwan na wspólną podróż się zgodził, a parę lat spędzonych razem zbliżyło ich i zrodziło stosunek braterski. Później dopiero okoliczności niezależne rozdzieliły obu przyjaciół. Pisywali czasem do siebie, a Wierzbietą, bywając w Warszawie, zajeżdżał do Horpińskiego i stawał u niego, nawet gdy go nie było.

Ten tedy przyjaciel należał do bardzo szczupłej liczby ludzi, którzy wiedzieli o pochodzeniu, znali historią Sylwana. Od lat trzech Wierzbietą, ożeniwszy się, w stolicy nie był ani razu i obaj za sobą tęsknili.

Jadąc tu, Horpiński nie wiedział spełna, że Zaborów był w niedalekiem sąsiedztwie od Makolągwy, majątku Wierzbiety. Uradowało go, gdy o tem usłyszał, bo wiele na pomoc przyjaciela rachował.

Wojtek Wierzbietą był szlachcicem polskim do

szpiku kości. Miał wszystkie wady i przymioty swego stanu; lecz wykształcenie i podróże dały mu jasny pogląd i sąd nawet na własne sprawy. Grzeszył i wyśmiewał się sam z siebie, a niekiedy nawet umiał się wstrzymać od popełnienia niedorzeczności, choć pochop do niej miał wielki.

„Chłop serdeczny“, jak się dawniej wyrażano, Wojtek zawsze wesół, ochoczy, pracowity, zwłaszcza gdy to robił, co na nic się nie zdało, był ulubieńcem wszystkich, którzy go znali.

Ktoby go słuchał malującego świat własny i to, czem był otoczony, wziąłby go niewątpliwie za najsurowszego cenzora, za Katona—ale w życiu Wojtek dla siebie i drugih wielkie czynił ustępstwa.

Ożeniwszy się z miłości dla ślicznej żony, po której nie wziął ani złamanego szeląga, Wierzbietę, od lat trzech szczęśliwy, siedział w domu i o całym zapomniiał świecie.

Majątku po rodzicach odziedziczonego, choć w młodości żył niezbyt oszczędzając, nie nadwreżył wiele, nie zrobił długów znacznych—i było mu na świecie dobrze.

Drugą już córeczkę nosił na rękach i pieścił. Wciągu tych lat trzech utył, odrobinkę wyłysiał, ale był jeszcze bardzo pięknym mężczyzną,— tak jak jego Terenia śliczną jeszcze kobieciną.

Makolągwa Wierzbietów podobna była do ty-

sięca innych dworów zamożnych u nas, a że pani miała wiele smaku, wesoło więc było i ładnie — chno w tem wiejskiem zaciszu.

Na pana nie chorował Wojtuś, był po szlachecku demokratą; ale dostatek w domu musiał być zawsze — i pewna elegancja nawet.

Po powrocie z oficyny pierwszą rzeczą, o której przemówił Sylwan do panny Michałiny, była radość, jaką miał z sąsiedztwa Wierzbięty.

— Od tych panów trudno mi się było czego dowiedzieć — rzekł — ale Wierzbięta jest moim przyjacielem od młodych lat, a sąsiadem Zaborowa. Na niego rachuję, że mi pomoże, objaśni... i... znają panie Wierzbiętę?

Misia go widywała rzadko i krótko; wydał się jej nieco płochym; lecz pochwały Sylwana starczyły, aby go podnieść w jej oczach.

— Zaraz jutro jadę do Makolągwy — odezwał się Horpiński — Z kochanym Wojtkiem narada dla mnie jest ważną.

Niepodobna, aby, mieszkając tak blisko, prawdopodobnie żyjąc ze ś. p. Pruszczycem, nie mógł mnie w wielu rzeczach objaśnić.

Zawierska zmilczała: i ona zamało знаła tego sąsiada, aby się o nim mogła z pewnością wyrazić: czy mógł się teraz przydać na co...

— Dobry i zacy człowiek — odezwała się — Pruszczyce, i wszyscy go tu chwalili; nie sądzę je-

dnak, by się z nim radzić można, gdyż—lekkotrawnie zawsze brał wszystko.

— Ja go znam dawniej i lepiej — odparł Sylwan. — Ma on pozór człowieka lekkomyślnego, ale sąd zdrowy, serce dobre, charakter szlachetny. Być może, iż trochę za pochlebnie go sądzę, bom go kochał i kocham jak brata... jakkolwiekbać—widzieć się z nim muszę.

Trochę później Horpiński wziął na stronę p. Michalinę.

— Nie dowiedziałem się wiele — szepnął jej — lecz to, co mi mecenas powiedział, starczy, abym mógł panią uspokoić. Jeżeli nie więcej wnoszą ciężary pilno wymagające spłacenia, nad to, co mi mówił p. Pawłomorski — znajdziemy kredyt i zapobieżym katastrofie.

Potrzeba jednak będzie kogoś, coby po tem objął zarząd majątków i gospodarował rozumnie, umiejętnie i uczciwie.

P. Michalina popatrzyła mu w oczy.

— Czy i kogoś takiego znaleźć się pan spodziewasz? — zapytała.

— Dla czegoż-by nie? — odparł Horpiński. — Mój Wojtek przyjść nam w pomoc będzie musiał.

Długo jeszcze wieczorem trwała rozmowa, którą Misia i Sylwan starali się sprowadzić na obojętne przedmioty, a biedna Zawierska mimowoli zwracała na to, co ją dolegało. Obojgu im nie

udało się rozweselić jej. Sylwan się pożegnał, bo rano chciał jechać do Makolągwy, gdzie spodziewał się światła dostać — a radość widzenia Wojtka orzeźwiała go trochę.

---

Wojtek siedział w ganku: na kolanach, jak zwykle przez pół dnia, trzymał swą towarzyszkę Emilkę, która go za wasy neliłościwie ciągnęła; nianka stała naprzeciw niego, śmiejąc się, a dalej trochę piękna Terenia na krzeselku z kołyską leżąc, przerzucała dziennik mój i spoglądała z uśmiechem na męża i dziecko.

Byłto wcale ładny obrazek rodzajowy, choć takie szczęście spokojne, oświecone lagodnemi promieniami, trochę w półcieniu, na tle szlacheckiego dworu—nie skusiłoby malarza. Sam Wojtek był typem pięknym, ale zbyt pospolitym; pani miała twarzyczkę ładną, ale bez wielkiego wyrazu.

I taka cisza wiejska otaczała tę scenę z życia powszedniego—kroplę złocistą w czarze krótkiego szczęścia ludzkiego.

Wojtek, który się bawił z Emilką, choć cały nią był zajęty, pierwszy postrzegł na grobli ku dworowi idącej szybko się posuwający powóz.

Po siwych koniach, których Pruszczyce używał, poznał zaraz, że ktoś jechać musiał z Zabórowa.

Pani, ubrana podomowem, natychmiast uciekła... Emilkę, trochę się opierającą, ucałowawszy, musiał oddać Wierzbietę niance, która z nią w głęb' domu pierzchnęła.

Powóz się zbliżał; Wojtek dosyć kwaśno rozważał: kto to być może?

Dostrzegł zdala mężczyznę, ale go nie poznał.

Horpiński już był na wschodkach ganku i witał śmiechem gospodarza, gdy ten dopiero go sobie przypomniął i poskoczył, wykrzykując:

— Jak Boga kocham... Sylwan! Końmi z Zabórowa?..

— Jak widzisz...

Uścisnęli się serdecznie. Wierzbietą nie mógł zrozumieć jeszcze, ani jak się tu znalazł ten przyjaciel, ani dlaczego jechał od Zawierskich.

Poszli razem do pokoju Wojtka. Tu powoli wszystko się tłumaczyć zaczęło i wyjaśniać.

— Przyjeżdżam do ciebie po światło — rzekł Sylwan — Zawierskich ratować potrzeba, a tam nikt, ani one same, ani ci, których do tego powołano, nie znają stanu interesów.

— Myślisz, że ja wiem co więcej? — odparł Wojtek. — Ś. p. Pruszczyce był, jak my wszyscy;

doskonały człowiek. rozumny, poczciwy, lecz czego się dotknął, to popsuł. Łudził się sam, panie te trzymał w błędzie—i—koniec przyszedł smutny.

— Nie podobna, aby nie było ratunku!

— Jedyńy ten, żeby p. Michalinę wydać za bogatego człowieka—rzekł Wojtek.

— I uczynić z niej ofiarę—dla kogo i dla czego?—rzekł Horpiński.

Wierzbięta popatrzył na niego.

— Napierw — spytał — kochasz się w niej?... chcesz się żenić?... mów?

— Żenić się ani mogę ani myślę; znasz położenie moje—rzekł z powagą Sylwan.—Nie kocham się—ale szanuję pannę Michalinę, bo takich kobiet niewiele jest na świecie. O mnie tu mowy niema.

Ja się nigdy i nigdzie nie liczę; jestem wszędzie: młódką.

— Daj pokój—przerwał Wierzbięta — i pocałował go w czoło.—Znamy się dobrze i dawno.

— Mam dla tych kobiet wielką, serdeczną przyjaźń—ciągnął dalej Horpiński.—Nie znając mnie. przyjmowały życzliwie w domu. znalazłem u nich uprzejmość serdeczną. Nauczyłem się cenić pannę i—radbym, ile mi siły dozwolą—ratować ją i matkę.

Rachuję na ciebie, że mi pomożesz.

— Sylwanie kochany—ja nie wiem, czy najwię-



kszem i ofiarami jest tu co do zrobienia. Wszyscy powiadają, że ruina jest nieuniknioną.

Sylwan nie dał mówić przyjacielowi, uśmiechnął się—i poczęli przypominać sobie owe dobre czasy, gdy razem, częścią pieszo, częścią weturynem, z Bochenkiem wędrowali po Włoszech, wstępując do małych miasteczek i kościołków po drodze, śniadając i wieczorując po nędznych albergach, w których często nic nad kwaśne wino, suchy chleb i twardy kawałek sera nie było.

Wojtkowi na sercu leżało, co najprędzej się swoim szczęściem pochwalić przed przyjacielem, pokazać mu śliczną Terenię i faworytkę Emilkę.

Pobiegł więc uprzedzić żonę o tem, jakiego miał gościa w domu, o którym, nie raz, ale tysiące razy, już jej opowiadał. Z tych wspomnień męża znała go pani—i ciekawą była zobaczyć.

Smutno to przyznać, ale widok takiego szczęścia domowego, jakim się napawał Wojtek, na ludziach z niego wydziedziczonych, czyni prawie zawsze bolesne wrażenie. Człowiek mówi sobie mimowoli: Dlaczego ja tego nigdy osiągnąć nie potrafię?

Sylwan oprócz tego był pognębiony troską o los Michaliny i jej matki: wydał się więc pani Teresie ponurym i prawie strasznym.

W głosie jego i wyrazach malował się nienormalny stan wzburzonej duszy. Terenia, którą

Wojtek nbóstwiał. wydała się mu zimną, dumną, niesympatyczną.

Sam nawet przyjaciel Wierzbiety—jakże zmienionym był w jego oczach, i nie na korzyść swojej! Spowszedniał, umysłowo się nie podniósł, ale zaniedbał; to, co go dawniej żywo zajmowało, dziś się stało obojętnem. Był sam szczęśliwy i nie żądał już nic więcej.

Po obiedzie obaj starzy przyjaciele poszli na nową naradę do ogrodowej altany. Wojtek trochę się otrząsł ze swego lenistwa — i żywiej począł mówić o interessach... Zawierskich

— Powinieneś mi pomódz—odezwał się w końcu Horpiński.—Poczciwem kłamstwem trzeba pomódz tym biednym kobietom. Michalina zasługuje na to.

Ja nie potrzebuję do życia wiele i żadnej przed sobą nie mam przyszłości. mogę więc bez żalu poświęcić to, co mam, aby komuś szczęście zapewnić. Mówiono mi, że czterokroć sto tysięcy złotych mogłoby dźwignąć interessa: ja je dam—ale potrzeba, aby one nie wiedziały, że pochodzą odemnie.

Wojtek się zadumał.

— Cóż tobie pozostanie?—zapytał.

— Zostanie mi tyle, że na życie proste i nie wymagające, starczy—odparł Sylwan.—Zresztą, pieniądze nlokowane na Zaborowie, nie będą cał-

łowicie stracone; tylko ja się z pewnością ani o kapitał, ani o procenta upominać nie będę.

Cały fundusz mam gotowy w papierach. Ode mnie-by go nie przyjęto; od ciebie, od kogoś obcego—nie podejrzewając łaski—wezmą.

— A jeśli się interessa skomplikują, i twój fundusz przepadnie?—zapytał Wojtek.

— Na to jestem przygotowanym—rzekł zimno Horpiński. Dla mojej matki i dla mnie starczy to, co nam pozostanie. Żenić się nie myślę.

Spuścił głowę i zamilkł.

Wierzbietą chodził zamyślony po pokoju.

— Mów co chcesz — odezwał się żywo—ty się kochasz w Michalinie. Takich ofiar heroicznych nikt nie czyni, kogo bardzo gorące uczucie do tego nie skłoni.

— Patrz na moje siwiejące włosy — odparł z gorzkim półśmiechem Sylwan — nie pora mi marzyć o miłości, ale jestem do niej przywiązany. Szanuję ją—i widzę wyższą istotę...

— Dlaczegoż-byś się z nią nie żenił?—wtrącił Wojtek.

Horpiński parsknął bolesnym śmiechem.

— Ty jeden znasz położenie moje. Nie mam imienia, nie mam ojca — muszę się wstydzić pochodzenia. Choć biedny mój rodzic podrobił mi jakieś szlachectwo i genealogią, nigdy na kłamstwie takim życia i przyszłości oprzeć-bym nie

zdołał. Ożenienie się jest, jak widzisz—niepodobieństwem. i ja o niem nie myślałem nigdy. Nie mów nawet o tem. Po długich rozprawach, zaklinając i prosząc o to Wierzbietę, wymógł na nim Sylwan, że w kilka dni miał przybyć do Zaborowa i zaofiarować paniom pożyczkę dla spłacenia długów, na najdogodniejszych warunkach. Imię obce jakieś miało pośredniczyć, a dla Sylwana tylko prywatne zapewnienie długu jego starczyło.

Gdy Wojtek go pytał: co zrobi z sobą, przyznał mu się Horpiński, że chce z matką razem przenieść się napowrót na Ukrainę, przywdziać sukmanę i powrócić do tego stanu, do którego—jak mówił—był stworzonym.

— Ty się na śmierć zamęczysz!—wołał Wojtek,

— Nie—rzekł Sylwan stanowczo — Z dobrej woli tylko. sympatycznie będę dziczeć, zabiję w sobie myśl, zgłuszę ducha. Zdrętwieję. sztucznie się starając o to... Życie moje na nic się nie zdało nikomu. mnie cięży; samobójstwo jest mi wstrętliwe.

— A chcesz je spełnić powolnie! — przerwał Wierzbietą. Cóż innego nad nie zamierzasz?

Na to Horpiński nie odpowiedział...

Wieczorem znowu myślami i wspomnieniami błędzili po Włoszech; przypominali sobie pocziwego Bochenka—i Terenia, ramionami poruszając. słuchała tych opowiadań, które się jej nie wydawały

wcale zajmującemi, a męża tak szczęśliwym czyniły. Była zazdrośną.

Trzeciego dnia dopiero wrócił do Zaborowa Sylwan, ułożywszy, co miał mówić i jak pannę Michalinę uspokoić w ten sposób, aby podstępnie się nie domyśliła.

— Podróż moja nie była bezowocną — rzekł, przywitawszy się z nią. — Powracam z nadzieją najlepszą. Mój poczciwy Wojtek zaprzysięga, że znajdzie potrzebne pieniądze na bardzo łagodnych warunkach. Długi zostaną spłacone; ułożymy programmatna przyszłość taki, aby paniom spokój zapewnił, do zbyt wielkich ofiar ich nie zmuszając. Zaborowa nie trzeba się będzie wyrzekać.

Misia słuchała, zarumieniona, z radością, niedowierzając uszom.

— I to wszystko winne będziemy panu! — zawołała.

— A! nie—przerwał żywo broniąc się Sylwan—poczciwemu Wojtkowi.

— Nie umiem panu wyrazić całej mojej wdzięczności—odparła głosem wzruszonym p. Michalina, wyciągając rękę ku niemu.—Wierz mi pan, nie idzie mi o mnie, ale o kochaną matkę, o oszczędzenie jej troski na starość!

Ja potrafiłabym się obejść małym...

Gdy pani Zawierska nadeszła z tą twarzą smutną a upokorzoną, która litość obudzała—Misia

i Horpiński pośpieszyli zwiastować jej dobrą nowinę.

Dlaczego przestraszona już matka okazała się niedowierzającą i nie dała się uspokoić — trudno pojąć było. Cios, który ją dotknął niespodzianie, uczynił lękliwą i nienfną.

Dziękowała półgębkiem Horpińskiemu, lecz widać było, że słowom jego nie dawała wiary — i niepokój ją ogarnął.

Przyczyną było, że jej na myśl przyszło zwie-  
rzenie się hrabiego Antoniego o pochodzeniu  
Horpińskiego i posądzenie go, że zechce teraz  
korzystać z upadku, aby sięgnąć po rękę Micha-  
liny. Córkę tak wydać za mąż — było dla niej  
drugim, może jeszcze cięższym ciosem, niż pierw-  
szy. Raz wbiwszy to sobie w głowę, iż Sylwan  
na swą korzyść obróci ich nieszczęście — nie mo-  
gła się już uspokoić.

Córka spostrzegła to jej nowe rozgorączko-  
wanie.

Gdy doprowadziła matkę do sypialni, skła-  
dając pocałunek na jej czole, z życzeniem dobrej  
nocy, dodała na ucho ze smutnym uśmiechem:

— Śpij spokojnie — mamusiu — ani on się żenić  
ze mną, ani ja wychodzić za niego nie myślę.

Uścisnęły się w milczeniu.

Następnych dni parę przeszło w oczekiwaniu.  
Wojtek umyślnie spóźnił przybycie, dla uczynie-

nia prawdopodobniejszem starania o fundusz potrzeby.

Tymczasem Sylwan miał sobie za obowiązek nprzedzić pracujących w officynach pp. Barańskiego i Pawłomorskiego, iż prawdopodobnie czynności ich wkrótce się skończą, gdyż długi spłacone zostaną.

Pawłomorski podniósł głowę; nerwowy tyk jego skrzywił mu pół twarzy.

— Co pan sobie marzył! — odparł. — Niby to my nie znamy naszych kapitalistów, stosunków, kredytu i t. d!

Kto tu da pieniądze!

Barański najmocniej potwierdzał aforyzm kolegi.

— Ale ja mówię na pewno — odpowiedział Sylwan — bo pieniądze już są znalezione.

— Na jakich warunkach? to sęk! *zakładna*? a jaki procent? he! To się nazywa, nie ratować, ale dorzynać.

— Bądź pan spokojnym — dodał Horpiński. — Pieniądze dostaliśmy bez *zakładnej* i na mały procent.

— To waryat je dał chyba! — zawołał Barański.

Rozśmiał się Horpiński.

Na urzędnikach widać było wzruszenie wielkie.

Gniew ich spadł, naturalnie, na Sylwana, który im długą i korzystną robotę z rąk wydzierał.

Pawłomorski odezwał się proroczo, papierami bijąc o stół:

— Zobaczy pan! zobaczy! jak się to smutnie skończy! Teraz można było choć folwarków parę z długiem bankowym, a może *fundum*, ocalić; potem pójdzie wszystko — i ani okruszyna nie zostanie.

Ubawiwszy się trochę złym humorem obu tych panów, pożegnał ich Sylwan, zostawując po sobie jaknajgorszą u nich opinią. Posądzano go o niestworzone rzeczy; a ponieważ życie na koszczie Zawierskich niedługo już trwać obiecywało, Pawłomorski więc postanowił i samemu sobie i radzcy niczego nie żałować.

Wojtek nadjechał wreszcie, a nim się paniom przedstawił, wziął go na stronę Sylwana i nauczył, jak się miał znaleźć.

Dobroduszny i trochę ociążały swem szczęściem. Wierzbietą zadowolony, zardzewiały, podobał się tym paniom, jako nieco odmienny typ od tych, które w mieście spotykały. Wydał się im sympatycznym.

Zawierską ujmowało to, że ciągle mówił o swej Tereni, o swej faworytce, o szczęściu — i że dobre jego serce w każdym się odbijało słowie.

Komedyą, w której mu rola pocziwego kłamcy



przypadła—odegrał Wojtek bardzo trafnie i z talentem.

Dowiódł Zawierskiej, że obowiązkiem było obywatalskim ratować się wzajemnie, że pieniędzy szlachta miała podostatkiem, że znaleźć je przyszło nadzwyczaj łatwo.

Nieufna ciągle, biedna matka powoli dała się przekonać i odetchnęła swobodniej; Misia zaś, która wprzód wcale nie podejrzewała Sylwana, teraz, niewiedzieć dlaczego, słuchając Wierzbiety, przypatrując mu się, powzięła myśl, że to było sprawą Horpińskiego.

Przekonanie to coraz mocniej się utwierdzało, gdy później Wojtka sama wzięła na badanie tro-skliwe i zręczne. Wierzbietą się nie zdradził, lecz bystrzejszego wejrzenia panny ujść nie mógł.

Teraz panna Michalina posmutniała. Powie-dziawszy sobie, że ten przyjaciel gotów był cały swój byt dla nich poświęcić tajemnie (sądziła go zdolnym do tego)—zachwiała się: czy godziło się im przyjąć ofiarę i rozmyślną ślepotą przyjęcie to osłonić?

Naciskany pytaniami z różnych stron zabiega-jącemi — Wierzbietą, choć się zręcznie wykre-cał, okazał pewne słabe strony zmyślonej bajki.

Mógł nią złudzić matkę, ale p. Michalina wi-działa głębiej i jaśniej. Podziękowano najserde-cniej Wierzbiecie, i obie panie, żegnając go, za-

powiedziały odwiedziny swe w Makolągwie. Wojtek się spierał o to, że mu wprzódzy żonę tu przywieźć wypadało; zgodzono się wreszcie.

Horpiński. dokonawszy. co postanowił. dłużej turbować się nie myślał. Wiele bardzo ważnych pobudek ztąd go wypędzało. Nie chciał się nadto zasiadywać przy pannie Michalinie, aby potem na rozstaniu z nią nie cierpieć; potrzebował powracać do matki i obmyśleć przyszłość. którą nagle teraz zupełnie inną mieć chciał.

Należało sprzedać Rusinowy Dwór. wyszukać kawałka ziemi na Ukrainie. przenieść się tam i zniknąć zupełnie ze świata, utonąć w nieznanym tłumie.

Meżnie do tego samobójstwa przystępował Sylwan, a niemniej wiedział. jak srogimi je męczarniami opłacić będzie musiał.

Rozstając się z p. Michaliną. przeczuwał. iż nigdy więcej jej nie zobaczy. Zaklął Wojtka, aby opiekę interessów wziął na siebie — a sam chciał się co najprędzej oddalić.

Ostatniego wieczora siedzieli w ganku sami. Zawierska tuż u drzwi w salonie, zadumana i wzdychająca, rozmyślała i gryzła się—ciągłemi obawami, które ją napastowały.

I p. Michalina nie w najlepszym była humorze.

— Dlaczego się pan tak spieszysz?—zapytała, wlepiając w niego oczy,

— Muszę — muszę jechać — odparł Horpiński. Są interesa. są pewne zobowiązania.

— A kiedyż się widzieć będziemy? — mówiła dalej Misia. — Do Warszawy na zimę nie pojedziemy — jest to wprost niepodobieństwem. Mama nawet to widzi. ja ani myślę. Musimy siedzieć na wsi — a co do mnie. skarżyć się na to nie będę. Przyjedziesz pan do nas? Byłaby to ofiara z jego strony? nie śmiem ani prosić o nią, ani się jej spodziewać.

Horpiński spuścił oczy.

— Nie potrzebuję mówić nawet. jakby miło mi było służyć paniom — rzekł — ale człowiek często jest niewolnikiem.... Będę się starał.

Co do interesów, niech pani wierzy, że Wojtek mnie stokroć lepiej zastąpi. niż się zdaje.

— A! wolę nie myśleć o interesach — odparła Misia. — Najszczęśliwszym jest człowiek. co ich nie ma i myśleć o nich nie potrzebuje. Ale pan. bez pochlebstwa, należysz do tych ludzi, za którymi się tęskni. do których się przywiązuje i których nic nie zastąpi.

Zarumienił się Horpiński i zamilkł. zmieszany.

— Umieć być wdzięcznym. za tak pochlebne wyrazy — rzekł po chwilce — ale chyba dobre moje chęci tylko i szczere przywiązanie do ich domu — mówi za mną. Zresztą czuję się stworzeniem naj-

nienżyteczniejszem na świecie i niedołężnem. Chęci mam najlepsze—ale na tem koniec.

— Jak pan to mówić możesz?—oburzyła się p. Michalina—kiedy my winnyśmy mu ratunek? Sądziś pan, że ja tego nie rozumiem i nie widzę? Wszystko co się stało, pan jeden, i to w sposób dla mnie niepojęty, dokonałeś.

Nie przerywaj mi pan, nie zaprzeczaj — ja to czuję.

Powiem więcej—wiem, że musiałeś wielką jakąś ofiarą okupić to dzieło wybawienia, do którego się nawet przyznać nie chcesz.

Zmieszany, Horpiński poruszał ramionami i bełkotał—że nic nie rozumie.

— Serca mojego oszukać niepodobna!—dodała Misia cicho — jest ono pełne wdzięczności dla niego!

Sylwan wyprzysięgał się, strwożony, iż nic nie uczynił. Michalina śmiała się szydersko.

— Nie wiem ani szczegółów, ani sposobu, jakim pan to potrafiłeś wykonać—rzekła—ale najpewniejszą jestem—że jemu—śmy winne wszystko—nawet może życie matki mojej, o które się lękałam. Wprawdzie powoli powraca jej spokój i zdrowie—ale ja już nie rozpaczam, że ją ocalić potrafię.

Sylwan chciał przerwać, aby rozmowę zmienić, ale mu Michalina nie dała.

— Pozwól mi pan dziś być despotyczną—rzekła Michalina. — Jedziesz pan, chcesz się oddalić, masz interesa: wszystko to dobrze; ale ja potrzebuję mieć pewność, że się zobaczymy!

— Gdy mi pani każesz przybyć?...—zamruczał Sylwan.

— Rozkazywać nie mam prawa. ale prosić dozwala przyjaźń i teraźniejsze położenie moje.—dodała Misia. — Znasz pan mnie: jestem marzycielką trochę. potrzebuję kogoś, abym z nim myśli wymieniała — któryby mnie do życia rozbudzał. Nie mam najmniejszej ochoty zamrzeć i zarzewieć—chcę żyć!

Obejrzyj-że się pan po okolicy!

Najzacniejszy pański Wojtek. gdy nie mówi o Tereni i o Emilce—milczy.

Nasz ksiądz dziekan i prałat nie wychodzi z katechizmu i wspomnień przeszłości. Inni sąsiedzi nawykli mówić o urodzajach i o polityce. Z kimże ja tu będę mogła o sztuce. o wszystkich wielkich czasach naszego kwęstyach słowo zamienić? od kogo się coś dowiedzieć? kto mi wątpliwość wyjaśni?

Niczego się tak nie lękam, jak tego. żebym nie zasnęła i nie zdrętwiała—ograniczając się życiem vegetacyjnem. Lepiej już umrzeć!

Mówiąc to—westchnęła.

— Kto wie—szepnął Sylwan—czy to życie gorączkowe we spółce ze światem nie jest większą

męczarnią niż rozkoszą? Najszczęśliwsi podobno są ci. co bezmyślnie pracują.

— I pan chcesz mnie taką widzieć? — zapytała Michalina.

— Nie, boś pani nie jest stworzoną do tego rodzaju żywota. a kto raz innego zakosztował, ten do pierwotnego. prostego. powrócić już nie może.

— A zatem — wtrąciła Misia. — obowiązkiem przyjaciela jest — nie dać się męczyć biednej. takiej jak ja. wygnance.

— Która będzie miała książki, pisma — wszystko. co życie przynosi — dodał Sylwan.

— Sądzisz pan, że martwą literą bez żywego słowa żyć można? — podchwyciła Misia. — Muie przynajmniej to słowo jest koniecznie potrzebnem. Zróbmy nietrafne porównanie — książka być może chlebem, słowo żywe wodą. lub przeciwnie, ale obojga życie wymaga?

Zatem — mówiła. nie dając sobie przerywać — zatem potrzebuję pana. abym nie zamarła tu na wsi, i będę się spodziewała, że nas odwiedzisz. Wstała potem i zakończyła:

— Ani słowa więcej — wiem, że mi nie odnowisz.

Horpiński się skłonił. Zawierska, która nie mniej uznawała zasługę wielką jego. zapewniała o wdzięczności. lecz zbyt nagłą nie była, w zapraszaniu do Zaborowa. Trwoga o to, aby się zbyt

do Michaliny nie zbliżył. przekonanie, że pomiędzy nią a Horpińskim było już coś więcej niż przyjaźń, nie dawały jej spoczynku.

— Jedyńm ratunkiem—mówił i w duchu —rozdzielić ich nadlugo, a Misi znaleźć kogoś, cohy się jej potrafił podobać i—był partyą przyzwoitą. Michalina jest nim zajęta nie mogę mu zarzucić tego, aby się o to starał, okazuje się zimnym, trzyma w pewnem oddaleniu—ale—koś ją się zapamięta!

Po tym wieczorze pamiętnym dla Horpińskiego, który się długo przeciągnął, pożegnał on obie panie, a nazajutrz rano był już na drodze do Makolągwy, aby raz jeszcze Wojtka nściskać, dać mu instrukcye i pożegnać.

A potem? potem miało się stać, czego Sylwan nie chciał badać głębiej, ani przewidywać.

Rozstanie było obowiązkiem. Słabość wydawała się nikczemnym egoizmem.

Wojtek oczekiwał na przyjaciela.

Spostrzegł na jego twarzy głęboki, trawiący smutek i łatwo odgadł, co go sprowadziło.

Pocziwe jego serce, choć potakiwało Sylwanowi, gdy mówił o konieczności poświęcenia się, snuło potajemnie wcale inne plany przyszłości. Wojtek, nie zdradzając się z tem, miał niezmiennę postanowienie połączenia tej pary, która mu się zdawała dla siebie przeznaczoną i stworzoną.

Tymczasem Sylwan wręcz mu oświadczył, że—powrócić już tu nie myśli i jedzie przygotować matkę do opuszczenia Rusinowego Dworu, a wyniesienia się na Ukrainę.

— Dobrze, dobrze — rzekł Wojtek — tylko nie zbyt się śpiesz. Ja potrzebuję nie raz jeszcze się z tobą naradzić. Nagle tak zerwać z Zawierskimi—będzie miało znaczenie dziwne. Sam się zdradzisz. Proszę cię—powoli. Być bardzo może, iż ja się z tobą będę musiał widzieć. bo na-  
zbyt nie ufam sobie.

Horpiński ani przyrzekał ani odmawiał. ale się można było domyśleć. że niewzruszenie trwał przy swoim postanowieniu.

Gdy się pożegnali z panią, która niebardzo przyjaciela męża polubiła. Wojtek odprowadził go naprzód do ganku, potem wziął czapeczkę i poszedł z nim do wrót. Tu stali chwilę. Wierbięta chciał jeszcze kawałek groblą iść z przyjacielem pieszo, do mostku. U mostku już się byli pożegnali. gdy Wojtek, obejrzawszy się dokoła. zapragnął iść do lasu. Pora była piękna, a po drodze chciał spojrzeć na pola.

Rozstać się z Sylwanem było mu trudno, miał jakieś smutne przeczucie, że go tu później ściągnąć nie będzie łatwo. Horpiński milczał posępny.

— Mój Wojtku — rzekł w końcu — za to coś



uczynił dla mnie. jestem ci z duszy wdzięcznym, ale na tem nie dosyć. Nie wiem, co się ze mną stanie, oddaję ci w opiekę te panie. Musisz mnie zastąpić. Pamiętaj!

Uścisnęli się raz jeszcze, Sylwan siadł na bryczkę. podali sobie ręce, a Wojtek z głową spuszczoną powrócił do domu.

---

W Rusinowym Dworze, ilerazy tu przybywał Sylwan, z nim razem życie i ruch przychodziły. Parobcy poruszali się ochoczo: Tatiana odzyskiwała siły, biegła i krzyczała. Pynia się stroiła i wydawała rozkazy w imieniu starej, a stara nawet czuła się przy synu inną.

Naostatek psy podwórzowe zdawały się też rozochoczone przybyciem pana i ujadaly niespokojnie, podbiegając ku wrotom. Rozpoczynały się dni jakby świąteczne: gotowano więcej i misy były pełniejsze—nie żalowano nabiału ani słoniny—parobkom dostawało się więcej wódki; obrus, którym stół był nakryty, zmieniano częściej, a ziemię palono lepiej w piecach, aby Sylwan nie ziął.

On zwykle wesołości tu z sobą nie przynosił, przyjeżdżał smutny, lecz z czasem oswajał się z tym bytem i do jego nawyknień stosował.

Właśnie teraz, gdy Horpyna miała najmocniejsze postanowienie nakłaniać syna, aby już chłop-

stwa swojego się wyrzekł—zapadł z wiadomych przyczyn w Horpińskim wyrok na siebie wydany: wyniesienia się na Ukrainę i zerwania z tem społeczeństwem. w którem nigdy stanowiska wybitniejszego pozyskać nie mógł.

Sylwan jechał z tem do matki, która go czekała z przeciwnem właśnie zdaniem.

Lecz pierwszych parę dni upłynęło. a nie mówiono o niczem jaśniej: Horpyna napomykała tylko o tem. że Sylwan jest podobny twarzą i temperamentem do ojca, aby poszedł za jego rozkazami.

Nie odpowiadał na to syn, i dopiero w tydzień po przybyciu. dobrawszy chwilę. gdy nieznosny szpieg. podsluchująca Pynia, zasnęła zmęczona w alkierzu,—odezwał się do matki:

— No, a coby to było, gdybyśmy wszyscy. jak jesteśmy. powrócili na Ukrainę? Kawał ziemi tam nabyć teraz nie trudno. Tam-by wam. matko, lżej oddychać było, ja-bym ci gospodarzył stale. nieodrywając się do miasta, życie dla was znośniejszym-by się stało.

Słyszając to. Horpyna, chodząca po izbie—stała nagle.

— Co się tobie w głowie przewróciło! — zawołała.—Żartujesz chyba ze starej matki.

— Nie ważyłbym się — odparł Sylwan. — Nim powiedziałem to. długom rozmyślał i dumał: co

lepiej? Otóż, zdaje mi się, dla was, dla mnie, nie-  
ma spokoju jeno tam. My tu zawsze obcy; tam na  
nas nikt patrzeć nie będzie.

Chutor kupić znajdzie się za co.

Dziwne zmiany przechodziły po twarzy starej,  
gdy syna słuchała, uszom niedowierzając.

— Co tobie? Sylwan? Co tobie? — poczęła. —  
Kto ci tę myśl poddał? Jak to może być? Chcesz  
dla mnie sieroty uczynić coś, widząc, jak mi życie  
dźwigać ciężko; ale ja na tym świecie nie wiecz-  
na. — o mnie nie idzie, tylko o ciebie.

Ty chłopem już być nie potrafisz, a zaprzągl-  
szy się do tego pług, umrzesz w jarzmie, do któ-  
rego kark nienależany.

Myślisz, że ja na to pozwolę, abys ty się zarznął  
dla mnie!

O! nie, nie było tego i nie będzie — gołąbku  
mój! Jakaby ze mnie matka była, gdybym dziec-  
ku pozwoliła zmarnieć, aby mi cieplej było umie-  
rać! Ty mnie nie znasz!

Słyszałeś narzekającą często! Oo! tak — i tę-  
sknię i płaczę i w sobie jęku nie umiem strzymać;  
ale dlatego ja nie taka zła, jak myślisz. Co  
moja dola przy twojej!

Przyszła go pocałować w głowę. Sylwan po-  
czekał chwilę i mówił dalej:

— Mówicie, matuniu, że ja was nie znam: otóż  
ja powiedzieć muszę: wy też syna nie znacie.

Do ojców podobny. aleś moim też dzieckiem. Jegom prawie nie znał. a z tobą żył. Mnie też za Ukrainą tylko i kozacka krew się w moich żyłach odzywa.

Na co darmo sobie to farbować, co się nie da przerobić.—Ja im zawsze będę obcy. oni mnie. Nie wiedzą, kto jestem, ale czują. że nie ich. Ja chwilami nienawisć mam do nich. Kłamstwem i podstępem wcisnąć się—nie potrafię. Wolę żyć i umierać, jak prosty parobek. Będzie mi lepiej!

— Kłamiesz sobie i mnie!— przerwała Horpyna — jam stara, ludzi znam. nawskróś czasem przenikam duszę twoją. Nie chcę, abys marnie tak żył. Wyżyjesz miesiąc, dwa, choćby cztery, z nami; ale całe życie—nigdy! Odezwie się żal. będziesz nieszczęśliwy. Mnie na świecie zabraknie: co poczniesz wówczas?

Sylwan milczał.

— Z chłopką się nie ożenisz?—dodała.

— Bo ja się wcale żenić nie myślę z nikim— rzekł Sylwan. — Po co! Widziałas, że siwieję— stary jestem.

— Jaki ty stary?—rozśmiała się Horpyna.—Tobie troska włosy pobielila, a nie wiek. Gdyby ci lepiej było na świecie, wieku-byś nie czuł.

— A no, posłuchajcie mnie—przerwał Horpiński.—Chcę pojechać na Ukrainę, poszukam chłotu w wąwozie. przy strumieniu, z sadem. z pa-

sieką, z polem dobrem. Sprzedamy to dworzy-sko dolicha. wyniesiemy się wszyscy. zatrzemy ślady za sobą. Poczniemy życie nowe. Zobaczysz: ty odżyjesz, usta ci się zaśmieją. serce uderzy.

Stara gwałtownie głową wahać zaczęła i ręce łamać.

— Mylisz. że ja-by'm tam żyć mogła. zakrzyknęła. gdzie każdego ziela zapach młodość-by mi przypominał. gdzie każde drzewo-by gadało do mnie o tem. co było, a nie powróci? Tobie się zdaje. że mnie-by lżej było? a to-by znaczyło wstąpić do grobu i w mogile chcieć kaszę gotować i gospodarzyć!

Ja tu nic nie widzę—zapominam—z tem mi lepiej.

Zaczęła się przechadzać gwałtownie. a Horpiński, niechcąc nalegać na nią i obiecując sobie później podjąć przerwana rozmowę. w milczeniu powiedzia! jej dobranoc i poszedł do siebie.

Dziewczyna, zmordowana bieraniną całodzienną. spała. ale stara Tatiana słuchała podedrzwiami i—weszła zaraz do izby.

Wiemy, jak poufały stosunek wiązał te kobiety z sobą.

Tatiana wcale pani nie widziała w Horpynie. i obchodziła się z nią. jako ze słabszą. rozumiejąc.

że boleść odejmowała siły: nie szczędziła więc jej czasami i łajania i ostrych wyrazów.

Wszedłszy, stara założyła ręce na piersiach, stanęła naprzeciwko Horpyny i głowę kiwać poczęła, wpatrując się w nią. Była to milcząca wymówka jakaś.

— Co ty oczy wyrapiasz na mnie? — szorstko zawołała stara.

— A jak nie mam patrzeć i dziwować się i zżymać, kiedyś ty rozum straciła! — poczęła Tatiana. Wiele my na to lat czekali, aby Sylwan rozumu się dorobił. Pierwszy raz co przemówił, jak należy — patrzajcie! — ona słuchać nie chce. Powinnaś go w ręce i nogi całować za to!

Przecie-żeś, rozumniejszą będąc, sama tego żądała, aby on twoim synem był a nie jego? Teraz, kiedy on chce, jej to nie w smak. Ej baba! strzyżono, golono — aby naprzekór.

Gdym słuchała u proga, aż mnie złość brała.

Przeżegnaj-że się, pokłoń przed obrazem Matki Boskiej. Panu Bogu podziękuj, — a syna nie błażuć.

Horpyna słuchała, ponuro patrząc.

— Co ty wiesz! co ty rozumiesz? — odpowiedziała dumnie — tobie garuków pilnować, a nie rozumnie mnie uczyć!

— Co robić, kiedy ty go nie masz! — zawołała nieustraszona stara. — Ja ci pochlebiać nie będę,

choćbyś mnie złotem obsypała, bo mnie twoje dobro i jego szczęście droższe nad złoto. Nie durz się—nie psuj dziecka; wracajmy na naszą ziemię. Zapłaczesz, zobaczywszy ją, gdy cię woń stepu zaleci—no, to co? lżej na sercu potem będzie; a to mała rzecz: kości położyć przy swoich, na poświęconej ziemi? A to mała rzecz: wody się tamtej napić powietrzem tchnąć?

Przeżegnała się Tatiana i poczęła łagodniej, widząc ją smutną.

— Miej rozum, Horpyno, kiedy on, on, co przecie głupi nie jest. a widzi, że tak będzie lepiej. Pocałuj go, zabierajmy się na wozy i — do domu! do domu!

Tatiana klasnęła w ręce, brzydka, pomarszczona. mężka jej twarz pojasniała, rozpromieniała, coś poetycznego ją ozłociło.

— Do domu! Głupia! — przerwała Horpyna— jakby my-to dom miały? Chaty ojca dawno śladu niema, a i wieś się spaliła. Jaki dom? gdzie dom?—Ruszyła ramionami.

— Ukraina cała domem nam — odparła Tatiana—kąt się znajdzie. a tu co? Tu na ciebie patrzą ludzie, jak na wilka. ty na nich jak na inne plemię. Inna mowa, obyczaj, powietrze i woda. Tu umierać, nie żyć.

Zadumana Horpyna nie odpowiadała: spuściła głowę i myślami musiała być gdzieś daleko. Ta-



tiana tymczasem, którą nogi od stania bolały. na ławie siadła. niechcąc porzucić nieprzekonanej.

— Co sumujesz darmo! — ozwała się — gdybyś rozum miała, tylko synowi dziękować! Ten rozum ma!

Długo my czekali na niego; ale, gdy przemówił. jest czego posłuchać.

— Tak—wtrąciła, w pół do siebie mówiąc, gospodyni— on ma rozum. ale ty głupia, bo nie widzisz nic.

On chce zrobić to dla mnie, a sam się tem zgubi.... Parobkiem jemu być!

Ramionami wzgardliwie ruszyła.

— Myślisz, że potrafi choćby chciał? myślisz, że jemu nasi ręce podadzą jak swemu. kiedy w nim obcego czuć? On nigdy naszym nie będzie. Skóry nie zwlec, krwi nie wytoczyć — siebie nie przerobić.

Odezwie się w nim wrogi duch. a nasi go poczują jak—nieczystą duszę znachory. Byle mnie nie stało—zajadać go będą.

I ja mam wydać dziecko na takie męki, aby może miesięcy kilka stepem oddychać.

Ty się przeżegnaj, Tatiano! bo nie wiesz. co pleciesz!

Na ławie siedząca, namarszczona. z uwagą słuchała, głową pokręcając. Przekonana, czy nie. była nastraszona nieco. Nie przyznała się do te-

go i milcząc pociągnęła napowrót do swych garnków. do których wrzucić coś poczęła. jakby ją one słyszeć i rozumieć mogły.

Stara matka. choć myśl synowską odepchnęła stanowczo. tak się czuła przez nią poruszona, iż o śnie zapomniała. Dopiero nierychło. zobaczywszy Pynię nierozebrałą. na ławce niewygodnie zwinętą i uspioną głęboko. ulitowała się. naprzód nad nią. potem nad sobą. Zaprowadziła ją do łóżka i sama legła. ale. na łokciu się oparłszy. siedziała niemal dorana.

Nazajutrz Sylwan. który z norem chciał przeprowadzić myśl swą do skutku —poobiedzie szepnął odniechcenia. że za Rusinowy Dwór dobre dają pieniądze.

Horpyna spojrzała na niego i rzekła krótko:

— Nie durz się: mnie tu umierać Bóg przeznaczył!

— Nie — ale żyć na Ukrainie.

Rozśmiała się dziko.

— Zapóźno! zapóźno!

— Ja lepiej wiem. co nam i co tobie potrzeba —ciągnął dalej Sylwan—zdajcie to na mnie. Sprzedamy naprzód Rusinowy Dwór. potem ja pójdę szukać chutorn dla nas. Siądziemy na wozy i pociągniemy. zkądśmy wywędrowali.

A ty? będziesz się oglądał za tem. co za so-

ba zostawił—przerwała matka—i będą ci się śni-  
li ci ludzie. co ci długo braćmi byli.

Na Ukrainie w tobie Ukraińca nikt nie pozna.  
a im ci się więcej będzie chciało nim okazać, tem  
ty mniej nim dla nich być potrafisz! Ojciec wie-  
dział co robił. Mnie zgubił, ale ciebie szczęśli-  
wym chciał mieć. Będzie. co Bog naznaczył.

— Alboż to ja bez Boga poczynam!—rzekł Syl-  
wan.—Myślałem długo. a teraz—wy mnie posłu-  
chajcie. Ja wam do nóg upadnę—pojedziemy! po-  
jedziemy!

Horpyna tylko głową potrząsała.

— Tyś uparty. ale i ja nie miękka — rzekła—  
nie chcę i słuchać o tem. Nie durz się nadare-  
mnie.

Tatiana. nlnbiona Pynia, naostatek i parobcy,  
bo oni także mieli tu wolne słowo. próżno się sta-  
rali zmienić przekonanie starej: trwała przy swo-  
jem. a tłómaczyła się tem. że Sylwan-by był nie-  
szczęśliwym.

Napróżno się jej zaklinał. że to czynił dla sie-  
bie. że mu tu życie obmierzło: nie wierzyła.

Spodziewając się. że przełamie ten jej opór.  
Horpiński istotnie się zajął sprzedażą Rnsinowe-  
go Dworu—ale nie mówił o tem. Jeden z sąsia-  
dów dobrze zagospodarowany kawał ten ziemi i  
lasu nabywał chętnie. chciał zapłacić dosyć dro-  
go. Umowa stanęła warunkowa. Sylwan. nie mó-

więc matce nic, pożegnał ją na krótki czas i pojechał—na Ukrainę, do czego się nikomu nie przyznał. Ponieważ zwykł był tu i zjawiać się i zniknąć bez opowiedzenia, nikt go więc o cel podróży nie pytał.

Po wyjeździe Tatiana nie przestała męczyć swej pani i każdego wieczora się z nią o Ukrainę upierać.

Jesień nadchodziła późna. Coraz mniej było roboty w polu, wieczory dłuższe: więc obaj parobcy zasiadali w izbie czeladnej z Tatianą, a niekiedy przechodzili do gospodyni naprzeciwno.

Wszyscy oni wzdychali za Ukrainą, starając się i w niej rozbudzić po niej tęsknotę. Domyślali się, że Sylwan musiał pojechać szukać chłutoru, bo z pewnych oznak wnioskowali, iż Rusinowy dwór był tak, jak sprzedany.

Blisko dwóch miesięcy nie wracał Horpiński, aż jednej nocy się zjawił, chłopaka Ukraińca mając przy sobie. Parobcy, gdy spojrzeli na niego, oczy się im zaśmiały; a Hawryszce też do nich.

Matka rozplakała się i tym razem—popatrzyła długo, jakby wyczytać chciała z twarzy, gdzie bywał i co wiozł z sobą. Sylwan tego wieczora nic nie rozmawiał, ale Pynia oznajmiła o Hawryszce!

Uparty Sylwan więc jeździł aż tam! Matka i rozgniewała się i, sama niewiedząc z czego, ura-

dowała zarazem. Pytać go sama nie mogła; on pół dnia milczał.

— Na Ukrainie byłem—odezwał się pod wieczór. na ławce usiadłszy.—Za to, co tu Rusinowy Dwór na piaszczystej ziemi kosztował. my tam dwa razy tyle ziemi czarnej i tłustej mieć będziemy, takiej. że tam cztery woly skiby nie odwróca. Prawda, że lasu niema, jak tu, ale sad około cha-ty, zarosła w wąwozie, chrustu dosyć.

Horpyna stała, na syna patrząc.

— Aleś nie kupił?—zawołała gorączkowo.

— Jak pozwolicie — w kilka dni wszystko się skończy—rzekł Horpiński— a myślę, że ja ubłagam was. matniui. Mnie i wam tam lepiej będzie.

— Nie — zimno odparła matka—ja wiem, że mnie tu naznaczono umierać.

— Nikt nie wie, gdzie go koniec czeka—szepnął Sylwan.

— A ja wiem—rzekła matka.

Gdy się to działo w świetlicy. tymczasem gadaliwe a roztropne chłopię, Hawryszko, na Ukrainę w usługi wzięty, mówił w izbie czeladnej co-tylko wiedział. opowiadał o chutorze, który Sylwan oglądał, o dworku jego, o pasiece, o strumyku, o młynku, o polach. Tatiana się zasluchiwała, łzy jej z oczu płynęły—głową potrząsała.

— Gdyby ona rozum miała!—szeptała sama do

siebie—ale n niej wszystko uaprzekór. Gdy szczęście przychodzi. odwraca się od niego, a za biedą gonić gotowa.

Pynia teraz więcej siedziała w izbie czeladnej. Hawryszko dla niej był wspomnieniem opuszczonej ziemi. po której tęsknota się obudziła.

Nie nalegał Sylwan. chcąc dzieła dokonanie zostawić czasowi; nie wątpił. iż do wiosny zwolna Horpyna da się przekonać i uprosić. Pocichu wszystko przysposabiano nieznacznie do wielkiej podróży.

Stara, wiedziała to. czy nie. lecz nie okazywała po sobie. żeby rozumiała. co ją czeka. Jej skrzyżnie stały nietknięte, ona nie sposobila się do wyjazdu.

Horpiński. raz tylko wciągu zimy tej udał się do Warszawy. aby sprzęty swe. książki. rzeczy. wszystko co miał. tam sprzedać i zerwać zupełnie z życiem miejskiem.

Obudziło to. naturalnie, ciekawość, bo tajemnicą być nie mogło. Emil Paczuski starał się z tego jakiś wniosek wyciągnąć, czegoś się domyslić. biegał. uastრęczał się do kupna różnych przedmiotów. lecz języka nie dostał.

Utrzymywano powszechnie. iż Horpiński nabyć gdzieś musiał dobra. do których się miał przeuiścić. Zapytywany. nie zaprzeczał. lecz objaśnień

nie dawał żadnych. Zbywał ciekawych dwuznacznikami.

Parę razy zetknąwszy się z Paczuskim, bardzo grzecznie, lecz z pewnym przekąsem dał mu nczuć, iż się zapewne radować musi z tego, że on z placu następuje.

— Cóż pan chcesz — mówił z góry, patrząc na Emila — czulem się niegodnym takiego towarzysztwa; byłem tu intruzem, dawałście mi to czuć. Wynoszę się — *Vicisti Galilae!*

Zmieszany Paczuski tłómaczył się, bełkocząc: nśmiech obojętny Sylwana, był mu wcale nieprzyjemnym.

Oprócz tego wciągu kilkodniowego pobytu, ile razy Emil mu się nastreczył, nielitościwie dopytywał go Sylwan, to o pannę Maninsię, to o panią Bończynę, wiedząc, że obie odpaliły biednego chłopca.

Starał się teraz, jak mówiono, o córkę bogatego bankiera, a matka była małżeństwu przeciwną; lecz z nią pieszczony synek wiedział, że zrobi co zapragnie — i wyprosi zezwolenie na wszystko.

Z zasobów, jakie miał w Warszawie, szczególnie z dosyć obfitej biblioteki, Sylwan nic nie chciał sobie zostawić, postanowiwszy zdziścić i z rozpaczliwą ironią jakąś przewidując zawczasu, co

się z nim stanie, gdy do tego—tak zwanego stanu natury powróci.

Miał na sobie zrobić jedno z najboleśniejszych doświadczeń, jakie wymarzyć można.

To rozstanie się ze światem, w którym żył długie lata — pomimo rezygnacyi, z jaką chciał je spełniać — kosztowało wiele. Niekiedy nawet przychodziły mu wątpliwości, czy ono było możliwem. Według teoryi jego należało pracą fizyczną nieustanną, nużącą—wyczerpać się, nie dopuścić myśli wcisnąć się, rozpostrzeć, zawładnąć znowu; stać się musiał machiną. Postanowił ciągle się obracać wśród tego ludu, do którego wyobrażeń i obyczaju chciał powrócić—zerwać tak stosunki z innemi kołami, aby o ich bycie zapomnieć. Przypomniał sobie naostatek słowa jakiegoś współczesnego filozofa, niedawno czytane — że ludzkość ze stanu dzikości powoli i z trudem dawała się wyciągnąć, ale krótkiego czasu potrzeba było, aby ją napowrót zezwierzęcić i strącić z wyżyny wiekami zdobywanej.

Tak być musiało i z człowiekiem pojedyńczym. Dostaje się osamotnić człowieka, odebrać mu z ogólnem życiem ludzkości związek, aby go zabić na umyśle i zniesławić.

Sylwan spodziewał się, że, przetrwawszy pierwsze przesilenie bolesne, prędko później upadnie na dnchu, zapomni przeszłości i potrafi się czy-



sto zwierzęcem, lub lepiej, wegetacyjnem życiem zaspokoić.

Sofizmatami się karmił. aby rzecz tę uczynić sobie łatwą—i samego siebie oszukać.

Z temi myślami wrócił już jako wygnaniec zupełny, jako człowiek nowy, do matki.

Tu zastał, czego się nie spodziewał. Horpyna, która pod wpływem wychowanki złagodniała była znacznie i oderwała się od dawnych wspomnień bolesnych, teraz, ze zmianą położenia, którą syn zapowiedział, zamiast się uczuć uspokojoną i szczęśliwą—była podrażniona do najwyższego stopnia.

Powróciły dawne gniewy i płacze. Tatiana nieznacznem nawracaniem, sprzeczkami, wymówkami, doprowadziła ją do tego stanu. Woli syna, choć go kochała, nie chciała się poddać, może dlatego, że długo była nawykła, iż jej ulegano, może, iż w tem dla Sylwana szczęścia nie przewidywała.

Czasami fantazya jej dawała widzieć to dziecko jedyne—parobkiem, dzieckiem ludu, jej własnem, lecz pewna duma wskazywała, że przecież mógł on wyżej się spiąć, czegoś więcej dostąpić.

— To, co dla mnie szczęściem było—mówiła—jemu nie starczy... on już innego pokosztował.

Powracając, Sylwan zastał ją doniepoznaną wzburzoną.

Wpadła na niego z wymówkami, że bez jej wiedzy chciał z nią czynić samowolnie, co sam wydumał.

— Rusinowy Dwór... mój; ja go nie chcę sprzedawać—zawołała gwałtownie. Na Ukrainę myślisz mnie wieść!? aby mnie tam palcami wytykali?... Powiadasz, że chutor kupisz w okolicy, która nas nie zna?...

Albo się to ludzie nie domyślą, co ja za jedna? Ktoś ty taki... albo z wiatrem nie przyleci wieść o nas? Ludzie się dowiedzą — tu mnie nikt nie zna—tu ja śmiało w oczy każdemu patrzę, a tam oni wyśmiewać się będą.

Horpiński nie sprzeczał się, milczał, rachował na czas: Tatiana zaś i nawet Pynia, które bardzo pragnęły przesiedlenia i podróży, nastając na starą — tylko ją do najwyższego zniescierpliwienia doprowadzały.

Nawet miłość jej dla wychowanki znacznie na tem ucierpiała. Życie w dworku stawało się nieznośnem, Sylwan w pole musiał uciekać—czekał. Tymczasem dni uchodzące powoli, żadnej nie sprowadzały zmiany.

Wprawdzie Horpiński wszystkie umowy porobił warunkowemi, bo przewidywał opór matki i zwłokę — lecz nie spodziewał się tak żelaznej woli, tak stanowczego sprzeciwienia się.

Nie potrafił ani słowem o ten drażliwy przed-

miot, gdy do matki przychodził; ale ona go sama natychmiast zagadywała — ciągle w to bijąc, że się nie myśli wynosić i nie chce.

Cały jej dwór w rozpacz to wprawiało. Tatiana chodziła wściekła, i usta się jej nie zamykały. parobcy siedzieli ponurzy i milczący; Pynia, to płakała. to stojąc w kącie, oczyma ognistemi pełnemi wymówek, ścigała starą.

Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. przeciągał się ten stan niepewności. Horpyna wiedziała dobrze o przygotowaniach do podróży, domyślała się, iż rachowano na to, że ją uproszą i nawrócą — ale tem mocniej okazywała, iż złać się nie da...

Rozporządzała więc robotami. tak jakby tu wszyscy pozostać mieli, zmuszała już pochowane sprzęty i rzeczy dobywać — nie chciała słuchać nawet Tatiany.

Co wieczór Sylwan musiał wysłuchiwać zawsze tychsamych wymówek — i dowodzeń — które się płaczem kończyły — a on na nie milczeniem tylko mógł odpowiadać.

W ostatku, jednego dnia. wśród długiego sporu z Tatianą. który na cały dwór słyhać było, bo obie gwałtownie głos podnosiły — Horpyna padła, rażona krwi uderzeniem.

Dano zuać synowi. który przyleciał, przeniósł matkę nawpół sparaliżowaną na łóżko i w tejsze

chwili wysłał po doktora do Garwolina — zapowiedziawszy Harasymowi, aby konia nie szcęg-dził i na złamanie karku śpieszył z powrotem.

Tymczasem on sam i Tatiana zrozpaczona, czynili, co mogli, aby czucie przywrócić. życie obudzić i utrzymać je do przybycia lekarza.

Horpyna żyła. lecz postradała mowę—pół ciała nie miało władzy ruchu. Stan był zagrażający. Harasym z lekarzem nie wrócił, aż w godzin kilka.

Mały. tłusciuchny, powolny konsyliarz Dobiński, który tu po raz pierwszy się znajdował—po kilku słowach objaśnienia — poszedł do łóża chorej i—starym zwyczajem. krew puścił. Potrząsał głową obojętnie.

Horpiński, obawiając się, aby go niepozorny dworek, chłopskie jego urządzenie nie zubożyło—zgóry zaraz zaofiarował honorarium, prosząc. ażeby przy chorej pozostał, dopóki-by niebezpieczeństwo nie minęło.

Doktor popatrzył obojętnie na pieniądze, schował je do kieszeni z równą krwią zimną i rzekł chłodno:

— I bez tego-bym nie opuścił chorej.

Pozostał więc w pierwszej izbie, rozpatrując się. dziwując —a z największą ciekawością przyglądając Sylwanowi, którego mowa zdradzała wykształconego człowieka, a strój czynił go

prostym parobkiem. Zagadki tej doktor nie umiejąc rozwiązać, rzucił kilka pytań — i dwuznacznemi odpowiedziami się zaspokoił.

Noc przeszła bez pogorszenia, tak, że zrana lekarz mógł odjechać — czyniąc nadzieję, iż życie ocalić będzie można.

Tylko — rzekł w progu do Sylwana — jeżeli ją zniecierpliwia, a drngi raz przypadnie co podobnego, już po mnie nie ma co posyłać.

Tatiana teraz z Pynią we łzach siedziały na ziemi przy łóżku i zawodziły pocichu. Oczy Horpyny szukały tylko syna.

---

Wziąwszy na siebie obowiązki opiekuna nad Zawierskimi, Wojtek Wierzbęta i przez przyjaźń, jaką miał dla Sylwana i oceniwszy pannę Michalinę, gdy ją bliżej poznał—zajął się gorliwie ich spełnieniem.

Terenia kochana się na to krzywiła, bo, czując wyższość nad sobą panny Zawierskiej—była zazdrosną i nie cierpiała jej. Żał miała wielki do Sylwana, iż mężowi jej to nieznośne brzemię narzucił.

Wierzbęcie więc opieka ta była niemalym ciężarem, zamąciła mu do pewnego stopnia jego życie domowe, popsuka humor Tereni.

Napróżno starał się żonę nspakować: nie mogła mu darować tej niewierności,—jak ją zwała. Należała bowiem do tych ślicznych osóbek, które potrzebują i wymagają, aby im zawsze na kolanach służono—i tylko im jednym.

Wojtek się niezręcznie wygadał ze swem uwielbieniem dla panny Michaliny: tego było do-

syć, aby ją Terenia znienawidziła. Znajdowała ją zarozumiałą, dumną, egoistką, arystokratką, nieznosną pedantką, i t. p. Ile razy Wierzbienie wypadło jechać do Zaborowa, robiła mu sceny nie dawała się przebłagać, dąsała, gniewała. Wojtek z anielską powolnością znosił wszystko—boć—były to dowody przywiązania.

Starał się, oile możności, unikać zadrażnienia żony i nie bardzo często wybierał się do tych pań—ale one same, będąc osamotnionemi, nie mając nikogo, tylko jego jednego, ciągle się z czemś uciekały do niego.

Pani Zawierska nie lubiła pisać, zastępowała ją córka. Listy te do najwyższego stopnia oburzały Terenię, bo były słicznie pisane, a choć ich treść nic nie zawierała, za coby się gniewać mogła, npatrywała w ich stylu, w starannej formie, rodzaj podstępnej, niegodziwej kokieterii.

Wojtek śmiał się, całując żonę, która mu temi listami w twarz ciskała. Spodziewał się, że żona powoli nawyknie do tego stosunku i uspokoi się.

Ile razy jechał do Zaborowa, dla lepszego zabezpieczenia się, żonę zawsze ofiarował się brać z sobą—na co ona rzadko się godziła. Gdy razem jechali, wyrzynała mu po tem, że ona mniśiała zawsze bawić starą Zawierską, a on—ciągle tylko szeptał coś z Michaliną.

— Moja najdroższa—mówił. bijąc się w piersi Wojtek—mogę ci poprzysiądz, jak ciebie kocham. jak kocham Emilkę... że o niczem z nią nigdy nie mówimy, tylko o Sylwaniu!

Przecież masz oczy i nie podobna, abys nie widziała i nie czuła. że ona się w nim kocha—on w niej... nasza rozmowa regularnie się od niego zaczyna i na nim kończy.

Muszę jej opowiadać nasze stare dzieje—chce wiedzieć wszystko.

— No—to niechże go sobie weźmie tego idealnego. nieznosnego swego Sylwana. którego ja cierpieć nie mogę—i niech nam raz dadzą pokój!

Zczasem, chociaż pani Terenia, przekonawszy się o prawdziwości słów męża, znacznie mniej stała się drażliwą — nie mogła jednak pogodzić się ani z Zawierskimi, ani ze wspomnieniem Sylwana, który narzucił tę opiekę mężowi.

Wojtek, na prawdę, choć mu żona głowę trapiła wymówkami—nie gniewał się za to. że przypadek go zbliżył do Michaliny. którą coraz wyżej cenić się uczył. W towarzystwie jej znajdował wiele przyjemności i sądził zawsze, że przyjacielowi usłużyć potrafi.

Rozmowy w Zaborowie w istocie niezmiennie zawsze prawie toczyły się tylko o Sylwanię. Z żywym zajęciem nie kryła się panna; Woj-



tek rozpowiadał chętnie to wszystko, co go w jej oczach podnosić mogło.

W początkach, mówiąc o Horpińskim, o jego położeniu. Wierzbęta się ograniczał ogólnikami; powoli jednak, gdy spostrzegł, że panna wiedziała lub odgadywała więcej, niż sądził—przyszło do poufnych zwierzeń.

Wojtek nie ukrywał przed nią, iż—dziwak ten dla matki chciał się wyrzec świata, do którego był stworzony i w którym młodość spędził. Miał nadzieję zapobiedz temu, ale rachował też na pomoc panny Michaliny.

— Pani masz nad nim wielką władzę — mówił w końcu—potrzeba jej użyć na to, aby go od niedorzecznego rozpaczliwego odwieść kroku.

— Ale jakże się to da dokonać? — pytała Michalina.—Pan się mylisz, przyznając mi jakąś siłę: p. Sylwan jest w postanowieniach energiczny i wpłynąć na niego trudno.

— Wprost i otwarcie chcieć to czynić—odparł Wojtek — byłoby niezręcznem, i — bezskutecznem, ale sądzę, że są poboczne środki... Nie trzeba mu się tam dać zasiedzieć, należy go tu przyciągnąć, zmusić do niezrywania z nami.

— W jaki sposób?—pytała Michalina.

— Niech go pani wezwie do narady w interesach—mówił Wierzbęta—niech mu pani zresztą napisze, iż ja go zdradziłem, — wyznając, iż się

choćby przyczynił do uratowania Zaborowa. Masz pani więc prawo żądać, aby przybył z powodu tych pieniężnych interesów.

— Ja sama pisać do niego nie mogę—odpowiedziała Michalina otwarcie.—Wyznam pani szczerze—mama się obawiała, widząc moję przyjaźń dla niego, aby się bliższy między nami nie związał stosunek. Wymogła na mnie słowo, iż—nie wdam się pod żadnym pozorem w korespondencyą.

Będziesz więc chyba łaskaw w mojem imieniu, mojemu słowy mn napisać, że go wzywam i proszę.—że się go spodziewam.

— Z chęcią to uczynię — rzekł Wojtek, ale, choćbym co do słowa powtórzył to, co mi pani poleci, wrażenie mojego listu nigdy nie będzie równe temu, jakiby jej własny uczynił. Naprzód—bez pochlebstwa, ja tak, jak pani, napisać nie potrafię; powtóre, sama pani przyzna—mysmy z sobą przyjaciółmi: on ze mną wcale się nie będzie żenować.

Michalina nie odpowiedziała nic i zadumana chodziła chwilę.

— Sprobnj pan naprzód — rzekła — a potem w ostateczności—ja z mamą pomówię; zobaczymy. Mam obowiązek ratowania człowieka, który nas ocalił!

Michalina wiedziała już, dobywszy, co chciała,

z Wojtka, że dla nich się całkiem poświęcił z mieniem swem Sylwan. Uspakajało ją to jedynie, że summa została zabezpieczoną, a ona teraz czuwała nad tem, aby choć powolnie długi się spłacały.

Co myślała więcej? Bóg wie jeden—tymczasem, o tem mówiła tylko.

Horpiński, choć dał swój adres przyjacielowi, zakławszy aby nikomu go nie udzielał: choć listy od Wojtka odbierał — odpisywał na nie krótko, a czasem nawet milczeniem je zbywał.— Pisanie sprawiało mu ulgę, robiło przyjemność; ale stanowiło ono właśnie węzeł wiążący go ze światem, z którym zerwać postanowił—wstrzymał się więc od niego z wyrachowaniem, z przekonania... Powiedział sobie, że powinien był—pisać zapomnieć, tak jak teraz nic już nie czytywał.

Nie mógł jednak wyrzec się taksamo przyjemności czytania listów—Wierzbięty, który umyślnie rozpisывał się obszernie, mówił mu wiele o panie Michalinie, opisywał swe odwiedziny w Zaborowie, powtarzał każdą rozmowę. A że miał na celu utrzymanie Horpińskiego w stosunku z panną Michaliną,—że myślał o tem tylko: listy były gorące i nawet dosyć zręcznie układane, aby Sylwana poruszały i nie dały mu nic zapomnieć.

Gdy jeden z tych listów z poczty przybywał

Sylwan z początku rzucał go w swej izbie na stół zrodzajem niecierpliwości—nie chciał czytać. Po-tem ciekawość, niepokój zmuszały rozerwać pie-czątkę, przebiedz oczyma — i rzucał list znowu; nareszcie odczytywał od deski do deski, a rozmow-y z Misią często po kilka razy.

Następowała potem walka o odpowiedź. Sylwan mówił sobie, że nie powinien być, ani obowiązany, odpisywać. Lecz w liście zawsze się coś znalazło, co potrzebował odeprzeć: zaczynał więc od słów kilku, a raz wzięwszy pióro, wstrzymać się już nie nmiął. Gorycz w sercu nagromadzona spływała na papier, smutek się wylewał z duszy. Napisał zawsze więcej niż życzył, niż postanowił, gniewał się na siebie—lecz list odchodził na pocztę.

Tak ta korréspondencya z Wojtkiem, teraz jeszcze jedna go z przeszłością łączyła. Wiedział, że jej powinien był zaniechać, a odkładał to cią-gle do jutra ..

W myśli miał razem z opuszczeniem Rusinowego Dworu nie dać już nowego adresu i zginąć tak dla wszystkich. Opór Horpyny, potem choroba jej—ostateczność tę odwlokły.

Wierzbietą, na którego panna Michalina nale-gała, pisał coraz częściej. Gdy Terenia nie puszczala męża do Zaborowa i przeszkadzała wy-cieczkom, panna Michalina w końcu zebrała się

na odwagę pisania do Wierzbiety z otwartością zupełną.

A że Terenia listy te czytywała, i trochę treści ich była uspokojona—nie zabraniała więc mężowi odpowiadać.

Wojtek pierwsze z tych listów panny Michaliny zachował u siebie, wypisując tylko z nich co znajdował właściwem i później wszedł na pomysł szczęśliwy odsyłania wprost oryginałów Sylwanowi.

Zdawało mu się, że może—może panna Michalina sama sobie tego życzyła, chociaż przyznać się do tego nie chciała... Listy Misi—na Sylwana nie zrobiły w istocie wrażenie silne bardzo, zachwiały nim, jego postanowieniem, poruszyły i zmusiły do odpowiedzi wyczerpujących. Prosił w nich wprawdzie, aby jego listów nie pokazywał Wierzbietą pannie Michalinie, ale Wojtek się już puścił na zdrajcę i posyłał je lub nosił do Zabrowa.

W ten sposób zawiązała się korespondencya, nie wprost wprawdzie, ale nie mniej żywa i otwarta. Może nawet pośrednictwo to czyniło ją swobodniejszą, bo z obu stron często godziło się więcej powiedzieć pośrednikowi, niżby wprost sobie napisać było można.

Spokój ducha i rezygnacya, na której uzyskanie pracował tak usilnie Sylwan, nietylko zachwia-

ne, ale zburzone zostały. Chora matka mogła nawet dostrzedz zmianę w synu—a ludzie odgadli, że listy, które dochodziły z poczty, zawsze pana wprowadzały w stan jakiś gorączkowy.

Horpiński dałby był wiele, ażeby mógł matkę uzdrowić i wywieźć ztąd.

Choroba uparta ani o tem myśleć pozwalała przed wiosną. Doktor powiedział, że o podróży ani marzyć się godziło, pókiby siły nie wróciły, a zwolna zmniejszające się skutki pierwotnego ataku nie znikły zupełnie. Kazał się tego spodziewać, razem uprzedzając, że unikać trzeba wszystkiego, coby chorą mogło poruszyć do zbytku.

Zatem i o wyniesieniu się na Ukrainę mowy być nie mogło...

Zima upłynęła w tych męczarniach dnica dla biednego Sylwana.

Walczył on, nie zmieniając myśli, nie chcąc się poddać; lecz stan ten go wyczerpywał. I matka i Tatiana i nawet Pynia, wpatrując się w niego, widziały jak bladł, chudnął, żółkł, jak się wypalał tym ogniem wewnętrznym, który w sobie nosił.

Doktor,—którego wcale się radzić nie wysłał, sam go zaczepiał o to: czy nie cierpi. Sylwan odpowiadał szorstko, że jest zdrow zupełnie.

Horpyna powoli wracała do dawnego stanu i ruchy jednej połowy ciała. zatamowane. zjawiały się znowu: nadzieja więc. wstępowała w Sylwana, że cieplejsza pora zdrowie zupełnie przyniesie matce. I ona sama w to wierzyła; ale przed Tatianą mruczała czasami.

— A na co komu. to moje życie! Dla niego ja zawadą — kłoda do szyi uwiązana. Ruszyć się nie może. jak chce.. Pocięchy ze mnie nie ma: ja mu utrapieniem i zgryzotą.

Sylwan był dla niej zawsze najczulszym. lecz i okazywania tej czułości doktor wzbronił. aby starej nie poruszać do łez, teraz łatwiejszych jeszcze i wytryskujących za lada słowem.

Nigdy jej o płacz trudno nie było. Od czasu choroby łzy zdawały się pogotowiu być w oczach — tak. że najmniejsze wzruszenie je dobywało. a utulić je potem było trudno.

Nadchodziła wiosna—lecz opieszale. i była niestała. Ukraińcy. którzy już sądzili, że ona ich znajdzie na owym chutorze marzonym—myśleli, straciwszy nadzieję. wziąć się niezbędnie do roboty w polu. Horpyna wychodziła do okna. jakby wyczekując też zieloności i słońca. Lecz Kwiecień się kończył, a owa wiosna, co się zawczasu zapowiadała. zwiodła drzewa. które puszczać zaczęły. — okryła się znowu śniegiem, i gdy ten powoli spełznął. nanowo musiała rozpoczynać

zmarnowaną robotę. Drzewa na nowe siliły się pączki—nieśmiało.

Sylwan czuł się bardzo nieszczęśliwym — stojąc na rozstajach ciągle i nie mogąc rozpocząć tego nowego życia, do którego miał się zmusić. ani chcąc wrócić do tego, z którym wziął rozbrat. Nie mu nie smakowało; niecierpliwił się, zżymał; przybity, chodził, niesłyszając często co do niego mówiono, nie odpowiadając na zapytania. Parobkom rzucał słowa niecierpliwe. Tatiana nie śmiała się zbliżyć do niego: Pyni nie dał nawet dobrego słowa.

U łóża matki siadywał podparty na rękę i jakby skamieniały.

Stara przypisywała to oderwaniu się od zwyczajnego życia, od świata—i wyrzucała to sobie. rada go była wygnąć z domu; lecz on ani mówić sobie o tem nie dawał.

Jednego dnia wiosny, już cieplejszej nareszcie, Horpyna, oparta na rękę dziewczęcia, wyszła w podwórze, odetchnąć świeżem powietrzem — i pogrzać się na słońcu. lecz zaledwie chwilę powstała na progu, zbladła, część twarzy jej drżeć zaczęła... Dała znak dziewczęciu, aby ją wprowadziło napowrót do dworu. Nogi się pod nią chwiały. Nadbiegła Tatiana i tak osłabłą, ledwie dociągnęła powoli do łóżka. Jedno spojrzenie przekonało



Tatianę, iż choroba w części powróciła nanowo. Stara mówić nie mogła; belkotała niewyraźnie.

Pynia pobiegła do Sylwana, do stajen i Harasym gnał znowu do miasteczka. Tym razem doktor,—choć najchętniej życzył swojej pacjentce—nie zdawał się spieszyć do niej.

Zapytał Harasyma: jak tam było, pokiwał głową i zamruczał. Ukraińiec nie umiał sobie wytłumaczyć: czy lekceważył chorobę, czy nważał ją za nienleczoną.

Taką ona była wistocie. Stara nie odzyskała już mowy; obracała błędnemi oczyma: zpod powiek łzy jej ciekły; jedną ręką poruszała konwulsyjnie, dawać się starała znaki różne—ale tych nie rozumiano. Pynia, Sylwan i. o ile mogła, Tatiana, nie opuszczali łóża.

Dni kilka przeciągnęła się ta męczarnia. Naostattek, jakby snem spokojnym, nleciało życie w jakimś marzeniu—może o przeszłości.

Gdy Sylwan zamknął jej oczy, a zwłoki białym całunem okryto — znalazł się biedny sierota tak sam jeden na świecie, w życiu, tak zniechęcony do niego, że niemal pozazdrościł matce spokoju grobowego.

Co miał czynić teraz? nie wiedział. Nic go nie kępowało, ale też nic nie zmuszało do pośpiechu.

Zająć się najpierw musiał smutnym obrzędem pogrzebowym — a gdy się ten odbył, nie według

jego życzenia. ale według miejscowych okoliczności; gdy wszyscy powrócili do Rusinowego Dworu, a poczuli tę próżnię. jaka po umarłej pozostała: nie umieli się obracać — na każdym kroku rozbijali się o ten cień niewidomy. który wszędzie stał przed nimi.

Cisza zaległa dom; nikt nie śmiał. ani rozkazywać, ani sam coś rozpocząć; czekali wszyscy. Sylwan siedział, zamknięty, w swej izbie. Tatiana z Pynią, nieśmiało głosu podnieść, szeptały cicho. jakby jeszcze zmarłej spokój szanowały.

Dopiero dnia następnego Harasym się odważył przyjść na próg do izby Sylwana i prosić go o rozkazy.

— Mój stary — rzekł mu Horpiński — niech wszystko idzie obyczajem dawnym, do czasu. Gospodarzcie. jakście nawykli. dopóki ja czegoś nie postanowię. Dajcie mi przeboleć.

Tatiana więc objęła rządy domowe i opiekę nad dziewczyną, która w niewymownym żalu i łzach za przybraną matką — utulić się nie mogła. Sylwan siedział, prawie niewidzialny, w swojej izbie, nie dowiadując się o sierotę i jakby zapomniawszy o niej.

Był teraz swobodnym i mógł. jak postanowił. sprzedać Rusinowy Dwór a wynieść się na Ukrainę. Nie przewidział jednak tego. że wspomnienie matki przywiąże go do tych ścian. do tego ziemi

kawałka. Gnusność jakaś opanowała go na myśli że wiele pracy i zachodów kosztować będzie wynoszenie się, którego korzyści były bardzo wątpliwe.

Mógł wszakże tak się tu zamknąć w tej pustelni, jakby był na drugim świata końcu. Ukraina bez nadziei, aby ją potrafił pokochać—tak wydawała się smutną, jak i ten kąt pusty. Lecz co było począć z sierotą!....

Sylwan troskę o to, jako nienagłącą, odłożył do późniejszego namysłu. Chciał ją wyposażyć i odeśłać. Słowo Tatiany dało mu do zrozumienia, że okrucieństwem byłoby sierotę, która się do domu przywiązała, rzucać znowu w świat między obcych.

Z dnia na dzień więc ciągnęło się tak życie, nałogowe jakieś, bezmyślne, które nawet parobków zaspokoić nie mogło, bo czuli, że Sylwan do niego serca nie miał, że trwać ono nie będzie. Chodzili posępni, odgadując tylko: czy i kiedy wybiorą się na Ukrainę... Tatiana płakała i milczała.

Nikomu ta śmierć boleśniejszą nie była niż jej. Od dawna żyły z sobą w ciągłych sporach, ale w najściślejszym związku—jedna się bez drugiej obejść nie mogła.

— I mnie już chyba umierać!—mruczała stara Tatiana, łzy nieustannie ocierając fartuchem.

Zaraz po pogrzebie Horpyny nadszedł list Wojtka i w nim list Misi. — Sylwan odpowiedział na nie w kilku słowach, oznajmiając poufnie Wierzbicie o śmierci matki. Sama krótkość i suchość tego listu więcej mówiła, niżby przewlekłe skargi i żale powiedzieć mogły.

Wojtek, odebrawszy kartkę — pomyślał, serce mu się poruszyło. Nie chciał się radzić nikogo i zwierzać nikomu; pojechał tylko do Zaborowa i oznajmił pannie Michalinie, że postanowił widzieć się sam z Sylwanem — i natychmiast wyjeżdża do niego.

— Stało się co? mów mi pan otwarcie! — zapytała panna. — Myśli tej, nie miałeś wprzód. Co pana do tego skłoniło? Bądź szczerem.

— Nic innego nad to, że widzę Sylwana w stanie ducha niebezpiecznym. Nie wie co ma czynić. Sądzę, że wpływ mój może mu się przydać na co.

— Jedź więc pan — odparła żywo Michalina — a zawieź mu odemnie, nie tylko pozdrowienie, ale zaproszenie gorące, aby nas odwiedził, a nie zamykał się z sobą samym. bo ma skłonność do trucia się najczarniejszymi myślami.

Jeżeli można, pochwycić go pan i przywieźć z sobą.

Przed żoną Wojtek może się nawet nie przy-

znał, dokąd jedzie. i znalazł tylko wymówkę w jakimś interesie do Warszawy.

Wielkie było zdziwienie Horpińskiego. gdy jednego dnia, wróciwszy z pola wieczorem, w bramie znalazł Harasyma, który mu o jakimś gościu oznajmił. Przed szopą stał koczyk wyprężony, w ganku siedział Wojtek. którego mlekiem poila Horpynka, bawiąc rozmową. Pierwsze wrażenie było radosne. Rzucili się sobie w objęcia—starzy druhowie.

— Jak ty jesteś pocziwym i serdecznym!—zawołał Sylwan — aż tu się przywlekłeś, niosąc mi słowo pociechy.

— Pojechałbym nie wiem dokąd—odparł Wierzbietą — gdybym wiedział, że ci istotnie pociechę przynieść potrafię. Spełniłem obowiązek.

Masz więcej odemnie zasobów do rozstrzygnięcia o własnym losie, mój Sylwanie — lecz wiesz, że najdoskonalszy doktor nigdy sam siebie nie leczy. Więc choć ty nierównie jesteś w medycynie dusznej bieglejszy, ja z moją ubogą nauką doświadczenia przybywam ci w pomoc.

Sylwan uściskał go, nic nie mówiąc, jakby na razie rozmowy w tym przedmiocie chciał uniknąć.

Umyslnie począł mówić o fraszkach.

— Mój drogi—odparł, uniem ocenić twe po-

święcenie—ale ty całej jego rozciągłości nie obra-  
chowałeś.

Wiesz ty o tem, że u mnie nie będziesz miał  
co jeść. twoim obyczajem. i na czym się położyć  
wygodnie. Jesteś w chacie chłopu ukraińskiego.

— O! dajże mi pokój!—rozśmiał się Wojtek.  
— Jak możesz mówić o tem?

— Bo pani Teresa będzie mieć słuszny żal do  
mnie.

Dla rozpieszczonego trochę Wojtka wistocie  
tutejsze całe gospodarstwo, mieszkanie, sprzęty—  
wszystko było czemś zupełnie nowem i dziwacz-  
nem.

Rozpatrywał się ciekawie. lecz zbytnej sym-  
patyi nie obiecywał dla tego zwrotu do stanu  
natury.

Tatiana, uprzedzona. zmogła się tego wieczora  
na zastawienie stołu takimi potrawami, któreby  
Wierzbicie, nawykłemu do innej kuchni, znośne-  
mi być mogły. Śmiał się on. jadł ochoczo, powie-  
dział. że rad był wszystkiemu, ale butelkę wina  
do wieczerzy trzeba było dobyć z powozu po-  
dróżnego.

Wieczór był piękny. księżyc w pełni wschodził  
już wcześniej. Wyszli w podworze, a Wojtek zapro-  
ponował swobodniejszą w pole przechadzkę, do  
której dwa czy trzy psy podwórzowe się przyłą-  
czyły.

Wyszli powoli za wrota. Mała scieżyna wiodła ku lasowi.

— Mówmy otwarcie — odezwał się Wojtek — przyjechałem po to, abym cię od samobójstwa odwiódł. Niepowinieneś tak. i sam siebie na ołtarzu własnej dumy poświęcać — i swoim przyjaciołom serc zakrwawiać. Myśl zostania chłopem, gdy ojciec cię wychował na cywilizowanego człowieka — jest poprostu niedorzecznością.

Zdziczyć dobrowolnie jest występkiem i grzechem — powiedziałbym jak ksiądz proboszcz — przeciwko Duchowi Świętemu.

Sylwan słuchał, roztargniony.

— Wojtek kochany — jam to już z twoich ust nie jeden raz słyszał... i nie trafiło mi to do przekonania.

Na waszym świecie nie mam co robić i byłbym zawsze w położeniu fałszywym i nieszczęśliwym. Co się tycze przyjaciół. o których wspomniałeś. mój Wojtku — oprócz ciebie nikogo na świecie nie mam.

— Pozwól choć na jednego jeszcze, a raczej na jedną. Jest nią panna Michalina — dodał Wierzbietka...

— Panna Michalina.... panna Michalina — szepnął Sylwan — Bardzo mi jej żal... mogła sobie znaleźć coś lepszego odemnie. Źle tę przyjaźń umieściła!!

— Ty jesteś najniewdzięczniejszym z ludzi — przerwał głośno Wojtek. — Mówmy jasno i bez obwijania w bawełnę.

Panna Michalina ma dla ciebie więcej niż przyjaźń: przywiązała się do ciebie, jesteś jej do życia potrzebnym. Wkłada to na waszmości obowiązek...

— Uczynienia jej nieszczęśliwą! — ironicznie podchwycił Sylwan. — Dobrze, mówmy otwarcie — nie mam nazwiska, jestem niemal podrzutkiem jakimś...

Imię, które noszę, nadał mi ojciec, sądząc, że ono mnie osłoni; ale ja się niem brzydę — i podrobionem mojem szlachectwem. Na tem kłamstwie przyszłości budować nie mogę...

W waszej społeczności, takiej, jaką ona jest — ja miejsca prawego nie mam — i nie winię społeczeństwa, bo prawo, które mnie karze za winę ojca, ma na celn wstrzymać bezprawie... Położenie moje jest bez ratunku... Samo przyznanie się do niego przed Zawierskimi — jest niepodobieństwem, a im kłamać — nie mogę!!

Wojtek długo szedł obok mówiącego, puszczając ogromne kłęby dymu z cygara.

— Mnie się zdaje — odparł, że panny Michaliny świadomość twojego rzeczywistego położenia wcale-by nie zraziła. Ażeby usta zamknąć ludziom, dosyć-by było oddalić się z tych stron, w których



znanym jesteś. na lat kilka. Pamięć ludzka bardzo krótka.

— Wojtku—nie wymyślaj napróżno—przerwał Sylwan—wiesz mi. że co tylko wyobraźnia mogła wymarzyć i wyśnić, wszystko już przechodziło przez moją głowę; a żadna z tych mrzonek ognia, próby w sumieniu wytrzymać nie mogła. Są fatalności — nieuniknione! Skłóśmy głowę przed niemi.

Sądzisz, że mi tak łatwo zerwać z moją przeszłością—stać się innym. zakopać gdzieś. zamrzeć nieznanem u w głuchej pustyni!

— Ale cóż cię zmusza do tego!—wyrwało się Wierzbicie.—Dopóki żyła twoja matka. rozumiałem ofiarę dla niej. ale dziś...

— Może dla jej pamięci!—westchnął Sylwan— a może...

Wierzbietta sprzeczał się długo; rozmowa ich pod las zaciągnęła—i nie powrócili, aż około północy do dworku. w którym już u jednej tylko Tatiany się świeciło.

Wojtek trzy dni zabawiał w Rusinowym Dworze—i nie mógł powiedzieć, ażeby podróż była daremną. Po sporach. rozprawach. argumentowaniach. stanęło na tem. iż Sylwan miał rok czekać. nim-by coś stanowczego przedsięwziął. Dał na to słowo Wierzbicie,

— Przyjedźże do Zaborowa—dodał, uzyskawszy to, Wojtek.

Niecierpliwie się zżymnął na to Horpiński.

— Czy się godzi mnie to radzić i namawiać na krok, którego ani sumienie mnie, ani tobie litość nie pozwala pragnąć?! — zawołał surowo. Ja potrzebuję odwyknąć od towarzystwa kobiety, po której i tak już tęsknię zanadto. Godziż się to, Wojtku?

Wierzbietą mruczał coś niewyraźnie.

— Czynisz jej tem przykrość!—rzekł.

— Chwilową, — dodał Sylwan, ale staram się nas oboje znieczulić na przyszłość... Tak każe sumienie.

W czasie pobytu swojego w Rusinowym Dworze Wojtek dosyć zręcznie badał Sylwana o niektóre szczegóły z przeszłości -- niejasne, wątpliwe.

Horpiński nie taił przed nim tego, iż położenie teraźniejsze winien był rodzinie Nitosławskich, która, dowiedziawszy się o małżeństwie z włościanką, — słabego człowieka zmusiła niemal do unieważnienia go, do zniszczenia śladów i starania się o zapewnienie losu dziecięciu w inny sposób.

Sylwan był pewien tego z opowiadań matki, że brała ślub z Nitosławskim; nosiła ona obrączkę złotą, z datą dnia obrzędu, którą Sylwan po niej odziedziczył.

Miał więc prawo i do nazwiska i do majątku po ojcu. Pierwszego mu odmówiono, zatarto ślady — ale za drugi wynagrodzono go hojnie.

Nie mówiąc nic o tem Sylwanowi, Wierzbęta

mówił sobie. iż możeby — metryka ślubu znaleźć się mogła i małżeństwo potajemne udowodnić.

Napomknął z lekka przyjacielowi. który pogardliwie się rozśmiał.

— Po latach kilkudziesięciu, gdy rodzina pracowała nad tem, aby zatrzeć wszelki ślad, zniszczyć dowody. gdy ani pieniędzy na to. ani starań nie żałowano,—ludzie, co byli świadkami pomarli—pamięć znikła—chcieć dochodzić nanowo... byłoby nietylko próżnem. ale śmiesznem!!

Wierzbęta zamilkł..

Niemogąc nakłonić do odwiedzenia Zaborowa, a chcąc zapobiedz, aby się samotnością w Rusinowym Dworze nie zabijał przyjaciel, pracował nad nim póty Wojtek, aż go skłonił do odbycia podróży za granicę.

Razem niegdyś zwiedzali Włochy.

— Pokłonisz się im odemnie — wołał Wojtek w uniesieniu wspomnieniami młodości wywołanem.—Mnie samego Terenia nie puści, a jechać z nią, z Emilcią, z Docią—ani myśleć. Jedź więc choć ty i pisz mi dziennik podróży; będę się nim napawał.

— Zdrajco!—odparł smutnie Horpiński—chcesz abym się nanowo rozmiłował w tem. czego się wyrzec postanowiłem.

— Bo nie widzę konieczności wyrzekania się.

Sylwan zmiął w końcu i przyrzekł, że pomyśli o tem.

Wierzbietą zaś podstępnie układał tak, ażeby Zawierskie wyprawić również za granicę i—spotkanie z niemi uczynić nieuniknionem.

Powróciwszy do Makolągwy, nacieszywszy się dziećmi, wytłómaczywszy przed żoną — pobiegł trzeciego dnia do Zaborowa. Oczekiwano tu na niego — to jest panna Michalina tylko, bo matka patrzyła okiem niechętnem na stosunek z Horpińskim,—z wielką niecierpliwością.

Przez przywiązanie do córki nie śmiała się jej sprzeciwiać biedna stara, ale opłakiwała zaślepienie i modliła się o to, aby Pan Bóg ją wyzwolił od tej przyjaźni.

Przy niej więc nawet rozmówić się otwarcie z Misią nie mógł Wojtek; lecz wymienili słów kilka, a resztę trzeba było w listach pomieścić.

Podróż do Włoch nadzwyczaj się uśmiechała pannie Michalinie; zdrowie matki mogło ją usprawnić.—Interessa nie były już w tak złym stanie, aby na skromną wycieczkę dwóch kobiet nie starczyły... Na pierwsze jednak wspomnienie o tem matka krzyknęła, załamując ręce i protestując, że nigdy na to nie pozwoli. Ludzie mieliby prawo naówczas oskarżać ją o ruinę, o marnotrawstwo, gdyby, zaledwie cudem się uratowawszy, przedsiębrały podróż kosztowną.

Zdrowie Misi nie wymagało tego... ona zaś—dla siebie nie żądała nic nad trochę spokoju i zapomnienia losu córki.

Przekonać jej nie było podobna.

Wierzbęta i córka ani się nawet po pierwszym wybuchu kusili...

Być może, iż instynkt jakiś ostrzegwał matkę o spotkaniu projektowanem, o którym wiedzieć nie mogła.

Wspomnieliśmy o tem, że nieboszczyk Pruszczyk był jednym z tych, którzy popierali mocno sprawę Nitosławskiego, starającego się o pannę Michalinę.

Zbliżył się on do rodziny Nitosławskich za pośrednictwem imiennika swojego, pana Krysztofa Pruszczyca, ubogiego szlachcica, trochę prawnika, trochę handlarza—koniarza, który był Nitosławskich sąsiadem.

Oryginalna ta figura, teraz, gdy Pruszczyk stary zmarł, przywlokła się do Zaborowa, opatrzona w dowody pokrewieństwa, chcąc poszukiwać spadku po nieboszczyku. Odprawiono go do Wierzbęty, między innemi, aby się tam o stanie interesów informował.

Pruszczyk ten, niegdyś bałagula, szalona pałka, którą wiek znacznie ostudził, mężczyzna ogromnego wzrostu, z lśniącą jak kość słoniowa łysiną, z wąsem na piersi spadającym, z butą

ukraińsko-szlachecką i obyczajem kozaczym. — wśród znacznie spokojniejszego społeczeństwa wydawał się dosyć dziwnym. Mimo wieku, nosił się kuso, ruchy chciał mieć młode i jaskrawe — mi chusteczkami na szyi, płęć brązową, opaloną, czynił jeszcze ciemniejszą; krzykliwy głos, ruchy gwałtowne, mimika, aż do śmieszności posunięta, raziły i męczyły w nim — ale dla nikogo sobie nie czynił przymusu.

Posiadłość ziemską, maleńką, zagadkową — bo nikt nie wiedział, czy był na niej dziedzicem, dzierżawcą, czy zastawnikiem, — służyła mu tylko do utrzymywania koni, któremi frymarczył; miał ich zawsze wiele i nieustannie po jarmarkach z niemi, z Tatarami i innemi właścicielami tabunów, się włóczył. Grywał oprócz tego namiętnie w karty i w towarzystwie szlachty majątniejszej z tego powodu był przyjmowany, choć do salonu wcale nie zdawał się stworzonym. Resztki jakiegoś zapomnianego wychowania, złej francuszczyzny i pewnych elementarnych wiadomości, w nim się przebijały. Była to pozostałość z jakiejś chwili bytu naszego, która, gdy towarzyszące jej zjawiska znikły, sama dotąd ze swą właściwą fizjognomią się uchowała.

Wyprawiony do Makolągwy, pan Krysztof w początku dosyć był zimno przyjęty.

Tereni wydał się okropnym zbójem. Wojtek patrzył nań, jak na archeologiczny zabytek. Lecz, z powodu interessów Zawierskich potrzeba go było przyjąć grzecznie i rozmówić się z nim spokojnie.

P. Krzysztof zresztą, jakkolwiek go przyjęto, wcale się nie troszczył o to, i wszędzie się rozgaszczał pokozacku. Wierzbietę wkrótce począł ponfale zwać po imieniu i wywnętrzać się przed nim z otwartością starego znajomego.

Narzekając na stryja, który cały majątek zaprzepaścił, począł opowiadać, co wiedział o nim, o sobie, potem o Nitosławskich, z którymi sąsiedował.

Mówiąc o nich, nie ograniczył się tem, co z tokn rzeczy było koniecznem, ale całe dzieje rodziny w sposób szyderski opowiadać zaczął, sięgając czasów starego Nitosławskiego. Wojtek, słuchając go dosyć obojętnie, nderzony został tem, że pan Krzysztof napomknął — z posłuchów o pierwszym ożenieniu się Nitosławskiego z chłopką.

— Wiesz pan co, panie Prnszczyc — rzekł — z sukcesyi po stryju, oprócz ruchomości, kilku strzelb i kulbak, bryczek i nprzęży, niewiele się pożywisz; ale gdybyś mi pomógł to pierwsze małżeństwo Nitosławskiego udowodnić — ja w tem! — mógłbyś na tem zarobić nieźle.



— No! a waćpanu to na co? aby szykanować Waclawa i jego brata?—zapytał Krzysztof. masz do nich ząb?

— Nie—rzekł Wierzbęta — ale znam dobrze syna, który z tego się pierwszego małżeństwa narodził, a ten dziś jest w tak fałszywym położeniu. iżbym go rad z duszy ratował.

— Gdzież? jak? syn Nitosławskiego?—zakrzyknął gwałtownie Pruszczyk.—To nie może być! Mów pan...

— Nic panni nie mogę powiedzieć nad to jedno. że go zuam i że mnie jego los obchodzi. jak brata.

Jest-że to pewna. że Nitosławski z tą chłopką ślub wziął?

— Tak pewna jak, że mnie widzisz żywego — zawołał Pruszczyk. wywijając rękami.—Ksiądz, który ślub dawał, zgodził się potem na zniszczenie pozorne metryki ślubnej. ale chytry popek zniszczył kopią, a oryginał przekazał zięciowi, u którego widziałem ten ciekawy dokumnt.

Wierzbęta porwał się z siedzenia.

— Na miłego Boga! więc możemy go dostać?—krzyknął. —Zapłacę co zechcesz.

P. Krzysztof nagle ostygl i pogładził się po łysinie.

— Ale bezemnie się nic nie robi — rzekł znacząco. kręcąc wąsa długiego..

Straciłem się na podróże nadaremne; po stryju

biorę figę: jeżelibym mógł się zrewanżować na metryce,—byłoby na rękę. Darmo zaś tego uczynić ani mogę—ani się godzi odemnie wymagać.

— Ani ja żądam od was tego — zawołał Wojtek,—Porozumiemy się—lecz naprzód zamawiam sobie, że zachowasz pan o tem tajemnicę.

Umówimy się o to, co chcesz zarobić.

— Nie obedrę—rzekł, cynicznie oczy podnosząc, p. Krzysztof, ale ja nawykłem handlować i zarabiać—trafi się na koniu—na koniu, a choćby i na człowieku!! Czas płaci, czas traci!

Zagajona w ten sposób rozmowa przeciągnęła się bardzo długo. Przyparty mocniej, Pruszczyć musiał w końcu przyznać się, że choć metrykę ślubu widział — ale co do wydobywania jej, warunków i t. p., musiał jechać na miejsce, przedsięwziąć kroki właściwe, a dopiero, gdy wyrozumie na miejscu, donieść będzie mógł, jak się to da zrobić.

— Powiem panu—dokończył Krzysztof, śmiejąc się—że tych żółtobrzuchów, bogaczów, arystokratów Nitosławskich, gdyby się dało upokorzyć i dać im z chłopianki narodzonego braciszka, toby mi prawdziwą uczyniło satysfakcją. Milionami trzęsą; a gdy konia kupują odemnie, to się o dziesięć rubli targują, jak żydzi.

Myśl uratowania Sylwana przez przywrócenie mu nazwiska — zapaliła tak Wierzbietę, iż chcąc

ująć Pruszczyca. dopomógł mu w odzyskaniu szczątków spadku po stryju i na końcu dał do zrozumienia. że może się spodziewać wcale pięknego zarobku. jeśliby obiecaną metrykę potrafił zdobyć, a więcej jeszcze, gdyby i metrykę syna wynalazł.

P. Krzysztof zdawał się mocno tem zajęty. i zarówno nadzieja zarobku, jak chęć dokuczania arystokratom—pobudzały go do działania. Obiecywał natychmiast dać znać Wierzbicie... i zaprzysięgał się, że dokaże co przyrzekał.

Można sobie wyobrazić. jak Wojtek był rozradowany. uszczęśliwiony. i co mu się marzyło—po tej rozmowie z Pruszczycem, po kilkakrotnem jeszcze ogadaniu sprawy i zleceniu mu jej na odjeździe.

P. Krzysztof, zasilony pieniędznie przez Wierzbietę—wyruszył z powrotem na Ukrainę. Wedle jego obietnicy w parę tygodni najdalej miał dać wiadomość o sobie.

Wierzbietà nawet przed żoną się nie przyznał do tego. co knował wspólnie z p. Krzysztofem: raz z przyczyny, że Pruszczyk wcale nie obudzał zaufania; powtórę, iż rzecz się zdawała bardzo jeszcze kruchą i niepewną.

Tydzień, dwa i trzy upłynęły... wiadomość nie dochodziła żadna.

Wierzbietà zaczynał być niespokojnym. z tego

powodu szczególnie, że p. Krysztof w innych rzeczach jawnie kłamał — więc i o tej metryce mógł coś słyszeć, a resztę wymyśleć.

Pisać do niego nie chciał: trzeba było cierpliwie wyczekiwać, ażby się zgłosił. W każdym razie przewlekłe milczenie było znaczącem i nie dobrego nie wróżyło.

My możemy po części odsłonić przyczyny. dla których Pruszczyk się nie śpieszył z uwiadomieniem Wierzbicy o metryce.

Wszystko, co mówił o niej, było prawdą — metryka zachowana istniała... a p. Krysztof, przybywszy do domu, ani dnia nie zwlekał i pojechawszy na miejsce, przekonał się, że dokument można było dostać — ale ważność jego znał dobrze posiadacz — i. oprócz tego kładł za warunek, aby on przeciwko dziecięciu i jego interessom nie był użyty.

Pruszczyk, pogadawszy o tem, wrócił do domu dla rozmyślenia się lepszego.

Los potomka Nitosławskiego, urodzonego z chłopianki, wcale go nie obchodził: głównem było zarobić na tem jaknajwięcej.

— Co oni mi dać mogą? — mówił do siebie — parę tysiączków więcej. wątpię.... gdy tymczasem te żółto brzuchy Nitosławskie, aby skandalu uniknąć i braciszka się pozbyć, mogą mi sypnąć suto?

Myśl ta uśmiechnęła się człowiekowi. dla któ-

rego wszystko w życiu było grą. Grał na koniach, grał w karty, gotów był stawić i na metrykę...

Dzień jeden kręcił wąsy pan Krzysztof i z sumieniem, nie zbyt dokuczliwym, wchodził w rachunek. Nie czuł żadnej zgryzoty — był przekonany, iż miał prawo myśleć tylko o sobie.

Nitosławski Wacław był w domu: wybrał się do niego. Przystęp do bogatego i niełatwo z kim obcującego panicza — nie był dla każdego otwarty. Krzysztof widywał go tylko zdaleka, na jarmarkach, a parę razy zbliżyć się usiłując, został pogardliwie odprawiony.

Tym razem spodziewał się jednak zyskać posłuchanie.

Z rządczą dóbr pp. Nitosławskich — w swoim rodzaju także potrosze arystokratą, znał się z jarmarków Pruszczy. P. Buchta raczył z nim czasem rozmawiać, raz konia u niego kupił. Zajechał więc do Buchty na folwark, który daleko piękniej wyglądał, niż dwór p. Krzysztofa.

— Ja tu, mości dobrodzieju—odezwał się wchodząc do Buchty — w bardzo ważnym interressie osobistym przybywam do p. Wacława... ale wiem, że do niego lada szlachcicowi, jak ja, przystęp trudny. Proszę więc o pośrednictwo. Niech pan będzie łaskaw oznajmić, iż interes mnie się nie tycze, ale pp. Nitosławskich — a jest nie małej wagi. Jeżeli się ze mną rozmówić nie zechcą

mogą na tem więcej stracić niż sądzą... a ja z nim o tem mówić nie mogę, tylko osobiście z jednym z nich.

Buchta. człowiek z pewnem wychowaniem. gładki, niedowierzający, przeczuł. że szło o wydrwienie grosza; począł badać p. Krzysztofa, ale ten pozostał niemy—i powtarzał:

— Muszę się widzieć z jednym z nich.

Pozostał na folwarku Pruszczyce, a Buchta poszedł do pałacu i nie powrócił. aż w godzinę.

Przynosił odpowiedź że — p. Wacław dał jemu pełnomocnictwo do rozmówienia się z Pruszczycem.

Obraził się p. Krzysztof.

— Cóż to! Niegodzien jestem z nim nawet dopuszczonym być do rozmowy! a no — to kat go bierz!

Ledwie potrafił uspokoić go rządzca, poszedł raz drugi i po półgodzinnem powtórnem wyczekiwaniu powrócił. zapraszając do pałacu, a razem obwarowując, aby rozmowa była krótką, gdyż p. Wacław gotował się do wyjazdu i czasu nie miał.

P. Krzysztof, w swym stroju na pół bałagulskim, z dumną miną, przeprowadzany przez lokajów w liberyi kamerdynera, dostał się do gabinetu p. Wacława.

Zbytek, z jakim pałac był urządzony. elegancya, pańskaść wystawna, goryczą napełniły Pru-

szczyca i usposobiły go — do wygórowanych żądań...

— Muszą się mi dobrze opłacić! — mruczał idąc.

Pan Wacław. w eleganckiem rannem ubraniu. z cygarem w ręku przyjął przybywającego w progu,—stojąc sam i nie prosząc go siedzieć.

Ale grzecznym był bardzo.

— Będziesz pan łaskaw—rzekł—jaknajtreściwiej mi powiedzieć o co chodzi, czem mu służyć mogę—gdyż nadzwyczaj mi pilno.

— Panie dobrodzieju — odparł rzeźko Pruszczyk — nie pan mnie, ale ja je mu służyć mogę Rzecz. krótko a węzłowato ma się tak.

Nieboszczyk papa pański, był *primo voto* żonaty z chłopką i miał z nią syna... Niech pan się nie zżyma i słucha do końca. Dowody, że małżeństwo to było ważne i zawarte istotnie, starano się zniszczyć, ale przecie istnieją—i ja je mam w ręku.

Z temi dokumentami braciszek panów może się upomnieć i o nazwisko—i o fortunę... Hm? Idzie o to: czy jemu mam wydać dowody te—czy dla świętego spokoju. panowie-byście sobie życzyli może, abym je im wręczył? Rozumie się. iż o to ułożyć się musimy.

Gdy Pruszczyk w tych krótkich słowach grubiańsko. ostro całą rzecz wyłuszczał, napawając

się wrażeniem. jakie się uczynić spodziewał na p. Waclawie—Nitosławski zbladł naprzód. rzucił się. cofnął. ale natychmiast odzyskał panowanie nad sobą, zaciął usta, przybrał postawę pańską. dumną. wysłuchiwał do końca, i gdy p. Krzysztof. zamknąwszy przemówienie. spodziewał się jakiejś odpowiedzi—chwile stał Nitosławski niemy...

Zwolna potem ręka mu się podniosła, i niemówiąc słowa, wskazał na drzwi.

Pruszczyc nie chciał zrozumieć tego ruchu.

— Panu dobrodziejowi—rzekł wpół szydersko. napół pokorniej już, może być nieprzyjemnem samemu o to ze mną traktować. To się rozumie—Ja tam w targu żadnym delikatności nie mam. Może więc zechce mi pan wskazać osobę złąfaną?

Nitosławski milczał, tylko mu się oczy oburzeniem paliły... i zwolna cofał się coraz dalej.

— Zresztą jest to rzecz namysłu wymagająca.—dodał Pruszczyc — więc zostawiam czas do niego.

Wiadomo gdzie mieszkam, Pańkowszczyzna pod bokiem. Dziesięć dni mogę ofiarować do namysłu...

I na to nie było odpowiedzi. Nitosławski wskazywał ręką drżącą na drzwi.

— Idę już. idę—odparł bezwstydnie p. Krzysztof—nie cofam com powiedział. Życzę się na-



myśleć. Co się tycze dokumentów. że są rzetelne, prawdziwe i ważne—gotówem poddać je rozpoznaniu ekspertów.

Zatem submituję się.

Spojrzał na p. Wacława—który się dumnie prostował.—ukłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Buchta czekał na niego w ganku.

Nie spodziewał się pono tak prędko z powrotem; spojrzał mu w twarz: p. Krzysztof miał minę złą i drwiącą.

— A cóż? interes? — spytał, idąc z nim na folwark.

—Przywiozłem propozycją—rzekł Pruszczyk— „a jak moje ne w ład, to ja z mojom nazad!!“ Ma czas do namysłu.

Byli na wpół drogi do folwarku. gdy nadbiegł lokaj z pałacu i p. Buchtę zawołał do Jasnie Pana.

Sam więc już wolnym krokiem szedł p. Krzysztof ku folwarkowi.

— Zalałem paniczowi gorącego sadła za skórę! mówił w duchu.. Pokazał mi drzwi — bestya — ale na tem nie koniec. Będzie mnie prosił, abym przyszedł, i za to zapłacił! W targu gniewu nie masz.

Bez ceremonii wszedłszy do eleganckiego saloniku p. Buchty, Pruszczyk siadł i fajkę zapalił. postanawiając czekać na powrót Rządzczy. Nie

przeciagnęło się oczekiwanie, gdyż w kwadrans Buchta, z głową spuszczoną. kwaśny zjawił się we drzwiach.

— Ma pan co do mnie?—zapytał Pruszczyk.

Rządca poruszył ramionami.

— Nie mam nic, nie było o panu mowy — odparł zimno.

Przeciwko obyczajowi nie prosił ani na wódkę, ani na przechadzkę, — i p. Krzysztof, popaliwszy fajkę, widząc, że nic nie wysiedzi tu — wstał.

— Zatem i przytem — rzekł — chociaż dziś pan Wacław nie daje mi żadnej rezolucyi, jeżeliby się namyślił. — droga do Pańkowszczyzny wiadoma... Ja dni kilka posiedzę w domu i można mnie zastać. Później — nie wiem. Skłonił się Buchcie i — odjechał z niczem.

P. Wacław Nitosławski miał wiele wad i śmieszności; ale w charakterze tym, choć mu mało przyświecało intelligencyi — było też wiele szlachetności. Duma jego opierała się na poczuciu uczciwem: nie chciał, aby mu świat miał cokolwiek bądź do wyrzucenia.

Myśl o wykupywaniu dokumentów, aby zatrzeć ślad niemiłych wypadków w sposób podstępny — nieuczciwy, oburzyła go do najwyższego stopnia.

Postępowanie ojca nie było jego winą — wiedział o tem, że za życia zatarto wszelkie ślady

tego małżeństwa, że zaprzeczano nawet, czy ono rzeczywiście przyszło do skutku.

Nie wiedział jednak co zrobić, jak postąpić, dopóki-by się nie skomunikował z bratem, który w tej chwili był w Odessie. Ale on i brat, nie tylko z twarzy byli do siebie podobni: sposoby ich widzenia i pojmowania godziły się z sobą. Wacław przewidywał, że brat tak postąpi, jak on—i odrzuci wszystkie propozycje.

Dokumenta—któż wie, mogły być nawet sfalszowane, a całe te grzebanie się w przeszłości, potajemne, z pomocą ludzi, na których łasce potrzeba było pozostać i za milczenie płacić—zdawało się p. Wacławowi niegodnem jego położenia.

— Jeżeli dowody złoży... ktokolwiekbydź, że małżeństwo było prawne, że ktoś ma prawo nazywać się moim bratem — a nawet odebrać część majątku—?—wolę na to przystać niż się wykupywać niepocziwym spekulantom.

Gadać z nim nie będę!—zawołał gniewnie pan Wacław, wyprawiając list do brata.

Pruszczyć powrócił do swojej Pańkowszyny i koni nadrabiając fantazją, ale—dosyć kwaśny. Teraz dopiero, gdy krok spełniony wydawał mu się nadaremny — sumienie się odezwało także.

— Ale-bo po kiego licha—mówił sobie—miałem się litować nad żółto brzuchami—? Z niemi zawsze gra taka. Wierzbęta mi zapłaci i kwita—a poskrobia się potem—tem ci lepiej. Chciałem uniknąć skandalu...

Nim dziesięć dni upłynęło, przynaglony listem. niespokojny nadbiegł brat p. Wacława. Podzielał on przekonania brata w ogóle, ale z drugiej strony przedstawił mu. że było obowiązkiem ich spełnić wolę ojca.

Ojciec zaś. o czem wiedzieli, wyposażył hojnie sierotę. do której mu się przyznać nie dawała rodzina, dał jej nazwisko, wychowanie. majątek... należało więc może zapobiedz. dla pamięci ojca—aby błąd jego młodości nie został rozgłoszony.

Cały dzień jeden i noc spierali się bracia co czynić; naostatek Wacław. choć z trudnością. zgodził się na to, aby kogoś wyprawić do Pruszczyca, dla rozpatrzenia się w tych dokumentach.

Buchta miał całe ich zaufanie.

Opowiedziano mu treściwie rzecz całą i zlecono się ostrożnie rozpatrzyć.

Pruszczyz już był stracił nadzieję, aby z Nitolskimi dało się co zrobić. gdy Rządca nadjechał.

— Polecono mi obejrzyć i zdać sprawę z tych dokumentów. o których pan wspomniałeś p. Wa-

clawowi—rzekł po przywitaniu.—Spełniam rozkazy.

Pruszcycowi trudno się było wytłómaczyć z tego, iż dokumentów tych—nie miał w ręku. Zająknął się, splunął, i dodał, że naprzód chce wiedzieć stanowczo, czy pp. Nitosławscy myślą z nim traktować lub nie. Inaczej nic nie pokaże.

— Żądasz pan więc, abyśmy kota w worku kupowali?—odparł Buchta.

— Nie—ale kota z worka nie dobędę, póki słowa nie dacie, że go sobie kupicie. Nie zechcecie wy, znaleźć innego kupca — a może mi lepiej niż wy zapłaci.

Konferencya, naturalnie. przeszła na niczem; lecz Pruszcyc zaledwie się pozbył Buchty. pewny już, że targu z nim dobić muszą, poleciał sam nabywać—metryki.

Człowiek, w którego ręku one się znajdowały—zasługuje na to. abyśmy w kilku rysach go odmalowali. Niewielkiego wykształcenia,—marzyciel trochę naiwny--prostego obyczaju, należał on do rzędu tych. wykarmionych biblią i duchownemi pismami, ludzi, którzy mają wiarę i od pewnych zasad nie odstępują. Ubogi, był przy swem ubóstwie dziwnie zrezygnowany i szczęśliwy... obcując ciągle tylko z ludem i ze Słowem Bożem, miał pogląd na świat zupełnie różny od pospolitych ludzi.

Na modlitwie czasem płakał, a z dziećmi śmiał

się podzięciem. Ludzi takich dziś mniej coraz.

Brakło mu czasem chleba w domu; naówczas książką się umiał pocieszać, a gdy miał trochę więcej w spiżarni, dzielił się z ubogimi z wiarą w opatrność—tak głęboką, iż uwielbienie obn-  
dzała.

Człowiek taki nie mógł danych mu do przechowania dokumentów użyć na złe. a Pruszczyce, rachujący na jego ubóstwo, zawiódł się najzupełniej.

Poznawszy tę omyłkę, zwrócił się natychmiast w inną stronę i był pewien, że prostaczka uwie-  
dzie, ukazując mu dobyte tych świadectw jako dzieło sprawiedliwości Bożej.

Na nieszczęście p. Krzysztof znanym był na okolicę człowiekiem, — sumienia lekkiego, z którym się należało obchodzić ostrożnie.

O. Leoncyusz wysłuchał go z uwagą, pochwalił jego dobrą wolę—lecz co do dokumentów samych oświadczył, iż tylko osobom, którym one wprost służyć mogły.—wydać je sumiennie jest gotów.

— A mnie to nie wierzysz? — spytał żartobliwie Pruszczyce.

— Możecie się omylić, albo dać się wyzyskać niepoczciwym—odparł zagadnięty.

Ująć tego biedaka zdawało się napozór łatwym; tymczasem bliżej go poznając, przekonał

się Pruszczyce, że prosty człowiek miał rozsądek zdrowy. który sofizmatami nie dawał się pokonać. i charakter niengiety. Oboje w tak niepozornej istocie, która się często o buty troszczyć musiała dla siebie i dzieci,—zdawało mu się niepojętem.

— Ten człowiek to prawdziwa osobliwość — mruczał, odjeżdżając. Skarży mi się, że dzieci chodzą odarte. że sam nie ma do syta się czem najęść; ja mu pełną garść pieniędzy podaję: a on ją śmiejąc się odpycha!!

---

Uśmiechała się podróż do Włoch Sylwanowi, chociaż takiego pieszczenia siebie i dogadzania słabości niemal się wstydził. Nim ją mógł przedsięwziąć, jednakże musiał wprzód obmyśleć coś i postanowić o losie tych ludzi, którzy matce do ostatniej służyli godziny. Tu ich pozostawić, na tem wygnaniu, które celu nie miało—nie było podobna; sprzedawać Rusinowego Dworn, dla pamięci matki nie chciał, służby tu trzymać się nie godziło. Należało poświęcić coś i powrócić ich tej ziemi, z której wyszli i na której żyć byli przeznaczeni.

O parobków się nie troszczył — gdyby raz ich odprawił i dał im za co ręce zaczepić—sądził, iż poszliby chętnie. Pynia, wyposażona, tak mu się zdawało, chętnie-by też wróciła na Ukrainę; co do starej Tatiany—miał wątpliwość—przeżyła z nimi lat tyle, a człowiek jeżeli się nie przywiązuje to znałogownie i nawyka.

Jednego dnia, gdy siedział w ganku. a Tatiana,



we drzwiach stojąc. w bok podparta. plotła coś o gospodarstwie—spytał jej nagle Sylwan.

— A cóż, stara! Tobie tu teraz tęskno będzie! Wrócić-by ci na stare śmiećka?

— Do czego! do kogo? — szeptała obojętnie. dźwigając ramionami.—Ja tam ze swoich już nie znajdę żywej duszy.

Łzy otarła fartuchem.

— Co innego parobcy—rzekła—tym się tęskni do swoich... a mnie? I mogił już nie znajdę.

Zaczęła płakać rzewnie.

— Cóż zrobić z Horpynką?—dodał. wymijając, Sylwan.

— Albo ja wiem—poczęła Tatiana—nieboszczka inaczej z nią myślała... ale prędko sobie myśli te wybiła z głowy — a sierota pozostała, do lepszego bytu nawykła. Jak ją tu teraz na głód i pracę wyrzucić! To się biedactwo zamęczy.

— Przecież-bym jej wiano dobre dał — odparł Sylwan — a dziewczę dorasta i parobka sobie znajdzie.

Zamilkła Tatiana, głową poruszając tylko z jakąś wątpliwością.

I Sylwan się zadumał. Coś przecie postanowie było potrzeba. Nazajutrz zaczął Tatianę znówu, ale się okazało. że ona też do dziewczyny się przywiązała. Porzucić ją było jej żal, za nią iść

nie miała odwagi, bo Sylwana niemal za własne dziecko uważać była nawykła.

Wola jego musiała rozstrzygać.

— Parobkom dam wyprawę i odprawę: niech tu nie schną na piaskach — odezwał się do starej, —ja do dworu wezmę miejscowych ludzi. Ty, moja Tatiano, pojedziesz z Horpynką i jej skrzynkami i groszem; tam ją gdzieś wydasz lub powierzysz komu, a sama wrócisz tu — gdzie ja zapewne pozostanę.

Z nateżoną uwagą słuchała stara, nic nie mówiąc, i zamyśliła się, wzrok utopiwszy w ziemię; cichych kilka łez popłynęły po zmarszczonych policzkach; stała jakiś czas, fartuch mnąc w rękę, i poszła, mrużąc coś niewyraźnego.

Co się działo z Horpynką—trudno było zrozumieć. W dziewczęciu grały dwa prądy: ochota powrotu z lepszym bytem, tam, gdzie długo żyła biedną, pochwalenia się swym losem, —i żal po Tatianie, po tym pann, z którym się spoufalila... który jej był miły... Rozkaz jego w końcu spełnić się wszak że musiał: Horpynka zaczęła skrzynkę ładować, ale w nią łzy padały.

Parobkom też tego pocziwego a bratersko z niemi spoufalonego „Seliwana“ żal było: gdyby słowo rzekł, zostaliby chętnie. Nie rzekł jednak tego słowa.

Nadszedł dzień rozstania, najboleśniejszy dla

Tatiany, która chodziła z oczami nabrzękłemi — ale wolą silną, a ta jej gadatliwość nawet hamowała.

Poszła raz jeszcze do izby Sylwana, z tą pufałością dawną, do jakiej nawykła była niegdyś, gdy on był młodszym. Położyła mu rękę spracowaną na ramieniu.

— Kazalesz — jadę — rzekła ochrzypłym głosem — odwiozę Horpynę, ale choć piechotą powrócę. Tu moja stara, jakbym ją widziała, jakbym z nią się wczoraj kłóciła i płakała...

Pozwól, abym tu dni moich dożyła. Oprócz ciebie, któryś się na oczach moich wychował — nie mam nikogo.

Cieżarem ci nie będę. Gdybym nie zdołała zapracować, za piecem niewiele miejsca zabiorę — a — nasza natura taka, że na godzinę przed śmiercią jeszcze wiadro wody przyniosę.

— Powracaj! powracaj! moja stara pocziwa piastunko! — zawołał Sylwan poruszony — ja ci zawsze rad będę. Wracaj, a czem prędzej tem lepiej, obmyśl jednak pewny los Horpynce, abym ja o nią był spokojny.

— *Ne żurysia!* — zawołała Tatiana — już będę wiedziała co z nią począć. Dziewczę przyszło do kolan się pokłonić zapłakane; ale z oczek czarnych tryskało życie też, które obiecywało, że tęsknicę prędko zgubi na drodze.

Parobcy przyszli zasepieni dziękować—nie mówili prawie nic; więcej żądać nad to, co im bardzo szczerze wydzielił Sylwan, nie myśleli, żal im go było... a razem czuli pewną urazę, że się chciał i mógł obejść bez nich. Jak z braćmi rozstał się z nimi Sylwan—wołając w końcu:

— Pokłońcie się mogiłom naszym i ziemi... Któż wie, może i ja tam kiedy do was przyciągnę...

Gdy się to wszystko nagle rozproszyło, a Rusinowy Dwór pozostał pustką, z kilku psami za całą straż i jednym Sylwanem tylko, który wprzód nowych sług, już ugodzonych, sprowadzać nie chciał, ażby starzy się wynieśli—Rusinowy Dwór wydał mu się jak grób smutnym.

Widział jeszcze chodzący po nim cień matki. Teraz wszystko się miało odmienić; ale też Horpiński, jakie takie zaprowadziwszy gospodarstwo, nie myślał tu pozostać. Słuchał rady Wojtki: jechać miał bez celu, bez myśli, ot tak wprost dla odegrzania się na słońcu, dla rozsiania życia, będącego ciężarem, po gościńcach—jechał i śniał się sam z siebie. Podróż go uleczyć nie mogła.

Zima nadchodziła, gdy pierwszy nłamek dziennika, przeznaczonego dla Wojtki, — doszedł do Makolągwy.

— „Piszę do ciebie z Wiednia — rozpoczynał Sylwan.—Podróż, aż tutaj przebyłem w rodzaju

jakiegoś zdętwienia i półsenności. Mój dworek zostawiłem na łasce ludzi prawie mi nieznanym; prosiłem tylko pani Bończyny, aby na nich miała oko...

„Dałem dowód wielkiej mojej powolności dla ciebie, kochany Wojtku, a razem wielkiej jeszcze słabości własnej, idąc za twoją radą.

„Znasz moje położenie i wiesz, że z niego wyjścia niema innego, tylko drogą fałszu i kłamstwa, którem się ja brzydzę; wiesz i to, że samobójstwo mam za ucieczkę z placu boju. Co teraz z tem życiem zrobić? w istocie było zagadką, ale się z niem pieścić i koniecznie je sobie osładzać, gdy los mój zdaje się się co innego mi przeznaczać—nie wiem czy się godziło.

Jest to wyzywać na rękę ten fatalizm nieunikniony—niezbyty, który, bądź co bądź, stoi ponad nami i ponad siłami, jakimi rozporządzamy. Nikt nie może uniknąć tego, co w kolebce przyniósł ze sobą jako swą dolę niezwycięzoną....

„Jestem też pewien, że mita rozrywka, do której namówiłeś mnie — niewiele osłodzi, a może stan duszy uczyni bolesniejszym jeszcze. Wówczas gdyśmy z tobą razem i z Bochenkiem przebiegali te Włochy, które ja teraz nanowo mam widzieć, w innych zupełnie warunkach — byłem całkiem różnym od dzisiejszego mego *ja* zapatrywa-

łem się inaczej na życie,—położenia własnego nie oceniałem jak teraz.

„Śmiejąc się. unosząc. marząc, przebiegaliśmy ten kraj uroczy. który ja teraz będę widział innemi oczyma, a i on od czasów tych wielce się zapewne odmienił. Będzie to więc jakby spotkanie się dwóch przyjaciół, którzy po latach wielu schodzą się znów, ale poznać się już nie mogą.

„Niestety—kochany Wojtku—prawo nienastannej metamorfozy jest najogólniejszem dla wszystkich istot, dla wszelkiego bytu—i niema z niego wyjątków. My tak dobrze podlegamy mu. jak granitowe skały, jak piasek na dnie morza, obłoki—i co tylko istnieje.

„Nie nie trwa — wszystko się „staje“ i znika. My od kolebki do grobu jesteśmy też w ciągłych przeobrażeniach. chociaż do wielu z nich się nie po-czuwamy, bo przychodzą one powolnie i stopniowo.

„Od czasu naszej podróży potwierdzenie tego prawa wyryło się dobitnie na wszystkim, co po raz drugi teraz spotykam. Znajduję wprawdzie nienaruszone monumenta, któreśmy oglądali razem, — ale. uwierzysz ty temu? one nawet przez zmianę tego, co je otacza: oczów naszych i stosunku naszego do nich, całkiem mi się dziś wydają inaczej.

„To prawo metamorfozy musi mieć przecie ra-

cyą bytu.—gdy jest zasadniczem. Nas boli ono, bo mybyśmy pragnęli trwać i zapewnić byt sobie—ale co ten proch. jakim my jesteśmy, znaczy wobec ogromu, w którym wiruje?

„Przejeżdżałem przez Kraków. Pamiętasz Bochenka, jak zachwycił się wśród tych dosyć zaniedbanych ruin, tej wielkiej wspaniałej konchy, z której wyszło ciało. co ją ożywiało, a napełniły drobne istotki... Zmieniło się tu wiele też na lepsze, ale powoli idzie metamorfoza...

„Dawne życie zbyt głębokie tu wyręło koleje, których nowe, daleko słabsze, zatrzeć tak łatwo nie potrafi.

„Żywej duszy znajomej, nikogo, coby miał jaki związek ze mną, albo mnie mógł obchodzić. Daje to wielką swobodę, ale razem czyni człowieka niby upiorem z innego świata. odwiedzającym niewidomie teatr. na którym miejsca niema dla niegosamego. Zabawiłem tu krótko. nie zadając sobie pracy spełnienia obowiązków sumiennego turysty. Miasto mi się wydało ubogiem, smutnem — a! i brudnem!

„Nie wiem jak komu, ale dla mnie... brudy wszelką odejmują poezją przedmiotom. Natura, gdy niszczy, dokonywa tego obowiązku z jakimś srogiem dziewiczym, pokrywa roślinami rany i śmieciśka, osłania zgniliznę. przerabia ją co najrych-

lej na życie, na formy wdzięczne. Człowiek, nawet, gdy pragnie zapobiedz zniszczeniu, nie umie działania czasu złagodzić i upięknąć. Czego się tknie, to zwała i wykoszlawi... Nie gniewaj się na mój pesymizm... Powiedz sobie, że to moja choroba i znoś ją.

„Wiedeń doniepoznaną się przerobił, a miałbym jemu i wszystkim innym miastom odmładzającym się to do zarzucenia, że zbyt radykalnie się odradzają. Jakgdyby dla historyi i dla poszanowania tej przeszłości, którą nam wydzierają prawo zniszczenia, nie można było nowego Wiednia zbudować, nie naruszając starego, i nie zachowując go jako relikwii??

„Człowiek burzy tu nielitościwie... W środku miasta wiele pozostało jeszcze może z dawnych czasów, ale to codzien znika. Odmładzają się domy, bielą i różują kamienice, pałace niby w starym stylu przeistaczają się na wcale nowe hybrydy, do których ani przeszłość ani terażniejszość się nie przyzna.

„Tradycyjny charakter ludności wiedeńskiej znalazłem natomiast mniej zmienionym niż fizjognomią miasta. Zawsze to tażsama aglomeracja zlewających się narodowości, których mieszanina wyradza prześliczne typy, bo natura jest wybredną; zawsze to ten lud grzeczny, miękki, lubiący



się bawić, odpoczywać. marzyć a niebardzo pracować.

„Katonów tu szukać, tu.—śmiesznie-by było; ale Lukullów znaleźć łatwo... i Sardanapalów na różną skalę. Dla mnie ten bawiący się wesoły Wiedeń, przez sprzeczność może ze stanem mej duszy—był przykrym. Wydał mi się płochym; życia tu nikt poważnie nie zdaje się brać. a wszyscy zużytkowują je chciwie.

„Obejrzawszy się zaledwie. jutro ruszam znówu przez ten Semmering, który przebywaliśmy razem. w ciągłych zachwytach; ale nie zajadę do Tryestu i wprost podążę do Wenecyi. Nie mam ochoty już. jak wówczas, ze statku, o wiosennym poranku, patrzeć na wynurzającą się z łona morskiego Królowę Adryatyku—zdetronizowaną.

„Jestem w Wenecyi.... ale przybycie moje do niej, było w zupełnej sprzeczności z owym pamiętnym porankiem wiosny, gdyśmy stali na pokładzie statku, niemi ze zdumienia i radości. Byliśmy młodzi.

„Znalazłem się tu nocą, wieczorem raczej, dżdżystym. smutnym. a wędrówka gondolą od dworca kolei do gospody pod księżycem — była pełna zgrozy i fantastyczności.

„Z łona ciemności wilgotnych—wynurzały się się odrapane mury, brudne ściany, pleśnią okryte. ruiny domowstw, opustoszone jakieś i jakby wy-

marłe budowy. Cisza, pluskaniem wiosel prze-  
rywana tylko. noc poprzerzynana żółtymi pasami  
jakiegoś światła cmentarnego; na kanałach. jak  
katafalki czarne. stojące ogromne barki nawpół  
pogniłe; gdzieniegdzie przesuwający się cień ży-  
wej istoty w łachmanach: walące się słupy, do któ-  
rych niegdyś przymocowywano gondole: wszyst-  
ko to. jakby we śnie chorobliwym, przesuwa się  
przed oczyma mojemu.

„Wenecya. nietylko mi się nie wydała piękną,  
ale napełniła mnie wrażeniem jakiejś zgrozy i nie-  
wysłowionego smutku.

„W Lunie, zamiast tego pokoju, który mieli-  
śmy na dole. a gdzie naówczas tak było słonecz-  
nie i wesoło, dano mi w kurrytarzu izdebkę jakby  
więzienną, małą, cuchnącą wyziewem tych kana-  
łów. które wieczną parują zgnilizną.

„Nie miałem nawet ochoty kilka kroków zrobić  
do kawiarni Floryana. która o tej porze jeszcze  
bywa otwartą i miewa gości.

„Nazajutrz, szczęściem. wyjrzało słońce. i ja  
wywlokłem się z gospody na plac Ś-go Marka.  
ten sławiony, najpiękniejszy salon w Europie.

„Oryginalny on jest — lecz już mi się nawet  
pięknym nie wydał. Wszystko postarzało i zma-  
lało mi w oczach; Ś-ty Marek jakby się głębiej  
jeszcze zapadł w ziemię.

„Za czasów austryackich — więcej tu było ży-

cia i ruchu, bo *Tedeschi* obudzali opozycją. a walka wszelka nie daje usnąć. Dziś Wenecya trochę rozspana. ale łąta podziurawione pałace. — Nie poznałbyś *Fondago dei Turchi* tak się wyelegantowało tylko, że jako ruina daleko było piękniejsze — dziś straciło charakter.

„Pełno pałaców z poezyi przetłómaczonych na prozę.

„Gondolierowie — nie śpiewają! Jest mowa o tem. aby pozasypywać kanały i skasować gondole. Któż wie? przyjdzie i do tego. że wozy będą turkotać po ulicach. Jedną taką — szeroką. nową a pustą — widziałem już — i przeraziła mnie trywialnością swoją.

„Dziś, gdy Austryaków niema — któż wie? wzdychają może za nimi!...

„Wiecznie tażsama historia człowieka. który w danem położeniu robi. co może. aby je uczynić nieznośnem. wywraca. co tylko się da obalić, i na ruinach wzdycha.

„Ale to jest — życie. Logiki w niem na małą skalę szukać — jest śmieszną pretensją: istnieje ona tylko w massach i wielkich czasach.

„Zimno mi tu, i nie dziwuj się. że krótko bardzo rozejrzawszy się po tej Wenecyi nowej, jedynym tchem polecę do Genui.

„Medyolan . pomnę. Zostało mi wspomnienie

tego dachu tylko zasadzonego lasem posągów, po którym błędziliśmy razem—i kościoła Ś-go Ambrożego; nie mnie tam dziś nie pociąga. Spasalizio pewnie się jeszcze restauruje, a Wieczerra Leonarda do reszty z murów opadła.

*Genua.*

„Nie dostrzegłem w niej wielkiej zmiany od czasu, gdyśmy tu razem gościli. Miasta portowe nie wiele pono zmieniają swą fizioznomią. Jakbym tu był wczora, tylko ani Bochenka, ani ciebie niema. Tęskno mi.

„W pałacach wszystkie Van Dyki na miejscu, stare sprzęty, których nikt nie używa, powolnie jedzą robaki. Na cudownych podwórzach szemrzą stare fontanny. Zdaje się, że tezsame figury, jakieśmy tu spotykali dawniej na Piazza Sarzana, chodzą po nim dziś jeszcze.

„Ale moja młodość i tu nie przyszła się ze mną przywitać. Porównanie wrażeń pierwszych z terazniejszymi upokorzyło mnie. Straciłem władzę widzenia piękna; a kto ją w sobie zatrze, tego już nic w świecie nie zachwyci.

„Wycieczek w okolice, jakeśmy z tobą tak ochotnie robili niegdyś, nie mam najmniejszej chętki przedsiębrać.

„Umyślnie spytałem: co-by do widzenia było?  
Odpowiedziano mi.

„— Campo Santo.

„Miało to być coś nowego—pojechałem. Cmentarz przepyszny, jak z igły. wspaniały. majestatyczny. zimny i nic nie mówiący. ale—doskonały interes.

„Jest to przedsiębiorstwo akcyjne. które dobre przynosi procenta. szczególnie, gdy ludzi dużo umiera. Genuńczycy tym pomysłem są dumni, zyskali monumentalnego coś i zrobili dobry interes.

„Nie jest-że to w duchu wieku: wszystko aż do łez wyzyskać? Gdy jedni płaczą, drudzy obra-  
chownją procenta. Postęp ogromny.

„Campo Santo w Pizie. posypane drogą ziemią przywiezioną z Jerozolimy, ze swemi freskami dantejskimi, — to było wcale co innego.

„Należy zanotować, że nowe Campo, w którem są piękne a trywialne posągi, daje zarobek rzeźbiarzom. Każdy, co się szanuje trochę. musi się o monument, choćby z szarego postarać marmurn. Szary marmur na grobowcach wcale przy-  
zwoicie wygląda, a sędzę, iż od białego z Carrary tańszym być mnsi.

„Cznję się trochę zmęczonym. ale cóż robić w Genui? I tu nikt mnie. a ja też nikogo, nie znam.

„Miałem myśl puścić się tą naszą drogą starą — Korniszy, ale ją popsuła kolej żelazna. Nizzy,

Monaka. Cannes,—nie jestem ciekawy. Wierzę na słowo, że tam cudownie pięknie być musi i że kunszt wiele zrobił. gdzie tak łatwo stworzyć coś było.

„Zawrócę się więc pewnie nazad i wprost pojedę do Florencyi. gdzie zabawię dłużej....

„I za to ręczyć nie mogę. Gdy jadę. zdaje mi się, że się będę mógł zatrzymać i zająć; gdy przybędę. niesmak mnie ogarnia, nic nie zaciekawia i nie wiąże: ruszam więc dalej.

„Florencya, odczasu, jakeśmy ją zwiedzali razem. przeżyła straszną kryzys. na chwilę była stolicą; a teraz ma być znowu pustką. tem więcej raziącą. że rozmiary jej urosły i pustynia stała się widoczniejszą.

„Jest to jakby rozwiedziona małżonka królewska—płacząca po tym. co ją opuścił, i żal mająca do niego.

„Chciałem się wybrać do gospody z grotą — w której — pamiętasz. jedliśmy tak wesoło podwieczorek tak obrzydliwy... Jużem się przygotował na tę wycieczkę. już miałem kapelusz w ręku. Przyszła myśl—po co? i zostałem w miejscu. słuchając z okna hotelu ryku osłów w porcie. Co za chór! jaka muzyka! Orkiestra Wagnera!

*Bolonia.*

„Nie pytaj mnie: dlaczego jechałem na Bolonią? a nadewszystko: dlaczego się tu zatrzymałem?

Dwie pochyłe wieże ze swemi dziwaczniemi imionami przyciągnąć tu nie mogły, bo niema dla mnie przykrzejszego widoku nad owe npadające budynki, które paść nie mogą. Nekropolis drugiego piętra pod Campo Santo także mnie tu sprowadzić nie mogła, bo nie jestem, dzięki Bogu, archeologiem. Przypomniałem sobie cichy ów ogromny hotel Niemca, w którym było nam dosyć dobrze i miło. Teraz znalazłem w nim, zapewne przypadkiem, mnóstwo Anglików popasających.

„Po obiedzie zeszedłem na dół w to podwórze, gdzieśmy kawę pili, i siadłem przy stoliczku. Bawię się teraz odgadywaniem ludzi, po twarzach, i peryodów ich bytu, po fizioognomiach. Jedni są w nadziejach, drudzy już u celu.—zdziwieni, że to co osiągnęli, teraz się im inaczej wydaje, niż zdawała; inni wreszcie już po nadziejach i po rozczarowaniu, a najbiedniejsi—w stadium powtórnej próby.

„Ja stoję już po za temi wszystkiemi szrankami—i już się niczego nie spodziewam i niczego nie boję.

„Przysłuchując się rozmowom prowadzonym dokoła, nagle usłyszałem dźwięki—naszej mowy. Uwierzysz ty? Zadrżałem cały! Uczyniło to na mnie wrażenie, jakiegom się nie spodziewał.

Odosobniona, siedziała para młodych ludzi—naturalnie—on i ona. Domyślałem się, że odby-



wają podróż poweselną, według nowego obyczaju. Pani, blada i zmęczona, wkładała pracowicie rękawiczki, widocznie tylko, aby być czemś zajętą; on patrzył na posadzkę kamienną, stukając w nią laseczką. Kiedyniekiedy zamieniali parę słów obojętnych. Oboje mieli już coś sobie do wyrzucenia. On jakąś wycieczkę ułożył; ona była jej przeciwną. Groziło to rozczarowaniem.

Szczęście ich wyglądało dziwnie już skrzeplem i zinnem. Miłość zeschła na chleb powszedni, a klimat, niebo i czarowny widok Włoch nie mogły jej odżywić. Uczucie to ma także swój punkt kulminacyjny, którego dosięgłszy, powoli zniża się ku horyzontowi.

Brzmiały mi dźwięki tej mowy, jak coś czarodziejskiego.

Wiesz to z obserwacji psychologów, że człowiek, umierając, nie może mówić innym językiem — tylko tym, którym pierwszy raz w dzieciństwie przemówił. Nawet w tak obumarłym, jak ja, człowieku muzyka tego słowa mojego ducha — grała czarodziejsko.

Nie wiem, czym rozumiał i uważał, co mówili; nie potrzebowałem słów, aby się domysleć, co mieli w duszy — słuchałem tylko czarownych dźwięków języka .. Mój Boże!!

„Jutro, niewidząc Ś. Cecylii, ani całej szkoły Bolońskiej w Muzeum, wyjadę do Florencyi.

„Miasto, ze swym ogromem pustym, wymarłe, nbogie, śpiące—jak bardzo wiele miast włoskich—sprawia na podróżnym smutne wrażenie — jakby wczoraj przeszedł przez nie mór lub wojna. Mury olbrzymie, galerye na milę długie, a pod niemi ledwie się powoli przesuwa jakaś sieroca postać —ze znużeniem i ospałością, jakby się jej żyć nie chciało. Bolonia z tych czasów, gdy uniwersytet z całego świata sprowadził uczniów tysiące — nie istnieje. Z europejskiej wszechnicy stała się małą, prowincjonalną. I tu niestałość rzeczy ludzkich, ustawiczna zmienność prądów życia, straszliwie się uwydatnia.

„Któż wie? za kilkaset lat, co będzie z miastami europejskimi? Ruiny Palmyry i Tebów!! Cywilizacya i życie mogą się przenieść do Afryki lub Ameryki. Stara Europa pozostanie schronieniem inwalidów i porośnie chwastem na ruinach.“

Wierzbęta, w którego wstąpiła nadzieja przywrócenia przyjacielowi nazwiska i położenia w świecie, jakie mu się należało – ostrożnym był nadto. ażeby zawczasu się zwierzyć albo pannie Michalinie. albo samemu Sylwanowi.

Wiedział, że Horpiński byłby się oparł wszelkim staraniom. a pannie nie chciał przedwcześnie obiecywać, co się jeszcze mogło nie ziścić.

Pracował nsiłnie, gorączkowo. ale w największej tajemnicy. Tymczasem to, co Pruszczyć obiecywał tak rychło i tak łatwo. przeciągało się bez końca.

W Zaborowie stara Zawierska chorowała. Pomimo, że interessa zostały uratowane, sam sposób zagadkowy, w jaki się to dokonało. nie podobał się jej, a rozwiązanie nie zaspakajało. W miarę jak na zdrowiu coraz się czuła gorzej, niepokoiła się o los Misi, a niepokój oddziaływał na zdrowie. Nikła tak w oczach,—a panna Michalina, bystro widząc wszystko, czytając w jej duszy, nie mogła

się ludzi; wiedziała, że była przyczyną tego stanu matki.

Gryzła się tem, podwajała czułość, starania; płakały obie: nic to nie pomagało.

Zawierska miała stryjecznego brata, z którym stosunki bliższe od bardzo dawna były zerwane, nie dla tego, ażeby się dwie te gałęzie rodziny poróżniły, ale z powodu, że dawniejszy pan Tadeusz Borak, a dziś baron galicyjski von Borak, mieszkał w Wiedniu, gdzie oddawna dosyć wysokie zajmował urzędowe stanowisko.

Nosił on już tytuł excellencyi. miał być bogatym. żonaty był z Węgierką. i choć się narodowości nie zaparł, samem życiem stał się jej prawie obcym. Bardzo rzadko, kiedyniekiedy, pisywano do siebie,—ale wiedziano o sobie. Excellencya miała syna i córkę, dobra w Galicyi i majątności na Węgrzech, pałacyk w Wiedniu i willę w Baden.

Mówiono o panu baronie jako o bardzo zacnym, wykształconym, ale nieco skosmopolityzowanym człowieku. W strapieniu swem. szukając komu by się zwierzyła, Zawierska napisała bardzo długi, smutny a szczery list do barona. Dosyć długo nie odbierała odpowiedzi: naostatek nadeszła grzeczna. uprzejma. krótka, że pan baron Tadeusz odwiedzi Zaborów i starać się będzie, lepiej

poznawszy położenie. radzić i przyjść w pomoc Zawierskiej.

List ten poruszył, ożywił. pokrzepił niemal biedną matkę, która się rzuciła natychmiast do przygotowań na przyjęcie kuzyna; chciała, aby jej dom, pomimo tego, co ucierpiała, nie wydał się excellencyi zbyt opuszczonym, zacofanym, barbarzyńskim.

Misia była trochę przeciwnego zdania: utrzymywała, że należało niewystawnie, z wielką prostotą przyjąć barona—ale matce chorej się sprzeciwić nie mogła. Odświeżono więc, co się tylko dało, i czekano na zapowiedziane odwiedziny. Poprzedziło je oznajmienie dnia i godziny niemal.

Zaborów mógł wystąpić w całym blasku swego wdzięku starej wiejskiej szlacheckiej rezydencyi.

Baron Tadeusz od tak dawna był najpierw obywatelem Galicyi, potem urzędnikiem austriackim w Wiedniu, iż nie mógł nie uleść prawu przetwarzania się stosownie do środka tego, w którym życie płynie. Stał się typowym szlachcicem galicyjskim,—mówmy panem, (miał do tego prawo)—i Wiedeńczykiem, a naostatek Wiedeńczykiem biurokratą. Każda biurokracya ma swe cechy odrębne.

Powierzchnowość miał arystokratyczną, formy najwykwintniejsze, znajomość języków wielką, bo

w Austrii jest ona warunkiem społecznego życia. Zresztą był to człowiek prawy, uczciwy, przytem praktyczny i szanujący przyjęte zwyczaje, niesięgający myślą wysoko. spokojny—ale godność swą arystokratyczną, imię. stanowisko ceniący wielce.

Podział społeczeństwa na klasy. który dotąd nawet w życiu parlamentarnem Austrii się utrzymał. był dla niego artykułem wiary.

Domyśleć się łatwo dopełniających przymiotów barona. który lubił sztukę. miłował muzykę. czytywał. co powinien był czytać.

Sześćdziesięcioletni przeszło. baron nie wyglądał nawet na pięćdziesiąt. tak się starał nie starzeć i być krzepkim. Mówiono cicho o jego życiu w Wiedniu bardzo różnie, lecz przyzwoitość była zachowaną.

Syn Alfred służył już wojskowo. ale słabe jego zdrowie. jak mówiono. zmusiło go do porzucenia służby. Wychowany przez matkę Węgierkę (teraz już nieżyjącą) mając wujów na Węgrzech. Fredek potrosze zarywał na madziara. Był to młodzieniec wychowany popańsku. nadzwyczaj pieśczoney, delikatny, dobry. łagodny—słaby. ale pomimo to. naprzekór swej naturze, udawał zu Chowatego Węgra. Ta sprzeczność istotnego charakteru z fiziognomią stanowiła oryginalność

Fredzia. Ojciec był do niego nadzwyczaj przywiązany.

Młody baron był piękny jak laleczka, tak jak Węgry i Węgrowie być umieją, gdy się im podoba.

Jednego poranku wiosny zjawił się powóz, kołmi pocztowemi zaprzężony, i w ganku wysadził barona Tadeusza, Fredzia i kamerdynera, który zapytał o apartament wyznaczony dla gości.

Panna Michalina chciała wyjść na przywitanie, zastępując trochę cierpiącą matkę, lecz widok Alfreda ją wstrzymał.

W parę godzin potem wszyscy razem byli w salonie i — robili prawie nową znajomość z sobą, bo baron i Zawierska zaledwie niegdyś się spotykali na świecie.

Baron rozpoczął od pochwał rezydencji w Zaborowie; Fredek, naturalnie, dostał się do zabawiania pannie Michalinie. Dzień zeszedł bardzo przyjemnie, bo wszyscy czuli się ku sobie sympatycznie usposobionymi.

Panna Michalina pod madiarską butą Fredzia doskonale odgadła dobry i łagodny jego temperament. Okazało się po południu, iż ex-huzar był namiętnym, choć niebardzo szczęśliwym, akwarellistą. Mówiono o sztuce, o Wiedniu, o galerii, o Makarcie... o wystawach — o nowych książkach.

Tymczasem Zawierska na uboczn zwierzała się baronowi ze wszystkich trosk, z położenia. z obaw o przyszłość.

Baron dodawał jej mężstwa — starał się natchnąć nadzieją najlepszą. ofiarował usługi — zachęcał, aby przybyły do Wiednia dla doktorów i rozrywki.

Nazajutrz kilka osób z sąsiedztwa zaproszono na obiad, między inuemi i naszego Wierzbietę — starano się przyjmować i zabawiać, aby dłużej tu zatrzymać Excellencyą. Baron się doskonale bawił: najpierw, że miał sobie za obowiązek okazywać to przez grzeczność. powtóre. iż mu się dosyć tu podobało wszystko. a szczególnie panna Michalina.

Kochał on Fredka, znał jego słabość. szukał mu kobiety, któraby go poprowadzić mogła, nie czyniąc męczennikiem — i Misia wydała mu się jakby stworzoną na idealną żonę dla syna.

Nie potrzebujemy mówić nawet. że Fredek się zakochał pierwszego wieczora; należało to do jego obyczaju. rozmiłowywał się niezmiernie łatwo, ale też zapominał prędko. Serce miał bawełniane.

Pierwszego wieczora też p. Zawierska, spoglądając na Michalinę przy Alfredzie stojącą. westchnęła, myśląc jakaby to była para endowna;



nie sądziła jednak, aby Fredek taką wiejską panienką mógł się zaspokoić, a tem mniej ojciec.

Przy obiedzie, baron, gdy chciał, czarujący uprzejmością, zdobył serce dziekana, dwu sąsiadów, p. Zawierskiej, a Wierzbicie się wydał bardzo miłym. Na Fredka spoglądano, nie mogąc się w nim rozczytać naprędce. Pół Polak, pół Węgier, trochę Austryak, dziwnie wyglądał, obco—ale nic mu nie można było zarzucić.

Wierzbęta z powodu stosunków z Zawierskimi, czuł się w obowiązku zaproszenia tych gości do Makolągwy, choć wiedział, że go żona za to połaje. On się też chciał swoją szlachecką chatą i szczęściem pochwalić.

Zaproszenie przyjęto.

Zawierska w pierwszym dniu bardzo zręcznie kazała badać kamerdynera barona: jak długo miał zamiar tu bawić. — Odpowiedź brzmiała: dni parę—gdyż urlop upływał i baron musiał się stawić do Wiednia.

Tymczasem trzeciego dnia mowy o wyjeździe nie było. Baron się nie kazał nawet prosić—mówił ciągle, że mu tu dobrze.

W rozmowach poufających z Zawierską baron opowiadał jej o sobie, rodzinie, wojskowym bycie, nadziejach, z wielkimi szczegółami. Często też mówił o swoim Fredku i o jego przyszłości, o postulatach małżeńskich dla niego.

Gdy się to działo w jednym końcu salonu, w drugim Fredek się kochał i starał przypodobać kuzynce, dla której miłym był, lecz razem bardzo obojętnym. Przyznała się przed matką złośliwie, że jej przypominał ślicznego, o jedwabnych włosach i różowym nosku, delikatnego affen-piuczera.

Zawierska się rozgniewała za porównanie; ale miał nawet takie czarne, jak galeczki, oczy błyszczące a nie mówiące nic.

Fredek trzeciego dnia był tak rozkochany, iż się ojcu przyznał do tego.

Baron, który tych miłości przeżył już kilka w synu, odpowiedział mu, że pragnąłby, aby miłość ta była stałą, bo p. Michalina na nią zasługiwała.

Rozumie się, iż pomimo rozmówiania się i półsłów, których Misia zrozumieć nie chciała lub brała je jako dowody przywiązania braterskiego, nie przyszło do żadnych dobitniejszych oświadczeń.

Baron z synem, zabawiwszy przez tydzień, odjechał, zapraszając do Wiednia i—obiecując się też sam utrzymać nadal ściślejsze stosunki.

Mówił o tem, że jesliby sam przybyć nie mógł, przysła przynajmniej Alfreda.

Pani Zawierska czuła, że mógł osnuć plan jakiś—ale nie śmiała jeszcze uwierzyć w tak wielkie szczęście.

Zaraz po odjeździe tych panów rozpoczęły się wynurzenia matki, która gwałtownie dowodzić poczęła, iż gdyby Fredzio się starał, Misia powinna by wyjść za niego. Dodawała, że toby jej życie przywróciło, zdrowie oddało.

Michalina milczała smutna. Pocieszała się tem, iż Wiedeńczyk poważnie o niej myśleć nie mógł.

Tymczasem, niestety! Alfred, któremu ojciec dopomagał do rozmiłowania się, którego przesładował, podbudzał, utrzymywał w tym stanie rozmarzenia—wistocie zakochał się mocniej, niż był zwykł, w Zawierskiej.

Wziął to tak dalece do serca, że w miesiąc potem, pod pozorem bardzo niepozornym, odwiedzenia majątku galicyjskiego, niezbyt odlegle położonego, przybył do Zaborowa.

Miało to już znaczenie dobitne.

Panna Michalina pobladła, matka zrobiła jak najserdeczniejsze, pieścizotliwe przyjęcie. Freddek nie odstępował pięknej knzynki.

Wczasy bytności jego powtórnej w Zaborowie nadjechał z wizytą Wojtek. Nie potrzebował wielkiej przenikliwości, aby się domysleć, jak rzeczy stały. Przywiózł był właśnie Misi urywek z dziennika podróżującego Sylwana

— Mam pani powinszować? — zapytał pocichu, wskazując oczyma na Alfreda, który nadskakiwał mamie.

— Wistocie. byłoby to może do powinszowania każdej innej istocie, mniej niż ja zepsutej—odezwiała się Misia.—Baron Alfred jest i miłym i dobrym chłopcem—ale....

Spuściła oczy.

— Biedny baron! — westchnął Wojtek — żal mi go.

— Kto z nas biedniejszy, ja nie wiem — odpowiedziała Misia.—Przed panem, jako opiekunem i przyjacielem, nie potrzebuję się taić. Matka moja tak sobie życzy tego—małżeństwa. tak jest chorą, podrażnioną, nieszczęśliwą. tak ono jej potrzebne jest dla uspokojenia—że....

Westchnęła p. Michalina, niedokończywszy.

— A! pani!—zawołał Wojtek litością zjęty — Matka tego po pani wymagać nie może, a pani takiej ofiary czynić nie powinnaś!

— Dlaczego? — odparła, oczy podnosząc, Michalina.—Tak, byłoby to ofiarą, bośmy z pewnością nie stworzeni dla siebie; ale czyż godzi się, aby dziecko, przyjmując ofiary ciągle, nie chciało jej nigdy z siebie uczynić? Szczęście ludzkie zawsze jest bardzo problematycznym. a poświęcenie się daje spokój ducha, który nie jest do pogardzenia.

Coś, jakby łała niedokończona, zakręciło się w oczach Michaliny.

Wojtek, który o sprawie dokumentów, tyczą-

cych się pochodzenia Sylwana, miał bardzo niepewne wiadomości, nie chciał nawet napomknąć o tem Michalinie, choć bardzo pragnął coś jej powiedzieć.

Gorąco tylko oparł się tej myśli ofiary dla matki—i radził w ostateczności przynajmniej starać się zyskać na czasie.

—Pan nie wiesz—dodała Michalina—że matka moja właśnie, czując się może gorzej, niż jest w istocie, nalega na pośpiech; utrzymuje, że nie ozdrowieje, póki nie zapewni mi przyszłości.

Fredzio, szczęściem, przy tej drugiej kilkodniowej bytności w Zaborowie nie śmiał, czy nie mógł, ani matce, ani córce oświadczyć się wyraźnie.

Misia, zwlekając, rozumieć go nie chciała. Wyjechał więc bardzo smutny: ale w parę tygodni potem Zawierska odebrała list od starego barona z Wiednia, w którym on już jasno stawiał kwestyą—i oświadczył się w imieniu syna.

Z bijącym sercem matka, niemal przyklękając przed córką, obejmując ją, pieszcząc—dała pismo do przeczytania. Rozpłakała się Misia pocichu i oddała je, nic nie mówiąc.

Możnaż odmalować, co później zaszło między niemi? Matka tak kochała córkę, Misia tak była przywiązana do matki! Zawierska byłaby nawet zwyciężyła odrazu, ale spostrzegła na twarzy córki taką boleść i trwogę, że sama pomiarkowa-

ła, iż powinna była dać przynajmniej czas do namysłu i oswojenia się z tą—ofiara.

Odpowiedź więc nie brzmiała odmownie, ale Zawierska zaklinała o wytrwanie i cierpliwość. Tłómaczyła to charakterem córki, który potrzebował czasu, aby wrażeniu uleść i postanowienie wyrobić w sobie stanowcze. Zapraszała Alfreda, kończąc list zapewnieniem, że wszystko się skończy szczęśliwie i że ona będzie najszczęśliwszą. los córki powierzając kochanemu baronowi.

Była to tylko zwłoka chwilowa—a koniec łatwo dawał się przewidzieć. Michalina na duchu się przygotowywała do ofiary dla matki.

Straciwszy nadzieję jakiegoś szczęścia marzonego dla siebie, chciała przynajmniej dać je dobrej, kochanej swej matusi.

Baron nie budził w niej wstrętu. Wielkiej niedoli z nim, tak jak wielkiego szczęścia, się spodziewać nie mogła. Był dobrym, łagodnym i kochał się w niej, ale zarazem była to jedna z tych istot, których ani umysł ani serce nigdy się wysoko dźwignąć nie dadzą. Można w nim było przewidzieć namiętnego kochanka, łagodnego męża, płochego później człowieka i zimne stworzonko, które w sobie żyć będzie, nikomu się nie naprzykrzając, aby tem własny okupić spokój.

Misia mówiła sobie, pocieszając się, że i gorzej trafić się mogło.

Wierzbęta, który o wszystkim był zawiadomiony, przeląkł się niezmiernie. Miał nadzieję, że Sylwana dźwignie i postawi go na równi z Michaliną, ale na to potrzeba było czasu; niemogąc się jej wypowiadać otwarcie, pobiegł, zaklinając ją i powstrzymując matkę, ażeby nie spieszyła ze słowem stanowczem i ostatniem.

Michalina z mowy jego domyślać się mogła, iż coś przedsiębrał, czegoś się spodziewał, lecz posądzała go o marzycielstwa, nie miała wiary—przyjęła go obojętnie.

W dnszy już ofiara była spełnioną. Wojtek tymczasem, obawiając się, aby zwłoka i niezręczność Pruszczyca w chodzeniu około interessu nie zniszczyły wszystkich jego nadziei, rozpaczliwie wybrał się na Ukrainę.

Pocziwy przyjaciel musiał nietylko poświęcić swój byt spokojny, rzucając dom, w którym mu tak dobrze było, ale w dodatku kłamać przed Terenią, której się przyznać do tych zachodów awanturniczych nie śmiał.

Do Pańkowszczyzny Pruszczyca trafić było łatwo, zastać go w niej—daleko trudniej. Handlował końmi, chartami i jeździł gdziekolwiek mu zielony stolik zapachniał. Musiał na tem pustkowiu Wojtek niecierpliwie czekać półtora dnia na gospodarza, napół głodny.

Pruszczycowi gość był nie na rękę, aby mu je-

go gry całej nie podpatrzył, ale w końcu przekonawszy się, że on sam ani z Nitosławskimi, ani z O. Leoncyuszem nic nie robi. zdecydował się za pewnem wynagrodzeniem Wierzbięcie wskazać, gdzie się miał udać i wesprzeć go radą.

Wojtek po niewielkim namysle postąpił sobie heroicznie: pojechał do księdza, z którym się rozmówił z otwartością i szczerością uczciwego człowieka. Znalazł go tak usposobionym, że tu już najmniejszej trudności nie było — dokumenta już miał w rękę, a duchowny nawet nic znaczącego podarku przyjąć się wzbraniał.

To była dopiero połowa dzieła, bo Nitosławscy, rozporządzający tu środkami i stosunkami potężnymi, mogli obalić łatwo wszystko.

Wierzbięta, który ich dawniej poznał na polowaniu u starego Pruszczyca, wprost pojechał do nich z postanowieniem rozmówienia się otwarcie.

Samego p. Wacława zastał w domu, który go przyjął z tą gościnnością staropolską, jakiej u nas mało kto się wyrzekł dla nowszego obyczaju. Wierzbięta tłumaczył swe przybycie interessami, które go w te strony sprowadziły.

Zaproszono go na obiad; p. Wacław kazał pokazywać konie swoje, oprowadzał po stajniach. chwalił się psami; rozmowa o wszelakim sporcie zajęła czasu dużo. aż pod wieczór.



Zagaić rozmowę o tem, co było istotnym celem podróży. nie łatwo potrafił Wierzbietą.

Potrzebował całej swej odwagi. czerpanej w uczuciu przyjacielskiem dla Sylwana, aby mógł naostatek przystąpić do opowiadania.

Począł je od opisu swej podróży z Sylwanem i zawiązania z nim braterskiego stosunku: — opowiedział potem o bytności Pruszczyca otwarcie, o tropie. po jakim wpadł na ślad dokumentów. o ich odzyskaniu — i. zdumionemu aż do osłupienia p. Wacławowi. rzucił otwarcie to pytanie:

— Będziecie panowie. czy nie, stawać przeciwko rehabilitacyi człowieka. który się nic nie domaga oprócz nazwiska. do jakiego ma prawo? Wyposażony dostatecznie, wiem. że do majątku rosć nie będzie najmniejszych pretensyi.

Rozporządzacie panowie takimi środkami. iż do walki z wami. ani on, ani ja dla niego. wystąpić przeciw wam nie mogę. Otwarcie więc powiadam: zrzeczymy się wszystkiego. jeżeli dobić się będzie potrzeba prawem.

— P. Wacław długo stał zamyślony i milczący — błady i jakby w walce z samym sobą.

— Słuchaj pan — rzekł — wiesz. że ten nikczemny Pruszczyk już nam sprzedaż dokumentów proponował. Odrzuciliśmy ją z pogardą. O sprawie tej wie on, wiesz pan, wiedzieć będzie wielu — i nieznając okoliczności — sądzić nas zechcą. Ja

i brat mój—myślimy, że postąpić najuczciwiej—  
gdy oporu stawiać nie będziemy.

Wolimy mieć przyrodniego brata—niż na pa-  
mieci naszej plamę jakąś — postępku, któryby  
nam uwłaczał.

Jeżeli dokumenta dowiodą małżeństwa ojca,  
narodzenia syna — niech Horpiński nazwie się so-  
bie Nitosławskim. To nas do niczego nie obowiąz-  
zuje. Co do majątku, sami mówicie, że się uznaje  
wyposażonym.

— Do majątku nie ma prawa i zrzecze się go—  
potwierdził Wierzbieyta.

— Żeby mi to miało być bardzo przyjemnem—  
dodał powoli Wacław, wydymając usta—tego nie  
powiem. Horpiński ma być bardzo nieczciwym  
człowiekiem, ale jest dziwakiem—a wychowanie  
uczyniło go nam obcym. Wznowienie tej histo-  
ryi zapomnianej milem nam nie będzie.

— Ale ona wam cześć największą przynosi—  
zawołał Wojtek, który się tak szczęśliwego roz-  
wiązania nie spodziewał.

Nitosławski spuścił głowę.

— Nie wystąpimy przeciwko prawom p. Hor-  
pińskiego—dodał—ale też pomagać mu do ozna-  
nia ich nie czujemy się w obowiązku już dlatego,  
że wola ojca naszego była inna.

— Zmuszono go—rzekł Wierzbieyta.

— Nie wchodzę w to — odparł Nitosławski —

widzę tylko. że w końcu. z własnej woli. czy ulegając rodzinie. nieboszczyk ojciec chciał go mieć p. Horpińskim.

Wierzbęta nie nalegał już, dziękował tylko. Przyznał się wreszcie, iż tu nie szło jedynie o ocalenie Horpińskiego. który zasługiwał na współczucie. ale i o szczęście p. Michaliny.

O tej p. Wacław, odrzucony przez nią. nie mógł nic: wysłuchał zwierzenia się i milczał.

Zapewniwszy się, że dochodzenie prawne nazwiska nie dozna żadnej przeszkody ze strony rodziny Nitosławskich, Wierzbęta. wyraziwszy całą swą dla nich wdzięczność, natychmiast wyjechał. aby dalsze rozpocząć starania. a nade wszystko oznajmić p. Michalinie. że powinna była zwlec nieodzownie małżeństwo z baronem.

— „Niemogę nic więcej pani powiedzieć dla poparcia mojej prośby nad to. że wkrótce pewno przyjaciel mój Sylwan będzie się tak mógł wywieść ze swą genealogią. iż ci. co go nie znajdowali godnym pokuszenia się o związek z rodziną twą. przyjmą go z ochotą. Horpiński zmieni tymczasowe nazwisko i mieć będzie prawo używać tego które już było raz.... przyjęte....

„Brzmi to zagadkowo, dziwnie. ale nie w samych romansach trafiają się tajemnice i odkrycia cudowne. Zaklinam panią: do mojego powrotu nic nie postanawiać—niczem się nie wiązać.—Do

Sylwana wyprawiam listy. aby jaknajprędzej powracał.... Ja sam przybędę w ślad za tym listem“.

Działo się to na Ukrainie, gdy w Zaborowie biedna pani Zawierska, zmęczona wypadkami lat ostatnich, słaba, ciągle dręczona niepokojem o los córki, to się dźwigając, to kładąc do łóżka, walczyła tak długo, aż w końcu zachorowała niebezpiecznie.

Choroba w początkach nie miała w sobie nic tak bardzo groźnego; doktor miał ją za dalszy ciąg już od roku objawiających się symptomatów, ale w przeciągu kilkunastu dni przybrała charakter niespodzianie zastraszający. Fiziognomia Zawierskiej sama już najmniej badawczemu oku wskazywała, że organizm cierpiał i był podkopanym. Wyraz twarzy się zmienił, głos osłabł.

Sama ona, czując ten stan, strwożyła się niewypowiedzianie, a trwoga jest sprzymierzeńcem każdej choroby najdzielniejszym. Uspokoić matkę mogła tylko Misia. Ona sama jej to wyznała.

— Chcesz mnie widzieć spokojną — odezwała się do córki—posłuchaj, dopóki żyję: oddaj rękę Fredziowi. Albo uzdrowię lub umrę spokojna, osłodziś mi godziny ostatnie, Misiu moja.

W miarę jak stan zdrowia się pogorszał, nalegania te zaczęły być coraz napastliwszemi. Zawierska całowała córkę po rękach, płakała, za-

klinała, prosiła. Misia dała jej słowo—ale to nie starczyło. Zawierska kazała jej napisać do barona i wezwać go, aby z powodu jej choroby—ślub przyspieszył.

Wprzód nim list od Wojtka doszedł do p. Michaliny—dziewczę, zwątpiwszy o wszystkim, widząc matkę bez nadziei życia — nie mogło się oprzeć jej ostatniemu życzeniu.

Baron z synem, z papierami, z indultem, przybiegł piorunem do Zaborowa, i w pokoju chorej, przy domownikach za świadków wezwanych, bez ceremonii i obrzędów żadnych, odbył się ten ślub smutny, cichy, który zamiast kadzideł obwiewała woń lekarstw, jakimi w chwilach ostatnich życie starają się utrzymać lekarze.

Misia płakała. Obrzęd był podobniejszy do pogrzebu niż do wesela, a wieczorem Zawierska, która zasnęła zaraz po ślubie, obudziła się tylko, aby zażądać księdza i gromnicy — ostatkiem głosu. I w parę godzin potem para nowożeńców klęczała u martwych zwłok matki, której wypogodzone śmiercią oblicze, świadczyło, iż skończyła spokojnie, błogosławiąc dziecięciu.

W parę dni potem Wierzbiega powracał z Ukrainy, a Terenia witała go w ganku czule, ale nadąsana.

— Widzisz! widzisz!—mruzczała—włóczysz się po świecie, mnie neglizujesz, ale ja do tego po-

winnam być nawykła, a nawet swoje kochane Zawierskie porzuciłeś w takiej chwili!

— W jakiej chwili! — zawołał przestraszony Wierzbęta.

— Przecież po drodze mnsiałeś słyszeć — dodała żona wpatrując się w niego... (śpieszył się tak do domu, iż po drodze wcale nic nie słyszał) — stara Zawierska zachorowała i — zmarła, a córkę mogę powiedzieć — przymusiła do wyjścia za mąż za barona. Ślub o kilka godzin śmierć jej poprzedził.

Wojtek jak stał przed żoną, tak się zachwiał nagle i aż o słup oprzeć musiał, aby nie paść.

— Wszystko więc przepadło! — jęknął.

Emilka mu się wieszała na szyi i poczuwszy łzy na twarzy ojca, sama się o mało nie rozplakała.

Listy z Włoch szły swoim porządkiem, ale Wierzbiewa nie miał odwagi ich czytać. Czuł, że wysyłając do Włoch Sylwana, stał się może przyczyną całego tego nieszczęścia.

Horpiński pisał z *Florencyi*:

„Stałem tu, na pamiątkę naszej pierwszej bytności w małym hoteliku „Washington“ na Luug'Arno, gdzieśmy tak wesołych kilka tygodni przeżyli. Zdaje mi się trochę więcej wyelegantowanym niż był, ale nic a nic nie lepszym.

„Florencya zmieniła się bardzo; podobną jest teraz do wielkiej sali balowej, przygotowanej na przyjęcie gości tłumnych, którzy na ucztę nie przybyli.

„Miasto zadłużyło się po uszy, aby być godnem zostać Włoch stolicą. Zaszczytu tego dostąpiło na czas krótki — wołano o Rzym — *Roma capitale!* i wołano tak natarczywie a głośno, że mimowoli i przekonania Wiktor Emmanuel uledez musiał.

Zamiast mieć Rzym stolicą całego katolickiego świata. Włosi zażądali go dla siebie.

„Florencya padła ofiarą.

„Wyobraź sobie to nagle. gorączkowo rozrosłe miasto. pomnożoną ludność. całe życie zjednoczonych prowincyi, zbiegające się tutaj na lat kilka. a potem nagle wszystko to wędrujące do Rzymu. zostawiające za sobą mury puste. drogi trawą zarastające. ulice nowe bez mieszkańców i tysiące ruin. poczynając od zadłużonego i zawiedzionego municypum. które padło ofiarą. Skłaniasz głowę przed patryotyzmem Włochów. którzy nawet syknąć z bólu nie śmieli tu. we Florencyi—gdy Rzym odebrał im wszystko.

„A że Roma oprócz tego miała potężny urok pociągający ku sobie—cóż dziwnego. iż teraz, wzmógłszy się. Florencyi część jej artystycznego znaczenia nawet odbierze? I tysiące cudzoziemców, którzy tu mieszkali. pociągną do Rzymu. choć tam nie znajdują ani Pittich. ani wielkiej galeryi.

„Pamiętasz od wieków niedokończoną facyatę wielkiego kościoła Najświętszej Panny dei Fiori? Zebrano się na wykończenie jej teraz. Dotąd razi jakąś dysharmonią barw i stylu, choć go się starano naśladować.

„Nowym jest wielki posąg Dantego. przed kościołem Santa-Croce, a za miastem, na górze, za



San-Miniato. wśród gościńca, pomnik Michała Aniola.

„Wszystko to. wśród pustych przestrzeni—na bezludziu — zdaje się spać. drzemać. zamierać. Ażeby się stać ruiną. miasto nie potrzebuje się rozpaść w gruzy, może być nowem. jak z igły: gdy mu zabraknie człowieka, zabraknie życia.

„Taką jest dziś Florencya.

„Na Cascinach — drzewa podrosły i te niepocziwe bluszcze. co je w swych uściskach duszą. nie przestały okrywać zielonością nśmiechniętą—dzieła zniszczenia.

„Te włoskie bluszcze! — przypominają ludzi. Spojrzawszy zimą na drzewo ustrojone w ciemno-zieloną szatę od dołu do góry, rozczulasz się nad tą pocziwością rośliny, która otula i ogrzewa pień swego dobroczyńcy, ale—odsłoń liście. Pod niemi grube, jak powrozy splecione gałęzie. opasują pień i duszą go powoli, soki wypijając z niego.

„Walka o byt! nie więcej!

„Na samym końcu Cascin pomnik jakiegoś Indyanina, którego tu spalono i pogrzebiono.

„Zato próżno szukałem pomnika dla spalonego Savonaroli. Na tego czas jeszcze nie przyszedł.

„Włócząc się po mieście—myślałem: na coby się ono teraz przydać mogło?

„Doskonałe schronienie dla inwalidów wszel-

kiego rodzaju — cicho — a jest na co patrzeć i czem się rozkoszować, nic nie robiąc.

„Nasz wiek jest wiekiem, w którym tych inwalidów musi być mnóstwo. Zmienia się i zmieniało tak szybko tyle urzędzeń, trybów życia, obyczajów, iż wiele słabych istot musi wykołejonych pozostać na gościu. Schronienie we Florencyi jest dla nich. Klimat wprawdzie lepszy w Pizie, ale tam smutniej jeszcze. Do Pizy się już jedzie, nie żyć, ale umierać.

„Z ogólnego widoku ulic, cascín, ogrodów, restauracyi, galeryi—przekonywam się, że napływ cudzoziemców jest tu teraz—chyba mniejszy.

„Nawet Anglików nie tylu, nawet Amerykanów bogatych, którzy robią miliony w nowym świecie, aby je trwonić w starym—mniej spotykam. Jeszcze parę dni pobłądę trochę wśród tej ciszy i—dokąd?—Naturalnie, że do Rzymu.

„Łatwo się domyślam, że ten mi się wyda jeszcze bardziej zmienionym, lecz w sposób wcale różny. Florencya opustoszała. Rzym ożył, zaroił się ludźmi niestworzonymi, aby tu żyli. Gospodarstwo nowe.

„Nie wiem czy przypominasz sobie, że w Niemczech u chłopów jest obyczaj, gdy się sprzedaje chatę i grunt obcemu, dożywotnio starym co do nich nawykli, zostawiać kątek, dlatego—zowią się, jeśli się nie mylę: *anszügler*? Takim starowiną *anszügle-*

rem na łasce i dożywociu jest teraz papież—głowa Kościoła, u którego stóp niegdyś cesarskie korony w proch padały.

„Można westchnąć nad tem—ale jest aureola, co taki upadek pozorny otacza; co wielkim czyni umiającego nosić godnie potęgę nbóstwa i potęgę bezsilności fizycznej.

„Jedźmy więc do tego Rzymu, o którym tu mi już mówią, że go nie poznam. Wątpię, ażeby nowe życie uroku mu dodało.

„Rzym... prawie zawsze człowiek ma talent, odgadując przyszłe wrażenia, omylić się na nich. Nie dziwię się, że taką czią otaczano zawsze proroków, wieszczów, jasnowidzących — niema nic trudniejszego nad przewidzenie przyszłości w drobnych, równie jak wielkich rzeczach. Człowiek najczęściej się gwałtownie napiera tego, co mu ma zaszkodzić, odpycha to, co-by pożytecznem być mogło. Wyobraziłem sobie Rzym pod uciskiem niezłaganych wymagań terażniejszości—inny.

„Zmienił się — prawda — lecz w głównych rysach, które wieki rzeźbiły, pozostał sobą. Widzę wiele nowych postaci, ale z poważnych ruin mało mi wyszczerbiono. (Ós z Łaźni Dioklecjana. Zato widzę dnżo odkopanego świeżo, odkrytego, zdobytego zpod warstwy prochu nagromadzonej wiekami, a na kilkanaście stóp już grubej. Z tych

pyłów unoszących się w powietrzu. które połykamy — wyrosła cała warstwa mogilnej ziemi na przysypanie przeszłości i zachowanie jej — dla archeologów.

„A! ci archeologowie. — gdy z powagą urzędową tłómaczą użytek obłamka brązu lub żelaza. który do tysiąca rzeczy mógł być przyczepionym?...

„Wyobrażam sobie zabytek naszych prozaicznych czasów. odkopany za lat parę tysięcy — jak o nim pisać będą rozprawy. Był li to ncho od dzbanka czy rączka od patelni?

„Nigdy się ludzie tak zapamiętali w przeszłości nie grzebali. jak teraz — znak-li to. że terażniejszość niewiele warta? Pocziwy nasz Długosz mny dobywane z ziemi miał za produkt natury! Wielbiono w nich wszechmocność Bożą — nie domyślano się przedhistorycznych garucarzy — a d!ś! czegośmy to nie doszli?

„Ludność terażniejsza Rzymu. oile mogą różnić. dzieli się na dwie klasy. w zupełnym z sobą antagonizmie zostające — jedna z nich pozostała wierną dawnemu państwu i tradycjom. druga otacza nowe państwo i broni praw narodowych. Jest wiele poszanowania godnego w pierwszej. jest życie gorące w drugiej.

„Wszystkie dotychczasowe usiłowania pogodzenia dwóch skrajnych obozów. rozbiły się o — *non possumus*. Lecz ten smutny wyraz brzmiał

głośno z początku. dziś coraz ciszej się odzywa. Protest pozostanie wpisanym do akt, a życie, życie znajdzie sobie — *modus vivendi* — czy — *modus moriendi*?

„Wspaniały, piękny, wielki zawsze jest Rzym. a najlepszym dowodem potęgi jego, zaczerpniętej z tradycji. jest to. że rzeczywistość go pokonać nie mogła. Jak mrówki, kręcą się nowi ludzie na tych niepożytych ruinach.

„Wygodniej jest podróżnemu teraz tutaj. niż gdyśmy my przebywali. Gospód się namnożyło — ale i cudzoziemców. przynajmniej w powszednich dniach, jest więcej. choć ich wielkie mroczystości i dawne daty nie wabia, bo Watykan jest jakby w żałobie. Papież, zamknięty w nim, nie pokazuje się poza murami świątyni i pałacu. Zresztą w nim nic się nie musiało odmienić. Teżsame widzę gwardye w średniowiecznych strojach, podkomorzych w ich kostiumach malowniczych, służbę.

„Pielgrzymi płyną, jak dawniej. tysiącami, z tem większą pobożnością. że ten, któremu pokłony biją. jest rzeczywiście jakby więźniem — swojego obowiązku. Nie Włosi go zamykają w tych murach, ale poczucie godności własnej i wielkiego spadkobierstwa. W okolicy jeszcze nie wyjrzałem dalej za Via Appia“.

Na tem kończyła się ostatnia. nadesłana Wojtkowi, notatka. Powróciwszy ze swej wycieczki, dowiedziawszy się o wszystkim. Wierzbięta tak był dotknięty boleśnie losem, jaki spotkał Michałinę i Sylwana, że nazajutrz zachorował. Słabość przeciągnęła się tygodni kilka—przyszła rozważa i nowa chęć służenia przyjacielowi. Nie zaniebdał więc Wierzbięta starań o odzyskanie praw urodzenia dla Horpińskiego; powierzył sprawę biegłemu i czynnemu juryście; sam ofiarował się łożyć na kosztą i — przy neutralności z jaką się zachowali panowie Nitosławscy. nie trudno było doprowadzić do skutku uznanie pierwszego małżeństwa.

Wojtek spodziewał się po gwałtownych szturmach, jakie listami przypuszczał do Sylwana, nagle o powrót. iż się go doczeka w Makolągwie, i choć tem. co zdobył, pocieszy go i do życia doda mu siły i ochoty. Nie przestał więc pisać, posyłać i zaklinać Sylwana, aby przybywał do niego; lecz długo żadnej nie otrzymywał odpowiedzi.

Przestały przychodzić listy z Włoch, co się

zdawało oznajmywać, iż Horpiński był na drodze do kraju, ale tygodnie upływały. a ani on, ani wiadomość o nim nie przyszła żadna. Wojtek, pomimo, że mu dawno wypadało być w Zaborowie. ociągał się z temi smutnemi odwiedzinami.

Naostatek interes jakiś bytności jego wymagał nagle; został zmuszony się tam stawić, choć z bólem w sercu. Wiedział, że pocieszającego nic go nie spotka.

Oprócz żałoby, w którą służba była ubrana, nic się tu nie zmieniło.

Naprzeciw gościa wyszedł, wyświeżony, z batystową chusteczką w ręku. z twarzą białą, sztywny baron i przyjął go z przesadną, nadzwyczajną grzecznością. Szczęśliwego nowożeńca trudno w nim odgadnąć było. Po chwili rozmowy z westchnieniem oznajmił gospodarz Wierzbicie, iż żona jego była ciągle jeszcze cierpiącą. że śmierć matki wywarła na niej tak bolesne wrażenie, iż dotąd niczem przeciwko niemu niepodobna było oddziaływać.

Życzył sobie koniecznie namówić ją. aby z nim wyjechała dla rozerwania się, naprzód do Wiednia, do ojca. potem do Włoch. Wiele rachował na tę podróż.

Oprócz smutku na młodym baronie widać było niezmierne znudzenie. Nawykły do innego trybu życia. do ruchu. do rozrywek, do gwaru, do

nowości, zamierał w tej atmosferze zastygłej, milczącej, zimnej. Wzrok jego był jakiś bezmyślny, w rozmowie mało udziału brało uczucie.

Siedząc w salonie z Wojtkiem, ciągle na drzwi spoglądał i nasłuchiwał. Pani Michalina długo nie wychodziła, a czas ten, aż do jej ukazania się, wydał się Wierzbicie wiekiem, tak z Wiedeńczykiem trudno było znaleźć coś dla niego interesującego—czemby rozmowa się zasilić mogła.

Ubrana w żałobę, blada i mizerna, pocichu weszła młoda baronowa, witając głosem słabym nieśmiało gościa. Uderzyło Wojtkę, że twarzyczka jej śliczna, nabrała wyrazu nowego — oczy zdawały się powiększone — jakiś rodzaj przestachu malował się na niej. Za najmniejszym szmerem i odgłosem silniejszym drgała i wzrokiem obiegała dokoła. Dawna jej łatwość mówienia, bogactwo myśli, wesołość dziewczęca, zmieniły się w zamyślenie rozpaczliwe, w obojętność jakąś, w stan nienaturalny i zbolący.

Baron, doczekawszy się jej, ożył trochę. Z wielką troskliwością posadził ją, podał stołeczek pod nogi, przyniósł szal, znajdując, że może było chłodno—i dopełniwszy tych obowiązków, począł się przechadzać po salonie, nie okazując wielkiej ochoty mieszania się do rozmowy.

Szła ona, jak z kamienia: Wierzbietta mówić ani pytać otwarcie nie mógł, pani Michalina była



milcząca. Naturalnie, o Sylwanię wspomnieć się nawet nie godziło. Baron, chociaż nadzwyczaj grzeczny, nic nie czynił, aby gościowi i żonie dopomódz—ożywić stygujące półsłowa.

Michalina wreszcie o matce i jej ostatnich godzinach nieco opowiadać zaczęła. ze łzami na oczach, czego dosłyszawszy mąż. schylił się ku niej, pocałował w rękę i prosił, aby się bolesnemi wspomnieniami nie poruszała—gdyż to jej zawsze szkodziło.

Przybycie proboszcza, trochę ożywiło rozmowę; ten potrafił barona zająć jakimś wiadomością, a pani domu dozwolił ponownie się rozmówić z przyjacielem. Zapytała go: Jak dawno miał wiadomość od Sylwana i co się z nim działo? Wojtek musiał się przyznać, że listy. od Rzymu poczynawszy, przestały przychodzić. że się go spodziewa z powrotem.

Nie potrzebował też tać przed nią. że nadzwyczajny zbieg okoliczności dozwolił mu przywrócić Horpińskiemu prawa urodzenia i nazwiska.

Oczy Michaliny, gdy słuchała opowiadania, nabrały nadzwyczajnego blasku: zarumieniała się. a potem nerwowe drżenie mięśni twarzy—okazało jak była poruszona a pracowała nad sobą, aby tego nie okazać.

Wierzbietą skończył pośpieszną trochę relacją swą, której lękał się, aby mu nie przerwano; mło-

da pani długo mu ani słowa odpowiedzieć nie mogła. Wyciągnęła tylko rączkę i cichym uściskiem podziękowała.

— Jak pan sądzisz? co on teraz pocznie?—zapytała.—Gdzie zamieszka?

— Nie wiem nic— rzekł Wojtek — czekam na niego. Listy z Włoch były bardzo gorącą przepełnione, lecz spodziewam się, że to przejdzie.

Michalina bystro spojrzała mu w oczy.

— Sądzisz pan, że to przechodzi?—zapytała.

Zaproszony na obiad Wierzbęta — pozostał. Gospodyni domu zwolna się ożywiła nieco, pan baron także, zobaczywszy promyczek jaśniejszy na jej twarzy—stał się rozmowniejszym i śmielszym. Pomimo to w domu panował jakiś chłód, pewna niesforność, wahanie się, nieobycie z życiem wspólnem małżonków. dające się czuć we wszystkim. Pani odwoływała się do męża; ten nie wiedział i nie chciał sobie radzić, tłumacząc się tem, że do życia wiejskiego był nienawykły.

Z obiadem musiano trochę czekać, na jeszcze jednego zaproszonego z sąsiedztwa, przebywającego w okolicy Warszawiaka, który w krótkim czasie potrafił sobie zdobyć wielką przyjaźń barona. Był nim—pan Emil Paczuski, równie zadowolony z barona Alfreda, jak on z niego. Michalina zdawała się też rada, że męża jej zabawiał i przywoził z sobą trochę życia. Nadjechał

późno. gdy już miano iść do stołu, wesół. roztrzepany, kontent z siebie i z roli, jaką tu teraz mógł odegrywać. Kieszenie miał pełne plotek.

Miedzy innemi przywoził i tę zdumiewającą, której wierzyć nie chciał, że tajemniczy Horpiński. tak nadzwyczajnie podobny z twarzy do Nitosławskich, okazał się teraz ich bratem. z pierwszego małżeństwa, które dopiero niedawno odkrytem i przyznaniem zostało.

Mówiąc o tem, Emil patrzył na gospodynię domu. która oczy miała spuszczone, nie okazując ani zdziwienia, ni ciekawości i—dodał:

— Ale to jest bajeczka, którą się komuś wymyśleć podobają niezręcznie, opierając się na podobieństwie fizioinomii. Po tylu latach—odkrycie zatajonego pochodzenia—to, do niczego niepodobne.

— Przepraszam pauza — wtrącił Wierzbęta—mogę jaknajuroczyściej poświadczyć, że to jest najprawdziwszą prawdą. Nitosławscy nie przeczą temu. i rzecz nie ulega wątpliwości. Niedawno odbywszy podróż na Ukrainę, przekonałem się o tem na miejscu.

Pan Emil trochę się zdziwił tak kategorycznemu twierdzeniu, ale wkrótce dodał wesoło:

— To mnie bardzo cieszy. Pan ex-Horpiński będzie mógł teraz zająć śmieiej należące mu w społeczeństwie naszym miejsce. *C'est parfait.*

Nie widać jednak było po Paczuskim, aby go te wistocie radowało wielce. Chciał przeciągnąć rozmowę w tym przedmiocie i badać Wierzbietę, ale ten się nie dał wyzyskać i zaczął mówić o czem innem.

Paczuski i gospodarz domu, jakby się o to umówili zawczasu—rozmowę o konieczności pobytu w mieście na zimę—zagaili. Obaj się zgadzali na to, iż wieś zimą była nie do zniesienia. Emil Paczuski mocno obstawał za Warszawą, baron przemawiał za Wiedniem, o którym mówił z takim zapalem, że go odżywionego trudno teraz poznać było—*Es giebt nur a Wien!* powtarzał uniesiony.

Michalina słuchała obojętnie, ale się nie sprzeciwiała. Wyzwana wprost o powiedzenie swego zdania, uśmiechnęła się, twierdząc, że wszystkie większe miasta europejskie dla gości do nich przybywających kubek w kubek były do siebie podobne. Wołałabym jednak Warszawę—dodała pocichu.

Baron nie miał przeciwko niej, ale pocichu ubolewał, że była—bardzo brudną. Powiedział to poufnie na ucho Emilowi.

Zresztą, dla zdrowia żony, głosował za tem, aby się udać na południe; a Paczuski także miał wielką do Włoch ochotę, tylko matka mu się w tę podróż straszną wybrać nie dozwalała, marząc

zawsze o bandytach, o mordach na kolei — a nawet o trzęsieniach ziemi.

W tych wszystkich rozprawach u stołu pani Michalina prawie nie miała udziału. spoglądała czasem na Wierzbietę, słuchała cierpliwie, nie okazywała ochoty ani się przeciwzić, ani potwierdzać—tak jej to było obojętnem. Najwięcej mówił i czynnym był Paczński, któremu baron wina dolewał i pod wpływem jego humoru sam znacznie się ożywił.

Obiad wykwintny przeciągnął się bardzo długo, a po nim, gdy Emil i baron poszli na cygara, którego Wojtek odmówił — został sam z panią domu.

— Zobaczysz się pan zapewne wkrótce z panem Sylwanem—odezwała się do niego: staraj się rozbudzić go, zachęcić do zajęcia jakiego, do czynnego życia. Szkoda-by było, żeby człowiek tak zdolny miał marnie w ostygnięciu i zwątpieniu, zaurzeć—dla siebie i drugich. Męztwa potrzebną życie każde. Nam, kobietom, gdy go zabraknie, łatwiej to przebaczone; wam nie darowane, gdy się zrzekacie walki.

—Sądzę, że i paniom taksamo-by należało obowiązek ten walki wpoić — odezwał się Wierzbietą.

— Nie powinien uciekać od ludzi. Niema nic bardziej zabijającego nad osamotnienie — dodała.

Człowiek, co się odosabnia ze zniechęcenia do życia. wydaje mi się czemś podobnem do zamkniętego w celi zakonnika. Jeśli człowiek dla siebie żyć nie chce, nie może, to powinien żyć dla innych, bo zawsze użytecznym im być potrafi. Wpłyn pan na niego.

Mówili o tem długo, aż Wojtek, zabawiwszy do wieczora—przejęty widokiem Michaliny, zasmucony nim, niewiele pocieszony bliższem poznaniem barona, odjechał do domu.

Z dnia na dzień, niespokojny, czekał tu i czekał napróżno, listu, wieści głosu, odezwania się jakiegoś od Sylwana. Nie nadchodziło nic.

Pisma adressowane do Rusinowego Dworu, wkońcu powracać już zaczęły — co dowodziło, że się tam nie znajdował i że nie wiadano, gdzie go szukać.

Zniecierpliwiony do najwyższego stopnia. Wojtek, niemogąc sam jechać, bo go żona puścić nie chciała, polecił komuś znajomemu, aby się na miejscu o Horpińskiego dowiedział. Na odpowiedź czekał dosyć długo, a przyszła wcale niezaspakajająca. Rusinowy Dwór był sprzedany zabezpieczen—dawny dziedzic ledwie się tu nakazawszy, zniknął—i nikt nie wiedział dokąd się udał. Przyjaciele Wojtka, któremu powierzono było dowiedzenie się o Sylwana, znał go osobiście i za-

ręczał, że ani w Warszawie się nie pokazał, ani o nim ktokolwiekbaż wiedział.

Wpadł jak w wodę.

Wojtek oczekiwał ciągle—ale napróżno. Dwa razy listem zapytywała go pani Michalina o Horpińskiego i—mnsiał naostatek przyznać się przed nią, że poszukiwania były nadaremne — że on nawet, do którego-by Sylwan powinien się był zgłosić koniecznie — nic a nic o nim nie wiedział.

Baronostwo na zimę wyjechali: naprzód do Warszawy — było to ustępstwo dla żony, potem do Wiednia, a w Zaborowie pozostał tylko rządcą Niemiec, trochę mówiący złą polszczyzną. Od tego Wierzbęta się dowiadywał później, iż baronostwo byli we Włoszech, że pani ciągle chorowała, że w kraju nie można się ich było rychło spodziewać.

Po roku Wojtek odebrał list z Sorrento od Michaliny, krótki, dziwny, z prostem pozdrowieniem tylko. Nie było w nim pytania: wzmianki o nikim nic—a jednak Wierzbęta w odpowiedzi czuł się obowiązany dodać, że dotąd nie odebrał żadnej o przyjacieln wiadomości.

Nastąpiło milczenie.

Wierzbęta nie mógł teraz myśleć nawet o Sylwanie: taką trwogą przejmowało go wspomnienia o nim. Lękał się samobójstwa.

W okolicy, n Nitosławskich. nie było o nim najmniejszej wiadomości, nie pokazał się tam wcale.

Tak kilka długich lat nplynęło, a Wierzbęta coraz rzadziej juź przypominał sobie przyjaciela — nie mogąc o nim nawet z żoną pomówić. gdyż Terenia. jak go nie lubiła od pierwszego wejrzenia, tak i teraz wspomnienia jego znosić nie mogła. W Zaborowie przez lata te nie było nikogo — baronostwo mieli przemieszkiwać na przemiany w Wiedniu lub we Włoszech. Pani Michalina przysłała bilet z powinszowaniem nowego roku. jakby powiedzieć tylko chciała: „Żyję jeszcze“.

Przeciąg ten czasu w powolnym Wojtku wielkie sprowadził modyfikacye obyczajn. W domu stał się sługą żony i dzieci. nie wyjeżdżał nigdzie. było mu z tem dobrze. Ciało i umysł ociężały znacznie; zajmował się coraz mniej gospodarstwem. a coraz więcej odpoczywał.

Przyszło do tego. iż Terenia nawet. raz w tydzień przychodzącą. pocztę pierwszą odbierała. a często czytać listy i odpowiadać na nie musiała.

W oknie siedząc lub pod piecem. Wierzbęta część znaczną dnia spędzał na dnmianiach. Sympiał też we dnie. Raz. gdy w Sobotę pocztę przywieziono, żona mu przyniosła list otwarty.



— Nie rozumiem — rzekła podając mu go. — Od kogo! co to znaczy? chyba ty odgadniesz.

Na nieforemnym kawałku papieru stały niezręcznie i jakby ręką niepewną nakreślone wyrazy.

— Chciałbym się raz jeszcze widzieć z tobą — pożegnać. Słabość to — ale ostatnia. Jeżeli możesz, przyjedź.

Poniżej nakreślona była skazówka. od kogo w Humaniu miał się dowiedzieć Wojtek o Parfenowy Chutor. List nie miał podpisu. ale go nie potrzebował. Wierzbietà, acz zmienioną, poznał rękę przyjaciela. Żona się niemal nastraszyła. widząc jak się porwał nagle i żywo począł wołać. nie pytając jej o pozwolenie — że natychmiast jechać musi, aby mu wszystko do podróży gotowano.

Przyszło nawet z tego powodu. po raz pierwszy oddawna. do żywego sporu pomiędzy małżeństwem, bo Terenia była podróży przeciwną, a Wojtek ani sobie o tem mówić dawał. Rozumie się, iż nastąpiło przeproszenie i pojednanie — ale Wierzbietà. obiecawszy powrót rychły, wyjechał.

Ile go kosztowało nagle wyrzec się tego błogiego spokoju. w którym wegetował przez lat kilka tak szczęśliwie — każdy to zrozumie.

Wieczorem dnia jednego jesiennego dostawszy się do Humania, tu się dowiedział, iż Chutor.

którego szukał. o parę tych słusznych mil Ukraińskich był odległy. Dopiero więc nazajutrz do dnia z przewodnikiem ruszył niespokojny—rozpatrując się w kraju obcym sobie, dziwnym. pustynnym, który na nim smutne czynił wrażenie.

Bryczka się spuściła w wąwóz, który latem i na wiosnę mógł być pięknym, lecz teraz najeżony był suchymi zaroślami, badyłami i resztami bujnej, obumarłej roślinności.

Przyparta do ściany wężowozu prawie, stała zagroda i chata; przewodnik ją wskazał ręką.

Na przyźbie siedział stary parobek z młodym chłopakiem, we drzwiach przygarbiona, zeschła stała baba— stary typ czarownicy, z czerwonymi oczyma i wywróconemi powiekami, z twarzą ponurą i groźną.

Wszyscy zdawali się zdziwieni mocno, że tu ktoś obcy mógł zajechać; stary parobek wstał, podchodząc do bryczki, jakby ją chciał odprawić.

Wojtek zapytał o Sylwana. Spojrzeli po sobie, wahając się z odpowiedzią. Wtem do małego okna chaty z wnętrza zapukano i młody chłopak dał znać parobkowi o czemś na ucho, a ten wskazał na drzwi chaty. Wojtek szedł z sercem biącym.

Dworek, lepianka, chata, podobną była do wielu innych, jakie po drodze Wierzbiewta spotykał; nie różniła się niczem od nich. Wnętrze było

biedne. Przez napół już otwarte drzwi z bijącym sercem wsunął się Wojtek. Naprzeciw niego stał—w zgrzebnej bieliźnie, z brodą zapuszczoną, z włosiem posiwiałym spadającym na ramiona, wynędzniały. żółty, opalony człowiek. w którym tylko mógł poznać Sylwana.

Wydawał się zdziwiałym zupełnie. a wzrok zpod nawisłych powiek strzelał wyrazem niemal obłąkanym.

Uścisnęli się, milcząc, bo Wierzbicie zabrakło na ustach wyrazu. tak go ten stan przyjaciela przeraził. Sylwan, którego turkot bryczki z łoża nędznego wstać zmusił, chwiał się już na nogach i padł natychmiast na ten swój barłóg znowu.

W piersiach jego słyhać było warczenie. które kaszlem gwałtownym wybuchnęło.

Był to żywy skielec człowieka, który dobijał już do portu—do końca.

Nie mogąc jeszcze przemówić, Horpiński ręką wskazał na swoją izbę — i twarzy nadał wyraz ironiczny.

— Godziłoż się to! — przerwał Wierzbietą z wymówką. — Zaprawdę niedarowana rzecz takie zmarnowanie życia! Sylwanie—nie chcę ci czynić wymówek, aleś przyjaciół napoił niewymowną boleścią.

Zamiast odpowiedzi Horpiński zakaszał się

mocno. Chwycił oburącz za łóżko i przez czas jakiś mówić nie mógł, aż gdy się uspokoił. Powiodł oczyma dokoła i zaczął zmęczonym głosem:

— Nie czyni mi wymówek: ja sam sobie dosyć ich wśród tej samotności czyniłem—zapożno. Położenie moje, gdym je poznał, zniechęciło mnie do życia. Wprawdzie z większą energią mogłem pójść ztąd precz, w kraj obcy, stworzyć sobie nową rodzinę, przyswoić ojczyznę, stać się kolonistą, który poza sobą zatarł tropy.....

Tego nie byłem w stanie wymódl na sobie: całą siłą krwi przywiązany byłem do tej ziemi, od której zimny rozum oderwać mnie nie mógł. W tem leży słowo zagadki. Kochałem moje strony bezrozumnie, dziecinnie, namiętnie, a w nich miejsca dla mnie nie było.

Wolałem wygnanie w tym wąwozie, na tych stepach swoich, niż czynne życie wśród cudzego kraju, pod nie-mojem niebem.

— Przecież wiesz — przerwał Wierzbięta — bo ci doniosłem o tem, iż twoje położenie, skutkiem cudownie odszukaných dokumentów, wyjaśniło się. Nitosławscy nie sprzeciwili się uznaniu małżeństwa ojca twojego, przyznali ci swoje nazwisko.

Śluchając tych słów, Sylwan zwolna podnosił głowę, usta mu się z podziwienia otwały. oczy

osłupiale wlepił w Wierzbietę i krzyknął rozpaczliwym głosem:

— Człowiecze! ja nie wiem o niczem. ja nie wiedziałem o tem!

Wierzbietę załamał ręce.

— Doszła mnie wiadomość o wyjściu za mąż Michaliny — mówił dalej Sylwan — zerwałem natychmiast wszystkie stosunki. Listy wrzucałem w ogień. Sprzedałem Rusinowy Dwór, wyniosłem się tutaj! Więc Nitosławscy!... ale to być nie może!

— Znaleźli się jaknajszlachetniej — dodał Wojtek. — Sam o tem mówiłem z nimi. Metryka ślubu i metryka urodzenia twego zostały wydobyte i przyznane.

Sylwan drżał, słuchając. jakgdyby nagle strach go objął.

Milczeli obaj. Co się w duszy biednego męczennika działo — odgadnąć było trudno; rozburzony był przez chwilę, i jakby niedowierzający. potem ostygł i oprzytomniał. Zadumał się. Uspokojony zwolna. pochylił się na łożę i zapragnął spocząć trochę. Wojtek podszedł, aby mu pomódz: przyniósł wody. Stara Tatiana pokazała się we drzwiach; spojrzała na Sylwana, głową potrząsając. i zbliżywszy się do gościa spytała go: czyby się czem posilić nie chciał?

— Zrób mi herbaty, jeżeli masz w czym—rzekł Wojtek cicho.

Stara wyszła. Sylwan leżał z oczyma otwartymi długo, zamyślony i pogrążony w sobie. Odwrócił głowę do Wierzbiety.

— Szczęśliwa ona? — zapytał.

Zapytany ruszył ramionami.

— Wyszła za mąż — rzekł — aby ostatnią godzinę osłodzić matce, która lękała się ją samą zostawić na świecie i tegoż dnia wieczorem umarła. Mąż jest lalką łagodną, ale płochą; tyranem być nie potrafi, a szacunku i przywiązania nie zyszcze, bo ich nie wart.

Gdy stara Tatiana krzątać się poczęła około herbaty. Sylwan się z trudnością podniósł na łóżku i usiadł; okrył się siermięgą, która przy nim leżała: oblicze miał zmienione, a gospodyni, która go tak dobrze знаła, z podziwieniem spostrzegła, iż zdawał się odżywiać.

— Wzywałś lekarza? — spytał Wojtek.

Sylwan głową potrząsnął

— To pierwsza rzecz, którą uczynić musisz — odezwał się Wierzbietą. — Niech parobek siada na konia i jedzie po pierwszego lepszego. Ja od tego nie odstąpię.

Sylwan nie sprzeciwiał się, a gość poszedł wydać rozkazy. Rozpytał, jak umiał, o najbliższego doktora i kazał go przywieźć natychmiast.

Po raz pierwszy od bardzo dawna, gdy Wojtek sobie nalewał herbatę, gospodarz dał znak, że i on-by się jej uapił. Tatiana pośpieszyła po szklankę.

Siedzieli dziwnie milczący, czasem kilku słowami tylko zmieniając myśli. W chorym widać było jakieś usposobienie iune, dziwne dla tych, co na niego oddawna patrzyli.

Z Wierzbietą nic prawie nie mówił o sobie — pytał o drugich. Ku wieczorowi, po dość długim oczekiwaniu, uadjechał doktor.

Był to młodziuteńki jeszcze, świeżo wypuszczony z kijowskiego uniwersytetu eskulap, cały przejęty medycyną, nauką, rozmiłowany w swoim powołaniu, namiętnie prawie oddający się praktyce. Przynosił z sobą do łóża chorych życie, nadzieję, otuchę, bo sam nigdy nie wątpił o siłach natury, ani o skutkach umiejętnego leczenia, dokazujących cudów.

Pierwszą rzeczą było opatrzenie chorego, który bez oporu położył się, dał auskultować, kaszlał, oddychał, i posłusznie szedł za wskazówkami doktora. Na twarzy młodej i rozumnej lekarza, to posępnej, to rozjaśniającej się, widać było przelatujące wrażenia badanych symptomatów. Po ukończeniu tych poszukiwań kazał się położyć choremu, a sam zadumał się, siedząc przy nim, jak-

by sumiennie chciał sobie zdać sprawę z rezultatu własnych badań.

W kilku słowach nakazał naprzód środki bardzo proste i przepisał dyete. Nie widać było aby tak bardzo o swym pacyencie rozpaczał. Wojtek, który mu się przypatrywał pilno, nie wiele się mógł nauczyć z twarzy.

Wyszli przed chatę razem, gdyż Sylwan zdawał się potrzebować spoczynku.

— Doktorze! — odezwał się Wojtek — jestem przyjacielem tego człowieka, potrzebuję wiedzieć; mów mi prawdę: czy jest jaka nadzieja ocalenia go!

Lekarz, nim odpowiedział coś, rzucił kilka pytań, dotyczących się przeszłości.

— Pański przyjaciel — rzekł w ostatku — prawdopodobnie sam chciał się umorzyć i silny swój organizm zniszczył dobrowolnie. Nie mogę ręczyć, czy się teraz jeszcze dźwignąć potrafi; ale gdyby miał wolę, która dokazuje cudów, gdyby były środki...

— Środki! — przerwał Wierzbęta żywo — ależ ja mu przywiozłem kilkadziesiąt tysięcy rubli, które od lat wielu leżały u mnie! Nakłoń go pan tylko do przedsięwzięcia właściwych środków, a uie zbraknie mu na niczem.

Doktor wielkimi zdziwionemi oczyma spojrzał na mówiącego.



— Dlaczegoż żył tak nędznie? Jakie były powody zniechęcenia do życia? — zapytał.

— Długo i trudno-by to wam tłumaczyć było — odparł Wierzbęta — ograniczę się tem tylko zapewnieniem, iż przyczyn tego zniechęcenia częsc przyuajmniej już dziś nie istnieje.

— Należy go wywieźć do Włoch. na południe, w lepszy klimat, to rzecz uajpierwsza — rzekł doktor. — W tej chacie też długo pozostac nie może: a i sposób życia zmienić musi.

Wierzbęta chodził żywo, zadumany, wodząc za sobą doktora po małym podwórku.

— Zatrzymaj się pan z nami — dodał — będę mówił z nim — może się nda ocalić człowieka, którego wartości pan się nie domyślasz uawet.

Powrócili nazad do chaty, gdzie Sylwana znaleźli jeszcze siedzącym na łóżku. Zmierzył ich ciekawemi oczyma.

Doktorze - - poczał żywo. — Wiem, że jak wszyscy twoi koledzy, będziesz mi mówił z obowiązku o tem, jako żyć i ozdrowieć mogę. Prosiłbym jednak, abyś mi raczej rzekł prawdę, do której jestem oddawna przygotowanym. Wiele mam życia jeszcze?

Doktor popatrzal nań poważnie.

— To zależy od was — odparł — życie uacie w swoich rękach. Nie mogę za nic ręczyć, bo

znam was zamało, abym siły obrachował, ale to wiem, że zdesperowanego niema nic—jeżeli pan żyć zechcesz. jeśli nie—możesz umrzeć predko. Wszystko możliwe.

— Ale płuca? — zapytał Sylwan.

Poruszył ramionami doktor.

— Choroba, śmierć nie w nich siedzi — odpowiedział, uśmiechając się przy łóżku. — Jedź pan do Włoch. postanów żyć i odżyć: możesz być zdrów.

Sylwan się uśmiechnął niedowierzająco.

— Dlaczego-bys nie spróbował? — przerwał Wojtek. — Gdybym mógł. to jest, gdyby mnie pocziwe żonisko puściło. towarzyszyłbym ci chętnie. Tego jednak nie śmiem obiecywać.

— A ja nie mogę żądać — rzekł Sylwan.

— Znajdę ci towarzysza — dodał Wierzbęta i spojrzał na młodego lekarza.

— Towarzysza do Włoch zawsze sobie znaleźć można—rzekł, śmiejąc się, doktor.

Zaczynało być późno. Posłano Sylwanowi łóżko, oddawna nietykane. doktor go okrył, sporządził napój, a sam z Wojtkiem, wyrugowawszy starą Tatianę i czeladź. poszedł naprzeciwno, gdzie im siana posłano na ziemi. Dopóżna rozmawiali pocichu.

Tatiana. będąca na zwiadach. z wielką obawą

jakąś dała znać, że pan spał i zdawał się, jak nigdy, głębokim snem ujęty.

W tydzień potem Sylwan z doktorem, który zgodził się towarzyszyć mu w podróży, dał się Wierzbicie do Włoch wyprawić.

Smutno-by mi było opowiadanie to zamknąć bez epilogu, którym los—miłosierny czasem, gdy już się od niego nie spodziewamy litości —dokończył historią Sylwana.

We dwa lata po wyjeździe z chłtoru swego Sylwan Nitosławski znajdował się w Hyères. Stan jego zdrowia tak dalece się polepszył, iż najmniejsze mu już nie groziło niebezpieczeństwo, ale jakaś potrzeba ciszy, spokoju, ukojenia na dachu trzymała go na południu. W samym początku w Cannes i Hyères z doktorem. Sylwan dał się młodemu, a zapalonemu do nanki towarzyszowi swemu pociągnąć nieznacznie do poszukiwań i studyów z mikroskopem. Przyszło to nie odrazu; lecz gdy począł Nitosławski zabawiać się badaniami naczyń w roślinach, protoplazmów komórek, włókien—tak się zajął nimi, iż, książki i narzędzia sprowadziwszy, namiętnie oddał się temu, co nazywał zabawką, a co było już nankowem poszukiwaniem.

Doktor przeszedł od tych studyów do innych. Sylwan przy nich pozostał. Zrodziła się prawdziwa namiętność, a zatem poszła wprawa, coraz dalej rozpościerające się granice badań—i miłośnictwo, które zarówno śmiesznem jak godnem poszanowania uznać było można.

Wojtek Wierzbęta, uwiadomiony o tem, cieszył się—a żona jego ruszała ramionami.

Zimę tę spędzał Sylwan sam w Hyères, do którego się przyzwyczaił, choć ze stacyi klimatycznych w tych stronach jest to może najnniej powabna—i najsmutniejsza. Ale pokój i cisza błoga panują na tem wybrzeżu.

Zwykle posyłają tu takich chorych, którzy mało co wychodzą z domów: miescina więc wydaje się pustą i wymarłą.

Wszystkie inne stacye, jak Cannes, Nicea, Monaco, San-Remo, Bordighera—więcej są ożywione, weselsze i mają czem zabawiać swych gości; Hyères nie stara się o to, a chlubi, że ma spokojniejsze powietrze, mniej wichrów i kurzawy. Nie wiem, czy tablice meteorologiczne potwierdzają tę pretensyą.

Jednego wieczora, wrociwszy z wycieczki do Norquerolles, Sylwan wchodził do swego mieszkania, niespodziewając się na stole nie znaleźć oprócz numeru wieczornego dziennika, który mu

do herbaty podawano. gdy oczy jego zwróciła biała koperta.

Pocztowy stempel wskazywał, że pochodziła nie dalej niż z Cannes.

Tam nie miał nikogo znajomego. Otworzył kopertę z ciekawością; wewnątrz ćwiartka z czarną obwódką go uderzyła. Na żałobnym tym papierze stały tylko słowa:

— Dawna znajoma. przypadkiem dowiedziawszy się o pobycie jego w Hyères. zasyła pozdrowienie i prosi, abys ją kiedy odwiedził.

Michalina.

Nazajutrz pierwszym pociągiem Sylwan był w Cannes. a w ganku willi nad morzem stojącej wśród eukalyptusów. blada i smutna, z uśmiechem na ustach podawała mu rękę,—wdowa po baronie Alfredzie.

Potrzebaż mówić. iż wrócili do kraju mężem i żoną!!

K o n i e c.

**\*KSIEGARNIA\***  
**ANTYKWARIAT**



429727

XXXXXX

AX

AT



**Biblioteka Raczyńskich**

**JIK2187**



**JIK2187**